

HENRYKA CHALUPEC

*Dla czego nie?*

MOJE ŻYCIE  
W WARSZAWIE,  
JAKIEJ JUŻ  
NIE MA

**Dlaczego nie?**

**Moje życie w Warszawie, jakiej nie znacie**



Copyright: © 2015 Henryka Chalupec

Redakcja: © Kurhaus Publishing Kurhaus Media sp. z o.o. sp. k.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów nie może zostać przedrukowany bez zgody wydawcy.

Opieka nad projektem: Martyna Bunda

Redaktor prowadzący: Katarzyna Kozłowska

Korekta: Bożenna i Janusz Sigismundowie Konsultacja merytoryczna:

Ryszard Mączewski, Fundacja „Warszawa1939.pl”

Projekt okładki: Katarzyna Gintowt

Skład i łamanie: Marek Wójcik

Fotografie:

Archiwum Autorki: s. 17, 29, 31, 39-41, 45, 46, 72, 75, 86, 89, 111, 117, 121, 136, 137, 141, 142, 143, 146, 147, 150, 151, 160, 173, 177, 180, 184, 186-189, 191-194, 196-198, 203, 204, 207, 210-213

Narodowe Archiwum Cyfrowe: s. 67, 70

Archiwum Zboru ewangelicko-augsburskiego w Warszawie:

Zbiory Biblioteki Narodowej: s. 33

Archiwum Parafii św. Trójcy w Warszawie: s. 65, 66

Zbiory R. Chwiszczuka: zdjęcie ul. Żelaznej z pierwszych dni okupacji,  
okładka

Zbiory Roberta Marcinkowskiego: s. 6-7

ISBN: 978-83-65301-09-3

Kurhaus Publishing Kurhaus Media sp. z o.o. sp. k.

ul. Klimczaka 7/50, 02-797 Warszawa

telefon: 531 055 705

**Igorowi - Mama.**



Widok warszawskiej Woli z lotu  
ptaka. Zdjęcie wykonane przez  
Niemców w 1939 roku.

ul. Grzybowska 51

ul. Grzybowska

ul. Łucka

ul. Żelazna

ul. Prosta

ul. Pańska

## Spis treści

Część 1. Życie na Grzybowskiej Moja Grzybowska Mieszkanie na piętrze Słów kilka o przodkach. Babcia Justyna Warszawscy ewangelicy Emilia Historia Dziadka Antoniego Jak się poznali moi Rodzice? „Ta Niemka”, czyli ukochana synowa Życie na co dzień Święta Bożego Narodzenia Przedszkole i szkoła przed wojną Moda Dzień Wszystkich Świętych Sznapan i inni lekarze Nauka w domu Konflikty społeczne Wyjazdy na wieś Przedwojenne wakacje Część 2. Wojna, rozstania i powroty Początek wojny Czas okupacji Podziały wśród warszawiaków Podziały w rodzinie Mieszkanie na Ogrodowej Codziennosc pod okupacją Powstanie W piwnicy Obóz przejściowy Lekarzice U Mieńkowskich Kasza i łyżeczki Powrót do domu Część 3. Dojrzewanie w PRL-u Pierwsze miesiące 1945 roku Konfirmacja Panna maturzystka Wróżba Pierwsza porażka Idę do pracy Studia na SGPiS Odwiedziny Część 4. Podróże, czyli jak sprawdziła się wróżba Handel w Bułgarii Peregrynacje jugosłowiańskie Niezwykła Algieria Dramat Czechosłowacji Irak – lata w oddaleniu Kuwejt Jordania i Libia – ślady rzymskiego panowania Nigeria Posłowie: Dlaczego tak? Podziękowania Autorki

## Część 1. Życie na Grzybowskiej

Kiedyś pisanie książek zajmowali się pisarze. Dziś ukazują się wiele wspomnień, dzienników, pamiętników, pisanych nie tylko przez ludzi pióra. Twórczością parają się także zwykli (a czasem i mniej zwykli) ludzie, którzy chcą opowiedzieć o świecie – tym zwłaszcza, który przeminął. Pozostawić wspomnienie o tym, co widzieli, i o tym, jak to zapamiętali. I ja jestem właśnie jedną z takich osób.

Przyszłam na świat w 1928 roku. Często się zastanawiałam, jaki właściwie był ten rok. Przypadała wtedy akurat dziesiąta rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości. Tylko dziesięć lat minęło od końca długotrwałej niewoli pod zaborami trzech wielkich potęg: Rosji, Niemiec i Austro-Węgier. Żyjąc współcześnie, trudno sobie uzmysłowić, jak krótki był to czas na zbudowanie państwa od nowa. Nie jest łatwo zlepić trzy różne organizmy administracyjne, a po części także kulturowe, w jedną całość.

Tu refleksja: jeśli się przyjrzeć historii tamtego okresu, nie sposób przecenić tego, jak wiele zrobili nasi dziadowie i ojcowie przez ten krótki czas. Warto dla przykładu wspomnieć o tym, co się wydarzyło w ciągu tego jednego jedynego roku – roku mojego urodzenia.

Z zapisów historycznych tamtego okresu wiemy, że w marcu 1928 roku odbyły się wybory do trzeciej już kadencji Sejmu Rzeczypospolitej<sup>1</sup>. W tym samym miesiącu zmieniono barwy flagi narodowej, zastępując karmazyn cynobrem<sup>2</sup>. W 1928 roku mieszkańcy Warszawy mogli już podziwiać pierwsze egzotyczne zwierzęta, które przybyły do nowo otwartego ogrodu zoologicznego<sup>3</sup>. Umacniało się zaplecze gospodarcze państwa: otwarto fabrykę Ursus<sup>4</sup>, rozpoczęto budowę magistrali kolejowej z Gdyni na Śląsk (tzw. magistrali węglowej)<sup>5</sup>, powołano także wiele instytucji o doniosłym znaczeniu: Państwowe Zakłady Inżynierii (PZInż), Polską Poczta, Telegraf i Telefon (PPTT), Instytut Badania Koniunktur Gospodarczych i Cen (IBKGiC). Rok później powstał Bank Polska Kasa Opieki SA. Budzi mój podziw to, jak sprawnie w tamtym czasie rozwiązywano wiele spraw. Powstały Polskie Linie Lotnicze LOT, ale już wcześniej ustanowiono Prawo lotnicze, powołano także Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej. Kompleksowo więc tworzone instytucje mające służyć określonej dziedzinie. Wielu robotników wtedy się zrzeszało, zaczęły powstawać związki zawodowe. W tym także roku został ustanowiony Medal Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości<sup>6</sup>.

Nowa Polska kończyła 10 lat, a moja Mama przygotowywała się tymczasem do tego, abym przyszła na świat. Z tego, co wiem, do samego końca nie było wcale takie pewne, czy zdążę się urodzić jeszcze w 1928. Grudzień tego roku był mroźny, zima mocno się dawała we znaki. Na szybach okiennych mieszkań w domu przy ulicy Grzybowskiej 51 szron rzeźbił fantastyczne wzory. Nadchodziły święta

Bożego Narodzenia. Był to radosny czas we wszystkich niemal domach. U nas również trwały przygotowania: porządki, a potem przyrządzanie potraw na wigilijny stół. Przez kolejne przedświąteczne dni w całym domu panowało jednak pełne napięcia oczekiwanie na chwilę, gdy wreszcie pojawi się w rodzinie nowa osoba. Czy jeszcze w okresie świątecznym, czy już w nowym roku 1929? Z opowiadań Mamy o tych dniach wynikało, że ona sama liczyła, iż święta miną jej jeszcze spokojnie. Główny ciężar przygotowywania wszystkiego wzięła na siebie Babcia. Gotowano więc uprzednio zapeklowaną i uwędzoną szynkę, pieczono schab i boczek. Pod okiem Mamy Babcia wyrabiała ciasto drożdżowe. Szczególną uwagę poświęciła Mama starannemu przyprawieniu bigosu, który oczywiście musiał królować na stole. A w rogu pokoju stała już ubrana przez Tatę choinka. Wigilia rozpoczęła się jak zwykle. Jednak już pod koniec wieczoru wigilijnego stało się jasne, że nim się skończą święta, przybędzie w domu nowa osoba.

Urodziłam się wczesnym rankiem 25 grudnia 1928 roku. Tata spodziewał się syna, a tu tymczasem dotarła do niego wieść, że nie ma wcale tego oczekiwanego pierworodnego, tylko córkę. Cóż, nie przyznawał się później do tego, ale podejrzewam, że musiał się czuć mocno zawiedziony. Wszak starszy brat Taty miał już syna, chłopca miała też jego młodsza siostra, Wala, mieszkająca na wsi. Jej synek przyszedł na świat na początku 1928 roku. A tu ja splatałam figła i przyszłam na świat, nie bacząc na to, kogo chciał Tata. Mama mówiła mi, że była bardzo szczęśliwa, że się urodziłam, ale sądzę, że Babcia też pragnęła wnuka płci męskiej, bo wiem, jak głęboko była oddana swemu synowi.

Mimo iż byłam dziewczynką, w tych pierwszych latach mego życia – choć tego nie pamiętam – otaczano mnie wielką troską i miłością. Wiem to na pewno, bo taką właśnie miłością i troską otaczali mnie Rodzice przez całe późniejsze życie.

Ani Rodzice, ani tym bardziej ja nie przypuszczaliśmy wtedy, jak trudne czasy się zbliżają. Szkoda, że z tych pierwszych lat życia tak mało albo wcale nic się nie pamięta. Żałuję, że w wyniku zawieruchy wojennej nie pozostały mi niemal żadne rodzinne pamiątki. Poza naprawdę nielicznymi wyjątkami nie ma śladu po fotografiach. Niemal wszystkie bezpowrotnie wchłonął ogień Powstania Warszawskiego. Nie wiem dziś nawet, jak wyglądał mój wózek. Nie mam w pamięci śladu ciepłej puchowej poduchy, w której układano wszystkie nowo narodzone niemowlęta. Wiem, że górna jej część obramowana była pięknymi falbankami z koronki i takie same były wiązadła, którymi przywiązywano do poduchy niemowlaka. Taka poducha, do której był przymocowany mój młodszy brat, jest na jedynym z nielicznych, cudem ocalałych zdjęć. My, niemowlaki tamtego okresu, nie mogliśmy jak dzisiejsze dzieci od samego początku machać swobodnie nóżkami. W takiej poduszce każde z nas krzyczało na pewno głośno, bo było nam ciasno i gorąco. Jako jedynaczka byłam kołysana i pieszczona przez wszystkich, ale i tak chciałam się szybko z tej poduszki uwolnić i wreszcie zacząć



poznawać świat...

## **Moja Grzybowska**

Rodzice mojej Mamy, a potem ja z moimi Rodzicami, mieszkaliśmy przy ulicy Grzybowskiej 51. Ten dom dziś nie istnieje, został zniszczony w czasie Powstania Warszawskiego i nigdy go już nie odbudowano. Tak zresztą jak i wielu innych w tej okolicy.

Z dzieciństwa doskonale pamiętam ulicę Grzybowską, którą zdążyłam najpierw do przedszkola, a potem do szkoły – na odcinku od Towarowej aż do jej początku, przy zbiegu z Graniczną. Przy Grzybowskiej stały głównie starsze podniszczone kamienice o przeciętnym wyglądzie, ale zdarzały się też nieliczne okazalsze, nowsze domy. Pośród murowanej w większości zabudowy, można było gdzieś spotkać jeszcze drewniane domy. Okolicę zamieszkiwali różni, raczej niezamożni mieszkańcy Warszawy, w tym liczna społeczność żydowska.

Niedaleko zbiegu z ulicą Ciepłą przechodziłam obok murów z czerwonej cegły, okalających teren zajmowany przez żołnierzy. Były to wybudowane w 1882 roku koszary rosyjskiej żandarmerii wojskowej, które po pierwszej wojnie światowej zaczęły być wykorzystywane jako koszary I Dywizjonu Żandarmerii Wojskowej, Policji Państwowej. Zabudowania te zajmowały dużą przestrzeń między Krochmalną, Ciepłą i Grzybowską. Gdy tamtędy przechodziłam, te budynki zawsze rzucały mi się w oczy. W czasie powstania i potem doznały ogromnych zniszczeń, dlatego w 1946 roku zostały rozebrane. Dziś nie ma po nich śladu.

Idąc dalej, mijałam stojące pod numerem 26/28 budynki gminy starozakonnych i żydowskiej szkoły religijnej. Wiemy z historii, że frontowy, wybudowany w 1892 budynek, w którym mieścił się zarząd Warszawskiej Gminy Starozakonnych, został zaprojektowany przez słynnego architekta Władysława Marconiego (tego samego, który wznosił m.in. warszawski hotel Bristol). Podczas okupacji były one siedzibą Judenratu (ustanowionej przez hitlerowców Rady Żydowskiej). W jednym z tych domów 23 lipca 1942, w dzień po rozpoczęciu przez Niemców masowej wywózki ludności żydowskiej do obozu w Treblince, samobójstwo popełnił prezes Judenratu Adam Czerniaków.

Grzybowska w okresie mojego dzieciństwa była już wybrukowana, w mojej pamięci zapisały się też dość szerokie chodniki. Wzdłuż całej ulicy stały lampy gazowe, zapalane co dzień o zmierzchu przez pana „zapalacza”, który robił to za pomocą specjalnego przyrządu o długiej ręczce. Podobnie odbywało się to rankiem – ów pan szybko przemierzał Grzybowską i inne pobliskie ulice, gasząc jedna po drugiej wszystkie latarnie. Ciekawostką jest, że te gazowe latarnie zachowały się aż do lat 60. XX wieku. Po Powstaniu Warszawskim niemal cała zabudowa ulicy Grzybowskiej została doszczętnie zniszczona. Bywałam tam z Mamą także po

wojnie, by popatrzeć na „naszą Grzybowską”. Przez niemal 20 lat po wyzwoleniu rozebrano tu kilka zrujnowanych kamienic, ale cała reszta bardzo długo pozostawała w kompletnej ruinie. Zmieniło się to dopiero w drugiej połowie lat 60., kiedy rozpoczęto budowę nowoczesnego na owe czasy osiedla Za Żelazną Bramą, którego budynki sięgały ulicy Żelaznej. Okolica została wtedy trochę uporządkowana, rozebrano znów kilka zniszczonych domów, wśród nich znalazł się zabytkowy secesyjny trzypiętrowy budynek przy Grzybowskiej 24.

Dziś ta część miasta wygląda zupełnie inaczej. W tym kształcie, jaki miała przed wojną, przestała istnieć. Gdziekolwiek tylko zobaczymy jej ślady, np. starą kamienicę, taką jakich wiele było w tym rejonie przedwojennej Warszawy. Czasem można zajrzeć na jakieś podwórko, np. przy ul. Łuckiej, i niestety, jedynie wyobrazić sobie, jak to wszystko niegdyś wyglądało. Jeden taki dom pozostał jeszcze blisko zbiegu Grzybowskiej z Towarową, inny – z Żelazną. Straszą pustymi oknami i pewnie także wkrótce znikną. Dalej, od ulicy Wroniej przez okolice dzisiejszej alei Jana Pawła II (która przed wojną nie istniała w takim kształcie) po plac Grzybowski, ciągną się dziś apartamenty, banki i urzędy. Ta nowa Grzybowska to całkiem inny – współczesny – świat.

W domach przy naszej przedwojennej Grzybowskiej nie było tzw. wygod. W mieszkaniach nie było więc wody ani toalet, a do pewnego czasu także światła elektrycznego. W Warszawie na wielu ulicach dopiero trwała budowa urządzeń wodno-kanalizacyjnych i doprowadzało się prąd. Podwórka niemal nie miały zieleni, a w domach często panoszyło się robactwo. Od czasu, gdy prezydentem został Stefan Starzyński, zaczęło się to z wolna zmieniać. Ten czas doskonale pamiętam. Wiele pracy wkładano w to, aby Warszawa stawała się coraz piękniejsza i czystsza, ale poziomem sanitarnym odbiegała od innych polskich miast. Pamiętam ulice brukowane kostką drewnianą, którą ulica po ulicy zamieniano na kostkę granitową lub pokrywano asfaltem. Z dala od ścisłego centrum spotykało się jeszcze ulice nawet z tzw. kocimi łbami, czyli brukowane polnymi kamieniami.

Wszystkie te zmiany zatrzymała wojna w 1939 roku.

Nasz dom po numerem 51 stał między ulicą Wronią a Żelazną, vis à vis fabryki piwa Haberbusch i Schiele (dziś na sąsiedniej działce znajduje się budynek Banku Pekao SA). Główne wejście do browaru mieściło się z innej strony. Od Grzybowskiej – zabudowana była magazynami na jęczmień, warzelniami piwa, fermentowniami i innymi budynkami służącymi do składowania beczek oraz zaspokajania najróżniejszych potrzeb fabryki. Budynek z jednej strony dochodziły aż do ulicy Wroniej, a z drugiej ciągnęły się prawie po Żelazną, która była w tamtym czasie bardzo ruchliwa, jeździły nią nawet tramwaje. W głąb teren browaru rozciągał się aż do ulicy Krochmalnej.

Kiedy byłam już nieco starsza, Tata opowiadał mi, że przed wojną Grzybowska była jedną z ważniejszych ulic przemysłowo-rzemieślniczej

warszawskiej Woli. Niedawno się dowiedziałam, że nazwę nadano jej w 1770 roku (ale podobno nazywano ją tak już sto lat wcześniej!) – historycznie należy więc do najstarszych ulic w Warszawie. Oczywiście w tamtym czasie nie była jeszcze wcale ulicą, tylko bitą drogą, otoczoną luźną drewnianą zabudową. Z ciekawostek dotyczących dziejów Grzybowskiej warto wspomnieć, że pod koniec XVIII wieku znajdowało się przy niej aż jedenaście browarów! W połowie XIX wieku było ich już tylko pięć, a w latach 30. ubiegłego wieku działał tylko jeden – browar Haberbusch i Schiele, istniejący od 1846 roku, i ten zapisał się w mojej pamięci.

Od strony ulicy Grzybowskiej zabudowania fabryczne oddzielone były murem, w którym ulokowano bramę wychodzącą dokładnie na bramę naszego podwórka. W nas, dzieciach, ta fabryka, a właściwie browar, zawsze budziła wielkie zainteresowanie – ponieważ wciąż się tam coś działo. Od czasu do czasu odzywał się głos syren, na całym terenie panował ciągły ruch. Ja zwłaszcza lubiłam się przyglądać nieustannie wyjeżdżającym z browaru wielkim platformom, do których zaprzężone były potężne, ciemnoczekoladowej maści konie. Woźnice, trzymając mocno lejce, z wprawą kierowali tymi ogromnymi wozami, po brzegi wyładowanymi beczkami z piwem. Leżały one, poukładane równiutko jedna przy drugiej, oraz wisiały po obu bokach, lekko się bujając.

Nieco później, już podczas wojny, gdy zaczęły się niemieckie naloty na Warszawę, browar wydawał mi się najbezpieczniejszym miejscem na świecie. W dojrzewalniach jęczmienia w przeddzień wojny przygotowano schrony dla okolicznej ludności. I tak się zdarzyło, że parokrotnie właśnie w jednym z tych schronów się znalazłam. Raz w naprawdę przedziwnych okolicznościach – ale o tym później.

W czasie Powstania Warszawskiego – wiem to z opowiadań innych ludzi – zapasy ziarna i cukru, i innych towarów z browaru ratowały powstańców, a także mieszkańców od głodu, a sam browar stał się jednym z głównych punktów powstańczego oporu w tej okolicy. Powstańcy ze Zgrupowania „Chrobry II” zajęli teren zakładu i jego magazyny 10 sierpnia i utrzymali się tam aż do samego końca walk. Było to źródło żywności do ostatnich dni powstania. Opowiadano mi historie o tym, jak po walczącej Warszawie roznoszono wielkie worki z jęczmieniem, a każdy siłacz, który taki worek niósł w umówione miejsce, mógł jedną czwartą jęczmienia zatrzymać dla siebie i swojej rodziny. Ze zmielonego jęczmienia robiono zupę, którą powstańcy nazywali plujzupą, bo pływały w niej łuski jęczmienne, i po jej zjedzeniu wszyscy wypluwali te łuski. Historię tę opisuje Jerzy S. Majewski w książce Historia pod napięciem, czyli wokół muzeum przez wieki, wydanej przez Muzeum Powstania Warszawskiego.

Obok naszego domu, przy Grzybowskiej, stała inna kamienica, od frontu miała trzy piętra i takie same trzypiętrowe oficyny w podwórzu. Dom ten był prawdziwą studnią, bo światło niemal nie dochodziło ani do okien mieszkań, ani na

podwórko. Kamienica ta, dziś już nieistniejąca, była gęsto zaludniona. W dużej części przez społeczność żydowską, która w tej akurat okolicy nie należała do zamożnej. Nieustanny hałas, krzyki i tłok powodowały, że mówiliśmy o tej kamienicy Pekin. Dowiedziałam się potem, że tak samo nazywano również istniejącą do dziś, choć kompletnie zrujnowaną, ogromną sześciopiętrową kamienicę Wolfa Krongolda przy zbiegu Żelaznej i Złotej.

Natomiast u nas, przy Grzybowskiej 51, było zupełnie inaczej. Przede wszystkim mieliśmy tu dużo miejsca. Do naszego domu wchodziło się przez bramę ulokowaną pośrodku czoła posesji. Po prawej stronie tej bramy stał piętrowy budynek, w którym od frontu mieściły się sklepy: wędliniarski i spożywczy. Często za sklepem spożywczym tuż przy kamienicy obok, przy Grzybowskiej 53, pewna tradycyjna rodzina żydowska rozkładała swój kram. Wokół straganu stały beczki, a jego właściciele sprzedawali prosto z nich śledzie: były znakomite – Mama zawsze u nich kupowała. Warto wspomnieć, że tych śledzi były tam różne rodzaje, dziś mało kto o nich słyszał: uliki, matjasy, solone, świeże i inne. Co ciekawe, ich nazwy ja sama skojarzyłam dużo później, już jako uczennica gimnazjum handlowego na lekcjach z towaroznawstwa.

Po drugiej, lewej stronie bramy prowadzącej na nasze podwórko stał parterowy budynek. Od frontu mieścił się w nim sklep firmowy piekarni Złoty Róg, a zaraz za nim – warsztat szewski. Pan szewc na powierzchni około 12, a może 15 metrów kwadratowych nie tylko reperował obuwie, ale też mieszkał z całą rodziną. Przy wejściu do izby, po lewej stronie stał warsztat szewski, przy którym reperował buty, a w głębi toczyło się życie jego rodziny: żony i trojga dzieci. Była tam kuchnia, mały stół i szafka. Łóżka stały na antresoli, gdzie cała rodzina spała. Bywałam tam, bo córka pana szewca, Sabinka, była moją koleżanką; często się z nią bawiłam na podwórku. Bardzo lubiłam się wdrapywać na tę ich antresolę, zawsze mnie ciekawiło, jak tam jest.

Całkiem niedawno na opis tego lub podobnego zakładu szewskiego natknęłam się we wspomnianej już książce Jerzego S. Majewskiego Historia pod napięciem, czyli wokół muzeum przez wieki. Wspomina go pani Danuta Maciejewska, która mieszkała przed wojną przy Towarowej 54 (na rogu Grzybowskiej), czyli nieopodal mnie. Nie znałyśmy się, ale jej wspomnienia są bardzo podobne do moich: „W innej z kamienic po nieparzystej stronie znajdował się biedny żydowski zakład szewski. Wprost z ulicy wchodziło się do pomieszczenia, w którym pracował szewc. Za kotarą była kuchnia, a na antresoli sypialnia. W klitce tej mieszkała wielodzietna rodzina”.

Pomiędzy tymi sklepami a zakładem szewskim mieściła się brama z furtką, zamykaną na noc przez dozorcę. Po godzinie dziesiątej wieczorem, żeby się dostać do domu, trzeba było dzwonić, a wówczas dozorca wychodził i wpuszczał lokatora do środka. Należało za tę usługę dać mu odpowiedni napiwek, na przykład 50

groszy, a może i więcej. Bułka kajzerka kosztowała wtedy 5 groszy, więc napiwki za otwarcie bramy nie były wcale niskie. Mawiało się zresztą u nas w domu, że człowiek może się utrzymać za złotówkę dziennie.

Nasze podwórko ciągnęło się daleko w głąb, aż do zabudowań przy ulicy Łuckiej. Składało się właściwie z trzech połączonych podwórek. Na pierwszym z nich, po prawej stronie od wejścia z bramy, na parterze piętrowego budynku mieścił się warsztat kołodziejski mojego stryja Stanisława Milewskiego, a za nim warsztat stolarski. Na górze mieszkał współwłaściciel domu, pan Wiśniewski. Za tym budynkiem był następny, ale już parterowy, w którym znajdował się warsztat kowalski. Przez cały dzień pracowały tam miechy, a z podwórka i od wejścia zawsze widać było rozpalone palenisko, a w nim narzędzia i pracujących kowali.

Po drugiej stronie pierwszego podwórka stał najpierw trzypiętrowy budynek z mieszkaniami, a dalej mały parterowy budynek z warsztatem stelmacha ulokowanym na parterze. W tym warsztacie pracował drugi mąż mojej Babci Justyny, a za mojego dzieciństwa prowadził go już brat mojej Mamy, wuj Henryk. Jego praca polegała na wyposażaniu wnętrza (np. wymienianiu obić) dorożek lub innych pojazdów. Pamiętam, że do obijania kanap w dorożkach używano mocnego sukna w różnych kolorach.

Ponieważ wokół tego podwórka znajdowało się wiele warsztatów, zawsze było pełne dorożek, powozów czy bryczek. Stały stłoczone, czekając na reperację u kołodzieja, kowala czy stelmacha. Ale dla nas, mieszkających tam dzieci, bryczki, dorożki czy powozy pełniły również taką funkcję, jaką dziś pełnią place zabaw. Na ich kanapach skakaliśmy do woli, na mocnych, rezonujących sprężynach doskonale można było się odbijać. Wdrapywaliśmy się na kozioł, czyli miejsce dla woźnicy, i udawaliśmy, że dokądś jedziemy. Urządzaliśmy sobie w tych powozach także sklepiki. No i można się było wśród nich znakomicie bawić w chowanego. Muszę przyznać, że nieraz zdarzało się nam przy tych zabawach wyrządzić małą szkodę, na przykład zniszczyć obicie. Z tego powodu bezustannie nas stamtąd przeganiano. Nawiasem mówiąc, ja byłam chyba najbardziej niesforna, bo czułam, że zawsze się jakoś wywinę, licząc na wybaczenie ze strony stryja Stacha czy wujka Henryka. I tak też się zwykle działo. Kończyło się na pogroźeniu palcem i robieniu przeze mnie skruszonej miny. Jednakże chęć zabawy w dorożkach zawsze była wielka, mimo stałego przestrzegania dorosłych, by nie psocić. Było na tym podwórku jeszcze tyle miejsca, że mogliśmy się ganiać między pojazdami.

Dorożek nie brakowało, przed wojną w Warszawie stanowiły one powszechną formę prywatnej komunikacji. Warszawiacy korzystali też z komunikacji tramwajowej i kursujących gdzieś autobusów. Były też już pierwsze taksówki samochodowe, ale sporo droższe od dorożek konnych, i dlatego częściej się korzystało z tych ostatnich. Dorożki do wynajęcia stały na wielu skrzyżowaniach ulic, a zaprzęgnięte do nich konie spokojnie posilały się owsem

znajdującym się w zawieszonych przy ich głowach workach.

Także i później, w czasie wojny, a nawet już po wyzwoleniu dorożki konne były tą najbardziej żywotną i przez dłuższy czas podstawową formą komunikacji. Nie mówiąc już o tym, że w pewnych okresach innej formy komunikacji po prostu nie było. Na przykład po powstaniu ogromne wozy i duże dorożki woziły ludzi przez mosty, tymczasowo pobudowane na Wiśle, z lewobrzeżnej do prawobrzeżnej Warszawy i odwrotnie.

Świat mojego dzieciństwa, dorożek stojących na podwórku i zabaw się w nich toczących, na dobre skończył się z wybuchem wojny. Dziś nie ma już tego podwórka, a wraz z nim historia zmiotła warsztaty, nie istnieje już zresztą także większość zawodów, które wykonywali pracujący tam ludzie. Może pozostali jeszcze gdzieś kowale, których pracę możemy podziwiać. W tamtych czasach oni, stelmachowie i kołodzieje byli ludźmi bardzo zapracowanymi.

To pierwsze, pełne warsztatów podwórko zamykał drewniany, parterowy domek, podobny trochę do niewielkiego dworku. Stał frontem do bramy, jakby zagradzając przejście do dalszej części posesji. Mieszkała w nim prawdopodobnie siostra pana Wiśniewskiego, współwłaścicielka nieruchomości. Za domkiem rozciągał się niewielki ogródek – jedyne zielone tam miejsce. Rosło tam parę drzew, trochę krzewów, no i rosły też kwiaty. Ale ten teren dla wszystkich – także i dla nas, dzieci – był niedostępny. Jako dziecko, nie mogłam przypuszczać, że nadejdzie czas wojny, i wtedy temu ogródkowi przyjdzie pełnić zupełnie inną rolę – cmentarzyka, na którym chować się będzie tragicznie zmarłych od kul mieszkańców ulicy Grzybowskiej.

Naprzeciw drewnianego domku z ogródkiem, a za warszatem kowalskim wznosiła się trzypiętrowa kamienica, i ten teren, położony przed nią tworzył jakby oddzielne drugie podwórko. Było ono nieduże, ale wolne od dorożek i za sprawą widoku na ogródek miało trochę zieleni. W tej kamienicy mieszkałam ja razem z Rodzicami, Babcią i wujkiem, bratem Mamy.

Nasze drugie podwórko zamykała w połowie trzecia, kolejna kamienica – trzypiętrowy budynek, stojący bokiem do naszego. Tę kamienicę właściciel postawił chyba najpóźniej, bo była bardziej nowoczesna i w środku lepiej wyposażona. Cały parter tej części posesji zajmowała piekarnia o nazwie Złoty Róg. Pod piekarnią o świcie przez cały rok podjeżdżały zaprzężone w konie furgony, na które ładowano bułki, chleb i wszelkiego rodzaju pieczywo. Wozy były zawsze błyszczące, lśniące czystością, z rysunkiem złotego rogala w otoczeniu kłosów zboża. Z naszego podwórka ruszały na miasto, rozwożąc świeże, gorące wypieki. Zwłaszcza w okresie lata w naszym mieszkaniu wciąż niósł się szurgot koszy wsuwanych do furgonów. (Co ciekawe, same wozy nie robiły dużego hałasu, bo koła wyposażano już wtedy w ogumione obręcze – a do rżenia koni wszyscyśmy byli przyzwyczajeni). Słysząc też było przekrzykiwania się

pracowników, którzy nawoływali się wzajem i pospieszali jeden drugiego. U nas w domu wszyscy bardzo wcześnie wstawali, więc może to moim Rodzicom nie przeszkadzało, ale były i takie dni, kiedy Mama chodziła do piekarni z pretensjami, że za duży hałas tam panuje i nie daje się już tego wytrzymać. Wówczas właściciel piekarni wychodził, przeproszał Mamę i uciszał pracowników.

Na tyłach domu, w którym była piekarnia, i za małym ogródkiem, aż do zabudowań przy ulicy Łuckiej ciągnęło się trzecie podwórko. My, dzieci, nie zaglądaliśmy tam wcale, to otoczenie nie budziło w nas ciekawości. Stały tam pobudowane drewniane szopy i stajnie, gdzie trzymano konie i siano, a dalej czekały furgony piekarni. Kręcili się tylko ludzie pracujący przy koniach i w piekarni. Właścicielem piekarni, furgonów i koni był pan Maksymilian Lange. Miał on w Warszawie kilkanaście sklepów-filii, do których dowożono pieczony u nas chleb. Sklepy firmowe mieściły się przy Marszałkowskiej, Filtrowej, na Lesznie i Solcu. Jego piekarnia była jedną z nowocześniejszych w stolicy. Jej dokładny opis zachował się zresztą w jednym z pochodzących z drugiej połowy lat 30. numerów pisma Codzienna Gazeta Handlowa. Jest na tyle ciekawy, że mogę go w całości przytoczyć, bo mało kto już pamięta, jak działały tego typu przedsiębiorstwa w tamtych czasach.

Piekarnia „Złoty Róg” Maksymilian Lange, Grzybowska 51

W dalszym ciągu zwiedzania piekarń wstępujemy do piekarni „Złoty Róg” mistrza Maksymiliana Lange, zasłużonego działacza na niwie rzemieślniczej, b. podstarszego Cechu Piekarzy m. st. Warszawy, b. skarbnika Centralnego Zw. Piekarzy R. P. i byłego redaktora magazynu zawodowego „Piekarz Polski” w Warszawie. Zachodzimy do piekarni tej w sobotę. W dzień ten praca w dużej mierze wykonywana jest w zakresie produkcji pieczywa świątecznego. Rzucamy okiem na rumiane apetyczne chałki, słodkie strucle obsypane cukrem i inne specjały, które spożywamy w niedzielę i święta, a przede wszystkim też na wypiekane właśnie grahamki i kruche różki, wyrób których jest specjalnością piekarni, a które są znane w całej Warszawie ze swej wybitnej dobroci. Uderza nas we wnętrzu piekarni mimo pełnego uruchomienia tego warsztatu panująca wszędzie czystość. Ściany wykładane terakotowymi płytkami, gwarantują utrzymanie pomieszczeń w jak najhigienicznych warunkach. Wszędzie dużo światła, co też wpływa na odbywanie się pracy w jak najlepszych warunkach, nie powodujących zmęczenia wzroku pracowników, zmuszonych pracować w innych piekarniach w pomieszczeniach albo mniej widnych albo oświetlonych światłem sztucznym. Piekarnia jest zmechanizowana według wymogów Urzędu Przemysłowego. Widzimy tu liczne maszyny pomocnicze, jak np. do mieszania ciasta, przesiewania mąki, wyrobu bułek, rogalików itd. Osobne pomieszczenie stanowią urządzenia sanitarnohigieniczne dla pracowników jak łaźnia, prysznic, oddzielne szafki na ubranie itd. Podkreślić należy, iż wysoka jakość pieczywa

pochodzącego z piekarni „Złoty Róg” zdołała wyrobić sobie duże wzięcie wśród konsumentów, którzy nabywają ten towar wyłącznie w 15-stu sklepach własnych — filiach piekarni, chętnie zaopatrując się w pieczywo pochodzące z tej, a nie z innej piekarni dla jego wybitnej dobroci. Świeży towar dostarczany jest do sklepów 5 razy dziennie. Dzięki wysokiej jakości pieczywo pochodzące z piekarni mistrza Maksymiljana Langego otrzymało na wystawie piekarskiej „Od ziarna do chleba” w roku 1933 nieliczne najwyższe odznaczenie, a więc złoty medal. Wobec coraz poważniejszego zapotrzebowania na pieczywo z piekarni „Złoty Róg” zmuszona ona była w ostatnich latach liczbę sklepów filii powiększyć dla wygody konsumentów. Pieczywo z piekarni „Złoty Róg” dostarczane jest również do różnych biur oraz pierwszorzędných zakładów gastronomiczno-restauracyjnych — piekarnia wypieka wszelkie gatunki chleba i bułek w najwyższym gatunku ku zadowoleniu licznych rzesz nabywców.

(Poznajemy piekarnie z których spożywamy pieczywo,  
„Codzienna Gazeta Handlowa”, 25—26.4.1937 r. Nr. 94)

Na podwórku piekarni także się często bawiłam, grając z koleżankami w klasy i skacząc na skakance.

Mimo stłoczenia tyłu warsztatów i stałego ruchu, jaki panował na naszych podwórkach, zawsze świeciło ono czystością. Już od wschodu słońca dozorca chodził z wielką miotłą i szuflą i zamiętał, nie tylko pośrodku, ale w każdym kącie, od pierwszego podwórka pełnego dorożek aż po trzecie, na którym zwijali się chłopcy pracujący w stajni. Cokolwiek konie pozostawiły po sobie, natychmiast było przez dozorcę sprzątane.

### **Mieszkanie na piętrze**

Wszystkie budynki przy ulicy Grzybowskiej 51 były własnością Wiśniewskich. Historia tej rodziny jest bardzo ciekawa. Domy należały do nich od końca lat 50. XIX wieku, gdy pierwszą z kamienic kupił zamożny kowal Józef Grabowski. Grabowski sam w tym domu zamieszkał i zaczął na tej posesji prowadzić kuźnię. Zarówno dom, jak i zakład przejął po nim jeden z zięciów Piotr Wiśniewski, prezes zarządu warszawskiego cechu kowali. Wiśniewski zmienił kuźnię w znaną w całym kraju fabrykę luksusowych powozów. Jego syn Lucjan założył zaś firmę Respol, reklamującą się jako „Pierwsza w Kraju Mechaniczna Wytwórnia Resorów”. Stąd pewnie wziął się rzemieślniczy charakter podwórka i te wszystkie tak różne warsztaty, które jednakże w tym czasie prowadzili już inni właściciele. Pan Wiśniewski zajmował się wtedy jedynie zarządzaniem nieruchomościami należącymi do rodziny.

Ciekawostką jest, że w domu przy Grzybowskiej 51 wychowała się pierwsza kobieta profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykładowczyni Sorbony, iranistka, indolog, wybitna znawczyni języków indoirańskich Helena Willman-Grabowska



(tak nietypowo zapisywała swe nazwisko). Helena była najmłodszą córką kowala Józefa Grabowskiego, właściciela kamienicy, i mieszkała w niej przez 20 lat, czyli do czasu swego zamążpójścia w 1900 roku (jej mężem był pochodzący ze znanej warszawskiej rodziny, księgowy Czesław Aleksy Willman). Życie Heleny to temat na osobną książkę, ale warto wspomnieć, że karierę naukową rozpoczęła stosunkowo późno. W Warszawie ukończyła z wyróżnieniem I Gimnazjum Żeńskie, a następnie uczyła w szkole języka polskiego. Naukę kontynuowała na tajnych wykładach Wyższych Kursów Naukowych. Heleny nie dopuszczono do złożenia egzaminów państwowych, mimo iż poparcia udzielili jej znani profesorowie Jefim Fedorowicz Karski oraz Jan Niecisław Baudouin de Courtenay. W owych czasach na te egzaminy musiało wyrazić zgodę rosyjskie Ministerstwo Oświaty w Petersburgu. W 1905 roku Willman-Grabowska była jedną z organizatorek strajku szkolnego, po którym zrezygnowała z pracy i skoncentrowała się na tajnym nauczaniu polskiej młodzieży. W latach 1905–1909 stworzyła programy nauczania języka polskiego w szkołach średnich, stały się one później podstawą programu nauki ojczystego języka w wolnej Polsce.

W 1909 roku Helena Willman-Grabowska wyjechała z Polski, w kolejnych latach studiowała językoznawstwo i literaturę na uniwersytetach w Bernie, Lozannie i Paryżu. Bardzo prędko głównym przedmiotem jej zainteresowań stał się sanskryt. Od 1920 roku wykładała ten język na paryskiej Sorbonie, jako profesor kontraktowy. Choć wielokrotnie ją do tego namawiano, nie chciała przyjąć obywatelstwa francuskiego, mimo że pozwoliłoby jej to objąć samodzielną katedrę na paryskiej uczelni. W 1927 roku Willman-Grabowska wróciła do Polski. Już w czerwcu 1928 objęła na Uniwersytecie Jagiellońskim Katedrę Sanskrytu i Filologii Indyjskiej, a 19 listopada 1928 roku została profesorem nadzwyczajnym. Była bez wątpienia kobietą o niezwykłym umyśle i szerokich horyzontach, wystarczy wspomnieć, że znała kilkanaście języków (francuski, rosyjski, niemiecki, angielski, włoski, hiszpański, prowansalski, holenderski, duński, czeski, ruski, hinduski, bengalski, grekę i łacinę oraz języki indoirańskie, m.in. sanskryt i pali). Niestety, nawet jeśli w czasie, gdy mieszkałam w kamienicy należącej do jej rodziny, bywała w domu przy Grzybowskiej 51, nigdy nie udało mi się jej spotkać.

Kamienica na Grzybowskiej pozostała w tej rodzinie do 1944 roku, kiedy została spalona przez Niemców podczas powstania.

Mieszkania w kamienicach i warsztaty wynajmowane były „za czynszem”, jak to się wtedy mówiło. Mama chodziła z pieniędzmi co miesiąc do pana Wiśniewskiego, do jego mieszkania na pierwsze piętro nad warsztatem kołodziejskim. Lubiła tam chodzić, bo pan Wiśniewski zawsze sobie z nią ucinął pogawędkę.

Nasze mieszkanie mieściło się w kamienicy na drugim podwórku. Wszystkie te domy, stojące przy ulicy Grzybowskiej 51, miały podobne mieszkania – po

pokoju z kuchnią. Wyjątkiem był budynek, w którym mieściła się piekarnia.

To nasze mieszkanie na pierwszym piętrze wynajął zapewne jeszcze ojciec Mamy, i to jeszcze przed jej urodzeniem w 1906 roku. Wydaje mi się, że gdzieś w pobliżu miał warsztat, w którym zatrudniał ludzi do wyrobu butów, takich wysokich oficerek sprzedawanych do Rosji. Po jego przedwczesnej śmierci wynajmowała je dalej moja Babcia Justyna. Dla niej zaletą mieszkania musiał być zarówno nie najwyższy czynsz, jak i spora powierzchnia lokalu. Mieszkanie składające się z dużej kuchni i pokoju było bowiem dość obszerne, oczywiście jak na owe czasy – miało na pewno około 40 metrów, a może i więcej.

Nasza kamienica należała prawdopodobnie do najstarszych, wybudowano ją najpewniej w połowie XIX wieku. Wskazywało na to jej dość słabe wyposażenie. Woda była, ale tylko na korytarzu, ubicacja dla wszystkich mieszkań znajdowała na parterze budynku, od frontu, a wchodziło się tam od podwórka. Korzystali z niej nie tylko mieszkańcy, ale jak myślę, również pracownicy warsztatów. Muszę przyznać, że zarówno w ubicacji, jak i na klatkach schodowych panował porządek, bo dozorca ciągle chodził po podwórku i wszystkiego doglądał.

Do połowy lat 30. nasze mieszkanie nie miało jeszcze elektryczności. Pamiętam, jak do kamienicy wkroczyły ekipy robotników i zaczęły kuć ściany, by umieścić w nich metalowe rurki. W tamtym czasie w taki właśnie sposób kładziono instalacje elektryczne, przewody puszczano w mosiężnych rurkach, by w razie czego łatwo można było je wymienić i naprawić.

Przy kuciu ścian okazało się, że zbudowano je nie z cegły, lecz z grubej trzciny, zlepionej jedynie zaprawą. Pamiętam, że Rodzice byli trochę tym zdziwieni; ja sama spróbowałam nieco tej trzciny wyskubać.

Poza tym – przy tym zakładaniu elektryczności unosił się wszędzie kurz niemiłosierny. Niewiele dawały wysiłki Mamy, aby wszystkie sprzęty dokładnie poprzykrywać. Za to wkrótce nad naszym stołem w kuchni i dalej, w głębi koło kuchni kaflowej, a także w pokoju zawisły lampy z żarówkami. Zrobiło się momentalnie bardzo widno w całym mieszkaniu. Lampa naftowa powędrowała do piwnicy, na wypadek, gdyby jeszcze kiedyś miała być potrzebna. Ale potrzebna już nigdy nie była. Trochę później, w okresie wojny okresowo zastępowaliśmy lampy i żyrandole elektryczne – ale wcale nie lampami naftowymi, tylko tzw. karbidówkami, czyli specjalnymi lampami gazowymi. Elektryczność była w owym czasie często wyłączana, jednak lampy naftowe okazały się już nieprzydatne, a to z racji niedostępności nafty. Karbidówki zasilano się bryłkami karbidu. Składały się z dwóch części – do dolnej wkładało się karbid, który, płonąc, syczał i wydzieliał nieprzyjemny zapach acetylenu.

Sąsiadami Babci byli państwo Porowscy. Zajmowali takie jak my mieszkanie, ale jednopokojowe, choć mieszkało w nim aż pięć osób: rodzice i troje dzieci, dwaj chłopcy, nieco starsi ode mnie i bardzo hałaśliwi, oraz ich starsza

siostra. Gdy Porowscy wychodzili do pracy, ich chłopcy zostawali sami. W tamtym czasie często tak się działo, kiedy rodzice musieli pracować. Chłopcy biegali wówczas po całym mieszkaniu, łózkach, rzucali w siebie poduszkami, różnymi domowymi sprzętami, a zdarzyło się i tak, że po mieszkaniu latały noże – gdy chłopcy celowali nimi do szafy. Wołali mnie do siebie, ale bałam się do nich chodzić, ze strachu, że bawiąc się, uderzą mnie czymś ciężkim, choć przyznam, że nieco mnie ciągnęło do tego panującego u nich rwetesu i zgiełku.

Do naszego mieszkania i do sąsiadów, Porowskich, wchodziło się z klatki schodowej przez wspólną sień. W tej sieni zaopatrywaliśmy się w wodę z przeznaczonego dla tych dwóch mieszkań kranu ze zlewem.

Do naszego mieszkania prowadził korytarzyk, z którego wchodziło się do dużej kuchni. W kuchni po lewej stronie stała duża szafa, a zaraz za nią wąskie łóżko wujka Heńka, ustawione bardzo blisko okna. Po przeciwnej stronie stał duży stół, przy którym mogły usiąść cztery lub nawet pięć osób – czyli Rodzice i ja, a także Babcia i wujek. Z czasem musiał się tu jeszcze zmieścić mój młodszy brat, Janek.

Obok drzwi do pokoju stały szafki kuchenne z wiadrem na wodę, a w kącie – kuchnia z paleniskiem przykrytym fajerkami. Pod kuchnią paliło się węglem.

Pokój pełen był mebli. Pod ścianami stały: bielizniarka, moje łóżeczko z siatką, a naprzeciw łóżko Rodziców, duży ciemny kredens, i podobna etażerka oraz biały piec kaflowy. W poprzek stało łóżko Babci, a na środku pokoju – stół gościnny z krzesłami.

I kuchnia, i pokój miały po dużym, podwójnym oknie z lufcikiem. W pokoju pod oknem stała niska szafka, a na niej nowe pięciolampowe radio Phillipsa, kupione tuż przed wojną; pamiętam, że stare powędrowało do warsztatu wujka Heńka. Okna wychodziły na ogródek. Każdego dnia pod parkanem stawiali ludzie „proszący”, jak to się wtedy mówiło. Grając na skrzypcach, gitarze, organkach, harmoniach albo śpiewając piosenki, prosili o wsparcie finansowe. Zwykle byli młodzi – przed wojną o pomoc często prosili studenci wyższych uczelni, przeważnie noszący białe czapki Uniwersytetu Warszawskiego. Działo się tak dlatego, że studenci, zwłaszcza ci z prowincji, znajdowali się na ogół w dość ciężkiej sytuacji materialnej. Ale też wielu z tych „proszących” to byli po prostu ludzie, którzy nie znaleźli pracy w Warszawie, bo z nadziejami tak jak dziś przyjeżdżało tu wielu, a tymczasem o pracę nie było łatwo. Wśród oczekujących na datki pod parkanem zdarzali się także ludzie starsi, a nieraz i dzieci.

Dla mnie, brzdąca przecież, w tamtym czasie ten ruch pod parkanem oznaczał jedynie ekscytację. Pamiętam bardzo dobrze, że gdy tylko usłyszałam granie lub śpiew, zaraz biegłam do okna. Mama mnie wtedy podnosiła i stawiała na parapecie, podając zawinięty w gazetę pieniążek, który rzucałam „proszącemu”. Byłam szczęśliwa, bo zawsze jeszcze dodatkowo coś zagrali lub zaśpiewali.

## **Słów kilka o przodkach. Babcia Justyna**

Pamięć o dawnych przodkach ze strony Mamy nie została jej przekazana, dlatego nie ma ich także w mojej. Wiem tylko, że rodzice Babci Justyny uprawiali ziemię. Możliwe, że już ich rodzice, a może dopiero oni przybyli do Polski z zachodu. Byli emigrantami z Niemiec. W Europie, w XIX wieku, ludzie często wędrowali za pracą – za chlebem. Polacy z Wielkopolski, ówczesnie zaboru pruskiego, wędrowali na zachód do Niemiec, gdzie w Nadrenii-Westfalii i Zagłębiu Ruhry znajdowali pracę w kopalniach węgla czy hutach. Ze Śląska, ale również z Wielkopolski wielu ludzi wyjeżdżało do Francji, gdzie w tamtejszych kopalniach węgla łatwiej było znaleźć zatrudnienie. Natomiast z zachodu, przede wszystkim z Niemiec, ludzie przemieszczali się w poszukiwaniu pracy i lepszego życia na wschód.

Dużą grupą ludnościową byli rolnicy, którzy wędrowali w poszukiwaniu ziemi pod uprawę. Idąc na wschód, przez Polskę docierali aż do Rosji, do Wołgi. Ci, którzy zatrzymali się w Polsce, na naszych ziemiach, będących w tamtym czasie pod zaborem rosyjskim, nazywani byli osadnikami niemieckimi, o tych, co dotarli dalej, mówiło się, że to Niemcy nadwożańscy.

Oprócz tej migracji rolniczej na ziemie polskie, znajdujące się wtedy pod trzema zaborami, przybywało też wielu rzemieślników i kupców z Niemiec. Najwięcej z nich trafiło do nas, na ziemie pod zaborem rosyjskim. Szukali większych perspektyw dla siebie i szans dorobienia się. Niektórzy mieli bardzo wysokie kwalifikacje, znani byli z sumienności i pracowitości. Zakładali warsztaty, sklepy i pracownie.

Wielu z nich osiadło właśnie w Warszawie, która była wówczas miastem wchłaniającym wszelkich przybyszów. Stwarzano tu dogodne warunki do osiedlenia się, co w przyszłości pozwoliło imigrantom z tych małych zakładów rodzinnych zbudować duże firmy z tradycjami – jak Wedel, Spiess, Habermusch i Schiele, Weigle, Gebethner, Halpert, Jung, Scholtze, Henneberg i inne. To była ta warstwa imigrancka, która w dużym stopniu przyczyniła się do rozwoju miasta.

Rodzice mojej Babci Justyny z domu Rieske przybyli na Mazowsze z Niemiec. Byli rolnikami. Osiedlili się we wsi Kazuń (okolice Nowego Dworu Mazowieckiego, gmina Czosnów, ok. 30 km od Warszawy) lub w jej okolicy. Babcia prawdopodobnie była pierwszym pokoleniem imigranckich dzieci. Nie została na roli, jak rodzice. Ziemię uprawiała jedynie jej siostra Karola, która najprawdopodobniej wyszła za mąż także za rolnika, a po mężu nazywała się Ebert; zachowało się zdjęcie Babci i siostry Karoli w jej gospodarstwie rolnym. Na podwórzu wiejskim siedzą obie siostry, a wokół nich stoją ich dzieci: moja Mama i wujek Heniek, a także bliźniaczki ciotki Karoli: Olga i Ana oraz ich brat Edward. W Warszawie mieszkał jeszcze brat Babci, niestety nie wiem, jaki miał zawód ani

czym się zajmował. Wszyscy troje, czyli moja Babcia, jej siostra i brat, zapewne dobrze posługiwali się niemieckim, czyli językiem ich domu, ale musieli już dość dobrze znać język polski. Natomiast, jak pamiętam z dzieciństwa, ani moja Mama, ani wujek Heniek, ani ciotki Ana i Olga i wujek Edek nie znali już języka niemieckiego.

Babcia wyszła za mąż w Warszawie. Dziadek, Krzysztof Heckman, musiał pochodzić z rodziny rzemieślniczej, także przybyłej w jakimś czasie do Warszawy z Niemiec. Wszyscy byli ewangelikami. Zapewne będąc jednego wyznania, w jakichś okolicznościach się poznali i pobrali. Może spotkali się podczas nabożeństwa w warszawskim kościele św. Trójcy?

Dziadek Krzysztof Heckman z zawodu był szewcem. Jego warsztat zapewniał rodzinie całkiem niezłe utrzymanie. Ale przy tym, według opowiadań Babci, dziadek był również człowiekiem bardzo towarzyskim. Świetnie tańczył i był często zapraszany na różne uroczystości i przyjęcia, na których pełnił rolę wodzireja. Babcia, zwykle mu towarzysząca, wspominała też, że miał kłopoty z żołądkiem i zawsze, ilekroć chodził na przyjęcia, musiał mieć przy sobie pieczywo pszenne, na wypadek, gdyby go nie podawano do kolacji. Inny rodzaj mu szkodził. Na jednym z takich przyjęć dziadek przeziębził się, zachorował, jak wtedy mówiono, na galopujące suchoty (myślę, że tak naprawdę na ciężkie zapalenie płuc) i zmarł zimą, na początku 1912 roku.

Dziadkowie dochowali się trojga dzieci. Moja Mama – Anna – była najstarsza, po niej urodziła się Emilka i najmłodszy wuj Henryk, który przyszedł na świat kilka miesięcy po śmierci swego ojca. Moja Mama, zostając pólsierotą, miała pięć lat, a ciocia Mila – zaledwie trzy.

Babcia Justyna była małomówna, nie chciała nigdy wspominać o tym niełatwym okresie swego życia. Była osobą bardzo zamkniętą. Po śmierci dziadka jej sytuacja uległa dramatycznemu pogorszeniu. Została sama z trojgiem małych dzieci, a przecież jak większość kobiet w tamtych czasach nie miała wykształcenia, umiała wprawdzie czytać i pisać, ale nie miała żadnego zawodu. Była jednak kobietą o twardym charakterze – taką ją zapamiętałam. Nie ugięła się pod nieszczęściem. Ale też musiała podejmować trudne decyzje jako matka i osoba, na której barkach spoczęło utrzymywanie rodziny.

Zachowała mieszkanie, bo dawało jej i jej dzieciom dach nad głową. Zapewne wtedy, korzystając z tego, że na podwórku było tak wiele warsztatów i pracujących w nich ludzi, postanowiła do części mieszkania wprowadzić sublokatorów, co zapewniło jej stały dochód. Wiemy, że takim sublokatorem był mający na podwórku warsztat stelmachowski pan Jan Kobyliński, za którego, w kilka lat po śmierci dziadka, wyszła po raz drugi za mąż i który zajął się pasierbami jak prawdziwy ojciec.

Ale nim Babcia została mężatką po raz drugi, musiała imać się różnych

zająć, a mojej Mamie – wówczas kilkuletniej – powierzała opiekę nad wujkiem. Mama wspominała, że od wczesnego dzieciństwa musiała brać udział w prowadzeniu domu, by pomóc Babci w utrzymywaniu rodziny. Zapewne od czasów, kiedy do rodziny wszedł dziadek Kobyliński, było jej trochę lżej, ale od Mamy Babcia zawsze wymagała więcej niż od innych.

Te lata, w których mojej Mamie przyszło dorastać, były szczególnie ciężkie. W całej Europie wzrastał się niepokój, zbliżał się początek pierwszej wojny światowej. Nadchodził czas strasznych bitew, wielkiego głodu i chorób dziesiątkujących ludność.

Był to czas trudny zwłaszcza dla ludzi ubogich, a do takich zaliczała się w jakiejś mierze także Babcia, póki nie wyszła powtórnie za męża. By jakoś przeżyć, często wyruszała na wieś do siostry, ciotki Karoli, do Kazunia. Zawsze zabierała ze sobą Mamę, aby jej towarzyszyła, a przy okazji też mogła zabierać i unieść to, co Babcia dostała lub kupiła na wsi. Mama miała wtedy około jedenastu lat: zwykle szły pieszo w kierunku Modlina, gdzie leży Kazuń. Po drodze musiały minąć roгатki, przy których stało wojsko, rewidujące wszystkich i rekwirujące, co się tylko dało. Najgorszy był powrót. Mama mówiła, że wracały przeważnie nocami, dźwigając swoje toboły na plecach. Na takich jak one często czekali rabusie, którzy zabierali im cenne towary. Można też było zostać przy okazji pobitym. Dlatego nawet późną jesienią, gdy robiło się już chłodno, szły naokoło, nadkładając drogi, omijały roгатki, a wszystko po to, by się nie narazić na grabież żywności. Dzieciństwo mojej Mamy nie było więc lekkie.

### **Warszawscy ewangelicy**

Nie bez przyczyny wspomniałam warszawski kościół św. Trójcy. Już od XVIII wieku, tj. od 1781 roku, gromadził on na nabożeństwach liczną grupę warszawskich ewangelików.

Warto przy tym wspomnieć o historii ewangelików w Warszawie i samej parafii. Jak czytam w książce Marii I. Kwiatkowskiej Kościół Ewangelicko-Augsburski, słynne wystąpienie Marcina Lutera w Wittenberdze w 1517 roku także na ziemiach polskich nie pozostało bez odzewu. Poglądy jego podzielili początkowo przede wszystkim bogatsi mieszkańcy z Gdańska i Torunia – a z czasem i Warszawy, silnie związanej z Gdańskiem relacjami handlowymi. Do luteran dołączyła również pewna liczba przedstawicieli rodów magnackich, a także część duchowieństwa katolickiego. Idee wyraźnie nie znalazły jednak zrozumienia u króla polskiego, Zygmunta Starego, który sięgnął po broń ostateczną i za głoszenie herezji luterskich przewidział najcięższe kary – wygnanie, konfiskatę majątku, a nawet karę śmierci. W jego ślady poszedł książę mazowiecki Janusz, który ogłosił duże kary za trzymanie i czytanie luterskich ksiąg czy słuchanie kazań.

Pomimo tych szykan i prześladowań, ruch luterński w Polsce rozwinął się na tyle, aby w 1573 roku, już po śmierci Zygmunta Starego, przeprowadzić w sejmie konwokacyjnym w Warszawie uchwałę zapewniającą tolerancję dla religii różnowierczych – luteranizmu, kalwinizmu, braci czeskich, a nawet arianizmu. Zgodnie z tą tzw. konfederacją warszawską, odtąd władza państwowa nie mogła prześladować nikogo z powodów religijnych.

Za czasów króla Stefana Batorego – pomimo silnego oporu Kościoła katolickiego – ewangelicy zasiedli w radach miejskich, obejmowali wyższe stanowiska i urzędy, łącznie z urzędem starosty warszawskiego. Liczba luteran w Warszawie rosła także i z tej przyczyny, że król Batory zapewniał opiekę i swobody tym kupcom i rzemieślnikom, którzy zaopatrywali wojsko – co zaowocowało nową falą napływu z innych części Rzeczypospolitej i emigracji, głównie z Niemiec. Także w kolejnych latach na ziemi polskie przybywali liczni kupcy i rzemieślnicy niemieccy, którzy szybko asymilowali się, pozostając jednak przy luteranizmie.

W tym czasie w Krakowie, Lublinie, Poznaniu istniały już świątynie luterzańskie, ale w Warszawie nie. Budowy nowych świątyń niekatolickich zabraniała ustawa sejmowa z 1632 roku. Na swój własny kościół warszawscy ewangelicy poczekać musieli, jak wspomniałam, aż do XVII wieku, posiłkując się jedynie uczestnictwem na prawach gości w nabożeństwach, które urządzał w swoim pałacu przy Krakowskim Przedmieściu magnat Anzelm Gostomski – o ile wizytował akurat stolicę ze swym prywatnym kapłanem, czy też korzystając z zaproszeń innych arystokratów.

Po 1687 roku, co sześć miesięcy z posługą przyjeżdżał do Warszawy kapłan z oddalonego o 100 km Węgrowa, umożliwiając udział w nabożeństwach także biedniejszej części luteran. Jak opisuje Maria I. Kwiatkowska, w 1711 roku skończyło się to nawet międzynarodową awanturą. Otóż katolicki biskup poznański, powołując się na edykt księcia mazowieckiego Janusza z 1525 roku, polecił sporządzić spis wszystkich warszawiaków uczestniczących w nabożeństwach, grożąc im procesem karnym. Na to odezwał się zawiadomiony dwór pruski, że proces taki będzie wiązał się z wydaleniem jezuitów rezydujących w Królewcu, Tylży i pod Świętą Lipką. Tak więc w kolejnym roku na wizytę pastora luterńskiego w Warszawie biskup poznański już nie zareagował. Nim udało się warszawskim ewangelikom postawić swoją świątynię oddano do użytku w stolicy ewangelicki cmentarz, ulokowany pomiędzy wodociągami miejskimi a arsenałem. Jak pisze Maria I. Kwiatkowska w swojej książce – udaremniono też zaplanowaną przez „garstkę obcych” próbę podporządkowania warszawskiej gminy królowi duńskiemu – wraz z rachunkiem finansowym zboru. Usiłowania te, w środowisku ewangelików nazwane zostały zdradą i wywołały falę oburzenia.

Plany budowy kościoła zatwierdzono dopiero w 1775 roku, gdy warszawska

społeczność ewangelicka liczyła już około 5 tys. osób. Wiele starań w tej kwestii wykazał Piotr Tepper, właściciel domu bankowego – uchodzący za najbogatszego bankiera końca XVIII wieku. Plac, na którym miał zostać wybudowany kościół, był darem lokalnych ewangelików. 15 stycznia 1777 roku parafia otrzymała przywilej królewski zezwalający na budowę świątyni. Królem był w tym czasie Stanisław August, który spośród trzech propozycji osobiście wybrał projekt autorstwa Szymona Bogumiła Zuga. Uroczyste otwarcie i poświęcenie kościoła ewangelicko-augsburskiego św. Trójcy w Warszawie odbyło się 30 grudnia 1781 roku, a ówczasie odnotowano, że – z ciekawości zapewne – na uroczystość zawitali także nieluteranie. Wspomina się o najznamienitszych warszawskich damach oraz niezliczonym pospólstwie.

Świątynię otwarto, a niewiele później przyszedł czas upadku i rozbiorów. Po klęsce wojny polsko-rosyjskiej w 1792 roku Warszawę – i Polskę – spotkało załamanie gospodarcze, zlikwidowano również bank wspomnianego Piotra Teppera. Warszawa znalazła się w zaborze rosyjskim.

W czasach powstań niepodległościowych przeciw Rosji i Prusom warszawscy luteranie zapisali się nad wyraz chlubnie. W insurekcji kościuszkowskiej wykazali się ofiarnością i zaangażowaniem. Udział w walkach, jak czytamy w książce Marii I. Kwiatkowskiej, brali nawet niedawni przybysze, nie mówiący jeszcze po polsku. Osobiście walczył w nim drugi pastor zboru Karol Hemmerich, który potajemnie opuścił Warszawę, by stanąć u boku swojego przyjaciela z Drezna, Henryka Dąbrowskiego. Z kolei Tadeusz Kościuszko, doceniając zasługi pastora Karola Schmidta, osobiście dziękował mu w liście, pisany po niemiecku: „Nie bez wzruszenia, Czcigodny Mężu, dowiedziałem się, ile dokładasz starań, aby powierzony Twojej pieczy zbor zarówno własnym przykładem jak i czerpanymi z najczystszej moralności napomnieniami do gorącej miłości ojczyzny zagrzewać”. W tym samym liście informował też, że jeńcom pruskim zezwalać będzie na praktyki religijne w ich obrządku.

Maria I. Kwiatkowska podaje też, że w dziesięcioletnim okresie pruskiej okupacji Warszawy, nasycona została ona liczną napływową ludnością protestancką związaną z władzami okupacyjnymi – co bardzo ograniczyło samodzielność zboru. Jedyną korzyścią dla zboru było spłacenie długu pozostałego z czasów budowy świątyni przez króla pruskiego Wilhelma Fryderyka III.

Rozbudowa kościoła i należących do niego budynków trwała przez cały XIX wiek. Wiadomo, że pod koniec tego stulecia niemal 50 proc. polskich luteran uważało się za Polaków. Stało się to zarzewiem wielu konfliktów – zwłaszcza podczas pierwszej wojny światowej. Ewangelikom Polakom udało się jednak oprzeć germanizacyjnym naciskom. W 1905 roku kolegium kościelne zboru ewangelicko--augsburskiego powołało, na wniosek ks. Juliana Machlejda, komitet przygotowujący otwarcie miejskiej szkoły średniej z wykładowym językiem



polskim. Patronem szkoły został Mikołaj Rej. Otworzono ją w roku 1906 jako Gimnazjum im. Mikołaja Reja, finansowała ją parafia, ale uczęszczali do niej uczniowie różnych wyznań. Podobnie było w otwartym w 1925 humanistycznym gimnazjum żeńskim im. Anny Wazówny (zajmowało ono część należącego do parafii budynku przy Kredytowej 2). Warszawskie szkolnictwo ewangelickie rozkwitło w dwudziestoleciu międzywojennym. Później, po drugiej wojnie światowej, praktycznie nie istniało. Odrodziło się dopiero niedawno, staraniem fundacji Ewangelickie Towarzystwo Oświatowe. W roku 2014 rozpoczęła działalność Szkoła Podstawowa im. Samuela Bogumiła Lindego. Jej patron był wieloletnim kuratorem parafii św. Trójcy, przewodniczącym Konsystorza Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce, twórcą pierwszego słownika języka polskiego i prezesem Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych (instytucji należącej do Komisji Edukacji Narodowej).

Kościół ewangelicki w Polsce, który miał w Warszawie wielu wyznawców, prowadził szeroką akcję nauczania polskiego i integrowania się z Polską, wpajając polską świadomość patriotyczną. Stąd też i Mama, i wujek Heniek mówili tylko po polsku, co oznacza, że w tym języku mówiło się w domu, ale wiem, że Babcia mówiła też po niemiecku, a język ten znała z dzieciństwa, jego znajomość wyniosła z domu.

Nabożeństwa w kościele prowadzono w języku polskim. Szczególnie podniosłe msze odbywały się w Wielki Piątek, dzień – jak wiemy – ogromnie symboliczny w chrześcijaństwie, a w naszym Kościele w szczególności. To zawsze był i nadal jest dzień pełen skupienia i rozmyślań.

### **Emilia**

Z wczesnym okresem mojej rodziny wiąże się pewna trudna historia. Dotyczy ona Mili, młodszej siostry mojej Mamy. Po śmierci męża, Krzysztofa Heckmana, a mego dziadka, pod ciężarem nieszczęść i kłopotów, jakie na nią spadły, Babcia Justyna postanowiła oddać młodszą córkę Emilkę swemu bratu na wychowanie. Miała zapewne nadzieję, że będzie to tylko czasowa opieka; uczyniła to, wiedząc, że nie będzie w stanie zająć się córkami, a zwłaszcza małą Milą, w sytuacji, gdy spodziewała się trzeciego dziecka. Brat Babci, Krzysztof Rieske, był od niej starszy i również mieszkał w Warszawie, z żoną i dziećmi starszymi od Mamy – córką i synem.

Być może było i tak, że brat sam zaproponował Babci pomoc, biorąc młodszą Milę do siebie. Miała wtedy zaledwie trzy lata. Z moją Mamą Babci było już dużo łatwiej, wiedziała też, że Mama będzie pomagać jej w doglądaniu maleńkiego dziecka.

Najprawdopodobniej Babcia sądziła, że w niedługim czasie zabierze Milę do domu, by wszystkie dzieci znów były razem, jednak splot wypadków sprawił, że

wszystko potoczyło się inaczej. Gdy nastały w kraju ciężkie czasy, pojawiły się ogromne kłopoty zaopatrzeniowe i zaczęły szerzyć rozmaite choroby – brat Babci postanowił wrócić tam, skąd przybyli jego rodzice – czyli na zachód. Mogło być też i tak, że gdy w domu brata zapadała decyzja o wyjeździe, Babcia przebywała nie w Warszawie, lecz u siostry w Kazuniu. Tak czy owak brat, wyjeżdżając, zabrał ze sobą Milę, która już się przyzwyczaiła do nowego domu. Nie wiem, czy uzgodnił to z Babcią, czy też jej o swoich zamiarach nie powiadomił. Może liczył, że po jakimś czasie wszyscy wrócą do Warszawy? Może, prócz czynników zewnętrznych, zaważyło i to, że brat Babci oraz jego żona traktowali Milę jak własne dziecko, kochali ją i nie chcieli jej oddać?

Zatrzymali się w Holandii, a po jakimś czasie osiedlili się w Niemczech, w Nadrenii-Westfalii, najpierw w okolicach Dortmundu, a potem już w Gladbeck, gdzie wuj znalazł dobrą pracę w kopalni węgla. Przemysł górniczy i hutniczy pracowały w tamtym czasie pełną parą i rodzinie musiało się żyć całkiem nieźle, zwłaszcza że, jak usłyszałam po latach, brat Babci był cenionym fachowcem pracującym do późnego wieku.

Jednakże czasy, które miały nadejść, były pełne niepokoju: w perspektywie dwie straszne wojny; tak że każdy dzień oddalał myśl o powrocie, a nawet i spotkaniu. Matka z córką nie spotkały się już nigdy.

Wiele wskazuje na to, że Mila z czasem zapomniała o swej prawdziwej rodzinie. W szkole w Niemczech jako jej nazwisko podano nazwisko Rieske, a nie Heckman. Wujostwo cały czas występowało jako rodzice Mili. Moment zwrotny nastąpił, gdy Mila miała rozpocząć lekcje w kościele ewangelickim, przygotowujące ją do konfirmacji, czyli pierwszej komunii. Pastor zażądał wtedy metryki urodzenia i najwyraźniej był w tym bardzo skrupulatny, nie chcąc odstąpić. Wiem, że taka metryka została wysłana z Warszawy. Myślę, że musiał to być szok dla biednej Mili, dowiedziała się bowiem, że jej rodzice nie są jej rodzicami, a jej prawdziwa mama mieszka w Polsce, ojca zaś nie ma od dawna. Być może postanowiła wtedy zapomnieć o tym fakcie ze swej biografii, możliwe, że chciała wykreślić z życia, że ją cokolwiek łączy w Polsce z matką i siostrą, niewiele od niej starszą. Życie pokazało, że spośród tych dwóch rodzonych sióstr jedna – moja Mama – czuła się Polką, była związana z tym krajem silnym patriotyzmem, a druga do końca uważała, że to Niemcy są jej ojczyzną. Czuła się Niemką, tak została wychowana. A tymczasem w Niemczech w 1933 roku do władzy doszedł Hitler i rodził się narodowy socjalizm. Do tego każda z nich założyła własną rodzinę i codzienne życie, problemy, kryzys światowy, brak stabilizacji coraz bardziej oddalały je od siebie.

Na brak więzi mogło wpłynąć też i to, że mówiły innymi językami, moja Mama nie знаła niemieckiego, a mieszkająca w Niemczech ciocia Mila – polskiego.

A Babcia – jak ją pamiętam do późnych lat jej życia, nigdy nie mówiła nic na temat swej młodszej córki. Był to zamknięty temat. Nawet – szczególnie zamknięty. Świat Babci ograniczał się do dwojga dzieci: córki, czyli mojej Mamy, i syna, wujka Heńka.

Wiem jednak, że Mama, najwyraźniej pamiętająca młodszą siostrę, wiele razy starała się dowiedzieć, co się dzieje z Miłą. Sporadycznie się to udawało. Czasem jedynie jakieś wieści docierały za pośrednictwem kuzyna Michała, syna brata Babci, który przez dłuższy czas mieszkał w Polsce i tu założył rodzinę. Jednak nie potrafił usiedzieć dłużej w jednym miejscu, wciąż się przenośił. I nic dziwnego, w Polsce miał rodzinę żony, a w Niemczech własnych rodziców.

Latem 1939 roku wyjechał razem z żoną właśnie do nich, i tam zastała go wojna. Pozostał w Niemczech. Szczęśliwie nie nadawał się do wojska, więc pracował w jakimś zakładzie. W owym wojennym czasie jego żonę zatrudniono na pocztę w Niemczech, gdzie kierowane były listy polskich jeńców wojennych do dalszej wysyłki. Ciotka pisała, jak płakała nad tymi listami, wiedziała, że taki sam los dotyczy także jej polskiej rodziny. O swoich przeżyciach z tej pracy opowiadała nam już, kiedy przyjechała do Polski w 1957 roku. Dopiero wtedy dostała wizę do Polski, a przecież nadal mieszkała tu jej najbliższa rodzina. Wtedy też podzieliła się z nami wiadomościami o tym, co się dzieje z siostrą Mamy, Miłą. Otóż: Miła wyszła za mąż i po mężu nazywała się Schulte, miała dwoje dzieci: syna Helmuta i córkę Annę, która po mężu nazywała się Gintoft-Marckowiak. Trochę to nazwisko musiało jej chyba przypominać własne polskie pochodzenie. Ale to wszystko wydarzyło się dużo później. W okresie przedwojennym nie wiedziałam nawet, że Mama ma siostrę w Niemczech.

Dowiedziałam się o tym przypadkowo dopiero w czasie wojny. Było lato 1941 roku, godziny popołudniowe, około czwartej. Pamiętam ten dzień jak dziś. Stałam na podwórku z koleżanką i raptem zobaczyłam kroczącego przez nasze podwórko niemieckiego żołnierza. Sądząc po mundurze i czapce, wyglądał mi na oficera. To sugerowało co najmniej poważne kłopoty. Ale ku mojemu zdumieniu żołnierz, zdążając przez nasze podwórko, wszedł do mojej klatki schodowej. Biegiem ruszyłam do domu zobaczyć, co się dzieje. Okazało się, że wchodzi do naszego mieszkania. Po cichu wsunęłam się do środka. W tym czasie żołnierz już rozmawiał z Mamą, ale głównie z Babcią, która jako jedyna w domu znała język niemiecki. Po krótkiej rozmowie wyszedł i już nigdy więcej się nie pokazał. Nie wiem, kim był. Wtedy Mama opowiedziała mi, że w Niemczech ma siostrę Miłę – i całą jej historię. Może ten żołnierz przyszedł dowiedzieć się, czy żyjemy? Niestety, nie wiem, o czym wtedy rozmawiali.

### **Historia Dziadka Antoniego**

Był rok 1932. Zima, mroźny styczniowy wieczór i czarne bezgwiezdne

niebo. Pod nogami Taty chrząścił biały śnieg. Pamiętam, jak siedziałam wysoko na jego ramionach, obok szła moja Mama, a także stryj Józek i jeszcze jacyś ludzie. Ktoś z nich, idąc, oświetlał lampą drogę zasypaną śniegiem. W końcu zobaczyliśmy dom i wtedy Tata zdjął mnie z ramion. Weszliśmy do słabo oświetlonej izby, pełnej ludzi, a dalej przez otwarte drzwi Tata wniósł mnie do drugiej izby. Pośrodku leżał Dziadek Antoni. Miał na sobie ciemne ubranie, ale ja w tym słabym świetle świec, stojąc na podłodze, widziałam głównie jego wąsy. Wokół, pod ścianami, stały kobiety i na przemian to głośno śpiewały pieśni żałobne, to odmawiały pacierze. Ten obraz, zapach świec, dziwny, podniosły nastrój, widok Dziadka ułożonego na katafalku i głosy kobiet wryły mi się tak głęboko w pamięć, że pozostały na zawsze jako jedyne wspomnienie z bardzo wczesnego dzieciństwa. Miałam wtedy tylko trzy lata.

Dziadek, jak wynikało z opowiadań mojej Mamy – szalenie ciekawa osoba, wywarł ogromny wpływ na losy swojej rodziny. Mama wiedziała o nim najwięcej, bo dużo ze sobą rozmawiali, sporo jej o sobie opowiadał i bardzo ją kochał.

W moim odczuciu był to człowiek wybitny jak na owe czasy, czyli na drugą połowę XIX wieku. Mam tu na myśli nie talenty wynalazcze czy wykształcenie, ale wyjątkowo otwarty umysł, jakąś niezwykłą przenikliwość życiową – biorąc pod uwagę warunki i środowisko, w jakim przyszło mu żyć.

Przez całe życie mieszkał na mazowieckiej wsi. Była to wieś Lekarzycie Stare, gdzie ziemia była marna, nieurodzajna, piaszczysta, gospodarstwa małe, a ludzie biedni. Daleko było stąd do okolicznych miasteczek, zacofanych cywilizacyjnie – bez jakiegokolwiek przemysłu, a jedynie z drobnym rzemiosłem. Wśród mieszkańców tych miasteczek przeważała społeczność żydowska. Wielu z mieszkańców tych okolic, w tym sąsiadów Dziadka z Lekarzyc zapewne nie umiało ani czytać, ani pisać, mimo że wieś ta leżała na trasie z Warszawy do Krakowa, 60 km od stolicy. Wsie nie miały też w owym czasie elektryczności, drogi i trakty były piaszczyste, tylko te ważniejsze utwardzano, ale i tak pełne były dziur i wybojów. Spieszący do kościoła ludzie latem szli przeważnie boso, a dopiero w ostatniej chwili, niemal przed samą świątynią, wkładali buty – zwykle jedyne, jakie mieli, te same na wszystkie pory roku. Małe gospodarstwa stać było tylko na hodowlę jednej lub dwóch krów, do tego paru prosiąt i może więcej drobiu, bo o to było łatwiej. Ziemie nie dawały dużych plonów. Żadna nowoczesność tu nie docierała. Praca w gospodarstwach opierała się na pracy rąk całej rodziny. Podstawą uprawy w chłopskich zagrodach były ziemniaki i żyto, które zapewniały utrzymanie całym rodzinom, ale każdej wiosny na przednówku bieda i głód i tak zaglądały do większości domów.

Gospodarstwo Dziadka początkowo znajdowało się w centrum gęsto zabudowanej wsi, ale później rodzina przeniosła się do domu położonego na tzw. kolonii, gdzie gospodarstwa rozrzucone były w pewnym oddaleniu od siebie.

Dziadek Antoni Milewski był dzieckiem, o którego pochodzeniu nic nie wiadomo: ani kim byli jego rodzice i dlaczego nazywał się Milewski, ani nawet, czy było to jego prawdziwe nazwisko. W okolicy nikt jednak takiego nazwiska nie nosił, można więc domniemywać, że było prawdziwe.

Dziadek urodził się w 1863 lub w 1864 roku (nawet co do tego nie ma pewności), a więc w latach powstania styczniowego. Był to okres wielkiej zawieruchy w kraju. W jaki sposób Dziadek trafił do rodziny Dziubińskich, nie wiadomo. Jego opiekun był jednak, jak mi się zdaje, zamożnym gospodarzem, i to piastującym godność wójta. Pewne jest, że Dziadek dobrze się u nich czuł i zawsze traktował ten dom jak własny, rodzinny. Córkę gospodarzy Małgorzatę łączyły z Dziadkiem bliskie więzi, traktowali się wzajem jak brat i siostra, a potem to uczucie bycia bliską rodziną przejęły kolejne pokolenia. Więzy utrzymały się zresztą do dziś. Dziadek, dzięki temu, że był wychowywany w dość zamożnym domu, uczęszczał do szkoły i jak na owe czasy, miał dość dużą wiedzę.

Sytuacja materialna Dziadka prawdopodobnie sprawiła, że ożenił się stosunkowo późno. Babcia Antonina pochodziła z rodziny Mirkowskich i była jedną z pięciu sióstr, które jej ojciec miał na wydaniu. Jak wynika z przekazów, dziadek Mirkowski był na tyle zamożny, że całkiem nieźle wyposażał swoje córki. Babcia wniosła więc do rodziny wiano, które razem z tym, co miał Dziadek Antoni, pozwoliło na założenie gospodarstwa we wsi Lekarcice i zbudowanie domu. Z małżeństwa urodziło się siedmioro rodzeństwa. Czyli, jak na tamte czasy, Dziadek z Babcią mieli przeciętnie liczną rodzinę.

Najstarsza była ciocia Mania, która urodziła się w 1891 roku, po niej przyszedł na świat stryj Stanisław, a następnie 29 września 1896 roku mój Tata Michał. W dalszej kolejności szły: ciotka Waleria, stryjowie: Józef i Franek oraz najmłodsza ciocia Łucja.

Niestety w 1914 lub 1915 roku babcia Antonina zmarła. Podobnie, jak jeden z jej synów – Franciszek. W Europie nastąpiły ciężkie czasy wojny, szalejącego głodu i panoszącej się zarazy, jaką wówczas była cholera, która dziesiątkowała ludzi. Zachorował na nią również mój ojciec, jego stan był już prawie beznadziejny. Tata wracał do tych wspomnień bardzo często, opowiadając trochę anegdotycznie o ówczesnym akcie swej silnej woli. Leżał otóż w wysokiej gorączce, w tak kiepskim stanie, że Dziadek myślał, iż nie przeżyje, toteż spytał go, w jakim garniturze chciałby zostać pochowany, w jasnym czy w ciemnym. Na co Tata się obruszył i rzekł, żeby ojciec na nim krzyżyka pochopnie nie stawiał, bo on zamierza wyzdrowieć. I rzeczywiście, jakoś się wylizał z tej ciężkiej choroby.

Niestety, pozostawiła ona po sobie komplikacje. Spowodowała obumarcie strun głosowych i dlatego mój Tata przez całe życie mówił niezmiernie cicho. Nie mógł śpiewać, nad czym ubolewał. Bardzo był nieszczęśliwy, bez powodzenia próbując się włączyć do chóru kościelnego. Miał wówczas 17 lub 18 lat.

Po śmierci babci Antoniny Dziadek został sam z gromadką dzieci. Ciocia Wala, najstarsza córka i czwarte z kolei dziecko, miała 12, a najmłodsza ciocia Lucia tylko 6 lat. Dziadek nie ożenił się ponownie. Mawiał zawsze, że żonę to może by i znalazł, ale matki dla swoich dzieci – nie znajdzie na pewno. Zapewne już wtedy z domu wyszedł stryj Stacho, ale prócz najmłodszych dzieci w gospodarstwie pozostał Tata, osłabiony po ciężkiej chorobie, i jego starsza siostra Mania, też cierpiąca, bo ogólnie chorująca od dziecka. Prowadzeniem domu zajęła się dwunastoletnia Wala, ale trochę pomagała jej siostra Mania i kuzynki, które mieszkały nieopodal. Dziadek prowadził zaś gospodarstwo przy pomocy Taty i małego stryjka Józka. Nie było w tym nic dziwnego – wiadomo przecież, że w tamtych czasach dzieci na wsi od wczesnego dzieciństwa zaprawiane były do pomocy w polu i przy zagrodzie.

Mimo ciężkich warunków po stracie żony i konieczności samodzielnego zajęcia się dziećmi, Dziadek wszystkie swoje latorośle posłał do szkoły, aby umiały czytać i pisać. Tak jakby wiedział, że tylko to może im otworzyć drogę do „wielkiego” świata. Postanowił też zawczasu, że żadnego z synów nie pozostawi na roli, że gospodarstwo odziedziczy tylko jedno dziecko, córka Wala, która zresztą wniosła do jego utrzymania najwięcej swojej pracy. Co do synów – podjął decyzję o wysłaniu ich na naukę, do terminu, do Warszawy. Do wielkiego miasta, a nie – jakiegoś pobliskiego małego miasteczka – tego najwyraźniej nie uważał za przyszłościowe. Najpierw wyruszył do stolicy stryj Stach, a po jakimś czasie mój Ojciec. Po kilku latach dołączył do nich stryj Józek.

W jaki sposób Dziadek załatwił naukę zawodu dla synów, nie wiem, ale przypuszczam, że musiał wybrać się osobiście do Warszawy i na miejscu znaleźć takiego rzemieślnika, który by się zgodził przyjąć do terminu chłopaka ze wsi. Zapewne wybrał też zawód, wtedy powszechnie poważany. W tych czasach dla biednych dzieci wiejskich najbardziej dostępne były właśnie takie profesje, jak kołodziej, kowal, szewc, rymarz czy stolarz. W tych zawodach łatwo też było o pracę, stanowiły one najprostszą drogę do usamodzielnienia się i pozostania w mieście. Możliwe, że do terminu na kołodzieja chętnie przyjmowano młodych chłopców, bo transport kołowy dynamicznie się rozwijał i potrzebni byli nowi rzemieślnicy. Tak oto bracia zostali kołodziejami i całe życie w tym zawodzie pracowali, zdobywając uznanie i szacunek. Tylko stryj Józek nie poszedł ich śladem i jak to się kiedyś mówiło, „przysposobił się” do pracy w handlu. A na końcu bracia ściągnęli do Warszawy najmłodszą siostrę Lucię, która najpierw też się trochę uczyła, a później znalazła pracę.

Dzięki przenikliwości Dziadka synowie i najmłodsza córka nie zostali na roli, nie musieli więc z mozołem gospodarować na małych skrawkach ziemi, rozdrobionej przez podział między rodzeństwo, i w biedzie, jaka panowała na polskiej wsi w dwudziestoleciu międzywojennym. Odbili się, a przy tym trafili na

czas, w którym na ich pracę istniało spore zapotrzebowanie.

### **Jak się poznali moi Rodzice?**

Mama, Anna, urodziła się 11 września 1906 roku, a Tata 29 września 1896 roku. Mimo różnych miejsc urodzenia i pochodzenia ich dzieciństwo było pod wieloma względami bardzo podobne.

Przed Mamą, przychodzącą na świat w Warszawie, głównym mieście Polski, w rodzinie już w zasadzie zakorzenionej w naszym kraju teoretycznie mogła się rysować dobra przyszłość. Ale bardzo wczesna utrata ojca zaważyła na jej dalszych losach. I to miało wpływ na całe jej dalsze życie, mimo że jak się potem nieraz okazywało, była bardzo zdolna i pracowita.

Inaczej niż Dziadek Antoni, Babcia Justyna nie miała sił, a może i nie potrafiła lepiej pokierować przyszłością swego najstarszego dziecka. Mama od chwili śmierci ojca, a zwłaszcza po urodzeniu się brata musiała zajmować się gospodarstwem i opiekować dzieckiem. Stała się podporą swojej matki, która musiała imać się rozmaitych zajęć, by utrzymać dom. Mama niemal więc od początku dzieciństwa nie zaznała zabawy ani takiej beztroski, jaką cieszyły się inne dzieci. Ale miała przynajmniej ten przywilej, że chodziła do szkoły, której nie zaniedbywała. Po wielu latach, gdy sama byłam już uczennicą, z przyjemnością słuchałam wspomnień pastora Rügera, który uczył Mamę religii, a potem także i mnie. Powiadał on zawsze: „Ta twoja mama to dopiero była znakomitą uczennicą”. W tej samej szkole namawiano Babcie, by koniecznie posłała Mamę dalej, do szkoły średniej, była przecież bardzo zdolna i mogłaby pójść na studia. Babcia jednak, mając zapewne na względzie własne trudne doświadczenia życiowe, uznała, że najważniejsze, aby Mama szybko zdobyła zawód i jakąś niezależność finansową, pracę. To Babcia zdecydowała więc, że Mama pobierać będzie tylko naukę kroju i szycia. A w perspektywie – zacząć zarabiać, by pomóc rodzinie.

Głównym zadaniem mojej Mamy od wczesnego dzieciństwa było pomaganie najbliższemu, a to wyrobiło w niej umiejętność radzenia sobie w różnych sytuacjach. Godziła pomaganie matce z pomaganiem bratu, a przy tym wszystkim starała się jak najlepiej uczyć. Ale mimo że jej własne potrzeby i ambicje zostały zepchnięte na dalszy plan, Mama nie przestała być osobą o silnym charakterze, własnym zdaniu i dużej niezależności w podejmowaniu decyzji.

Tak jak Dziadek Antoni Milewski ukierunkowywał swoją rodzinę, tak Mama organizowała życie całej naszej rodziny. Planowała jej przyszłość, określała priorytety, wytyczała zasady postępowania. Zawsze stawiała przed sobą i przed nami zadanie, aby wspiąć się wyżej, mierzyć dalej, mieć swoje zdanie i styl. Wyróżniała się. I tak było zawsze.

Tata urodził się na wsi, która szczególnie w zaborze rosyjskim była biedna i cywilizacyjnie zaniedbana. Jego dom rodzinny musiał się jednak korzystnie

wyróżniać na tle innych i wedle jego wspomnień nie było tam biedy. Od dzieciństwa Tata musiał ciężko pracować na roli, by pomagać rodzicom. W pewnym momencie swego życia stracił matkę, tak jak moja Mama straciła ojca.

Już w czasie pobytu Taty w Warszawie Polska odzyskała niepodległość, ale trwały jeszcze walki. Tata został zmobilizowany i walczył w Bitwie Warszawskiej pod Radzyminem w 1920 roku. Został w niej lekko ranny i po tym zwolniony z wojska. W tym samym mniej więcej czasie stryj Stanisław założył warsztat kołodziejski przy ul. Grzybowskiej 51, czyli tam, gdzie mieszkała Babcia, a gdzie Tata po powrocie z wojska rozpoczął pracę u swego brata. Szukał zapewne jakiejś taniej stancji, i takie miejsce do spania znalazł właśnie u Babci. I tak los sprawił, że Rodzice się poznali.

Tata miał już wówczas około 25 lat, a Mama – zaledwie 15. Różnica wieku między nimi była dość duża, choć w tamtych czasach to nie miało wielkiego znaczenia, pary łączyły się wtedy, gdy pan młody był finansowo samodzielny. Wiek odgrywał mniejszą rolę: panny zazwyczaj były znacznie młodsze od swoich przyszłych mężów.

Przez pewien czas, kiedy Mama dorastała i uczyła się zawodu, a Tata już pracował, nie było mowy o ślubie – Mama był młodziutka, a Tata nie zarabiał wiele. Po mniej więcej roku czy dwóch Tata zmienił jednak pracę i zatrudnił się w państwowej fabryce zbrojeniowej, dającej mu dużo lepsze wynagrodzenie i kasę chorych. Mijały lata. Mieszkali w jednym domu, widywali się co dzień, poznawali coraz bliżej. A Mama była bardzo ładna i zgrabna, a do tego zapewne dominowała w domu, co sprawiło, że ten spokojny, łagodny mężczyzna – jakim był zawsze Tata – coraz bardziej się nią interesował.

Mama też mogła widzieć w Ojcu zalety. Był spokojny, nie pił, nie palił papierosów, ciężko pracował. Może Mama zobaczyła w nim szansę na wyjście z domu? Może myślała, że w ten sposób jeszcze bardziej ulży Babci, choć przecież już w tym czasie umiała szyć i haftować i w ten sposób zarabiała?

Istniał jednakże pewien zasadniczy w owych czasach problem. Dziś może się to wydawać mało istotne, ale wtedy... Między tymi młodymi ludźmi istniała przecież różnica wyznań. Mama i jej rodzina byli ewangelikami, a Tata katolikiem. Zapewne, mieszkając tyle lat pod wspólnym dachem w środowisku rodziny ewangelickiej, Tata oswoił się już z tą religią, być może nie bardzo nawet uzmysławiał sobie różnice, jakie istnieją między tymi wyznaniami, i nie zastanawiał się specjalnie nad tym, co z tego może dla niego wynikać. Tym bardziej, że gdy przyszło do rozmów o ślubie, Mama obstawała twardo przy tym, aby odbył się on w Kościele ewangelickim.

W tamtych czasach bardzo często ewangelików nazywano Niemcami, byli bowiem przybyszami przeważnie z Niemiec. Myślę, że nawet dziś takie decyzje mogą być trudne dla młodej pary, ale w tamtych czasach były po wielokroć



trudniejsze. Myślę też, że Tata do końca nie zdawał sobie sprawy, jak to przyjmie jego rodzina. Albo też musiał być naprawdę zakochany, skoro przystał na ten warunek.

Data ślubu została wyznaczona na 25 września 1925 roku. Tata o swoim ślubie powiadomił oczywiście Dziadka i całą rodzinę zaprosił, aby wszyscy przyjechali. Dziadek Antoni nie przyjął z radością wiadomości o planach małżeńskich swego drugiego syna, a to ze względu na owo „niemieckie” wyznanie panny młodej. Musiał Mamę widywać wcześniej, ale temat różnicy religii nigdy nie wypłynął i kwestia Kościoła, wg obrządku którego miała się odbyć uroczystość, nie tylko dla Dziadka, ale i dla całej rodziny na wsi musiała być zaskoczeniem. Dziadek zapewne w ogóle nic o ewangelikach nie wiedział, no bo i skąd miałby wiedzieć? Jego rozeznanie ograniczało się do stereotypu, że ewangelicy to nie Polacy, tylko Niemcy.

Tak więc Dziadek, podobnie jak i rodzina na wsi, już zawczasu powiadomili Tatę, że nie wybierają się na uroczystość. Według rodzinnych przekazów Dziadek postanowił jednakże przyjechać do Warszawy, ale tylko po to, jak mówił, aby cały ten ślub rozpedzić. Tata okazał się jednakże nieugięty. Kareta zaprzężona w dwa białe konie stała na podwórku, pod rodzinnym domem i czekała na młodą parę, a Tata przekonywał swego Ojca, by się jednak do kościoła wybrał. W końcu mu się udało, Dziadek się zgodził. Tymczasem w kościele przy placu Małachowskiego na młodą parę czekał pastor Zygmunt Michelis, który nie okazał zniecierpliwienia, mimo że nowożeńcy przyjechali na uroczystość z godzinnym niemal opóźnieniem. Kościół, choć duży, wypełniony był już po brzegi gośćmi, a pastor wygłosił podobno piękną mowę. Dziadek wszystkiego wysłuchał – cała uroczystość odbywała się po polsku (w Kościele ewangelickim nabożeństwa zawsze odbywały się w językach ojczystych). Już na weselu powiedział do Mamy, że mu się ten ślub nawet podobał.

Po ślubie w religijnym życiu Mamy i Taty nic się nie zmieniło, każde pozostało przy swoim wyznaniu. Ona chodziła do kościoła ewangelickiego na plac Małachowskiego, on – do kościoła Wszystkich Świętych przy placu Grzybowskim. Kiedy byłam już na świecie, często chodziliśmy też wspólnie do jednej lub drugiej świątyni. Z późniejszych ploteczek w czasie któregoś z pobytów na wsi Mama dowiedziała się, że po powrocie z Warszawy o małżeństwach swych najstarszych synów Dziadek mówił: „że jeden się spaskudził, a drugi zniemczył”. Co do tego, co właściwie miał na myśli w tym pierwszym przypadku, nie mam pewności, acz z osobą stryjenki Brońci wiązały się opowieści świadczące o tym, że ponad więzy z rodziną męża – i zobowiązania wobec niej – wyraźnie i zdecydowanie przedkładała więzy i kontakty z własną rodziną.

Z czasem się okazało, że to właśnie Mama jest ulubioną synową Dziadka Antoniego. Zwierzał jej się z różnych trosk i wielokrotnie zapraszał do siebie na

wieś. Myślę, że się doskonale rozumieli. Oboje byli osobami kierującymi swoimi rodzinami, planowali, wprowadzali w życie własne strategie – jednym słowem mieli podobny sposób patrzenia na życie i pewnie dlatego wzajemnie sobie ufali.

Po ślubie zostały dwie złote obrączki z wygrawerowaną datą ich ślubu oraz inicjałami: Mamy na obrączce Taty i Taty na obrączce Mamy.

### **„Ta Niemka”, czyli ukochana synowa**

Opowiadania o spotkaniach Mamy z Dziadkiem pojawiały się w różnych wspomnieniach, a ja bardzo lubiłam ich słuchać. To były relacje zarówno ze spotkań u Dziadka na wsi, jak i tych, które odbywały się, gdy Dziadek przyjeżdżał z wizytą do syna i synowej do Warszawy.

Latem 1929 roku Mama na zaproszenie Dziadka wybrała się razem ze mną na wieś. Od szosy krakowskiej do domu Dziadka prowadziła polna gruntowa droga, a do samego gospodarstwa – wąska alejka. Domostwo otoczone było drewnianym płotem. W domu Dziadka gospodarowała już wtedy ciocia Wala z mężem, wujkiem Władkiem. Był już też na świecie ich mały synek, prawie rok starszy ode mnie, zwano go Jurkiem, choć naprawdę miał na imię Stanisław. Dom był niewielki. Obok niego na podwórku stała obora dla zwierząt, nieco dalej, frontem do domu, najbardziej okazała ze wszystkich zabudowań stodoła. Przy domu był też ogródek z kwiatami, z których najlepiej zapamiętałam – być może już jako starsze dziecko – wysokie warszawianki. Niedaleko domu znajdowała się głęboka studnia.

Mimo że na Grzybowskiej nie mieliśmy luksusów, to na wsi pod pewnymi względami było znacznie gorzej. Po prostu w tamtych czasach pewne sprawy nie były jeszcze znane. Dlatego, przed naszym przyjazdem Mama poprosiła Dziadka, aby wybudował na podwórku ubikację. Jak wtedy mawiano na wsi, wychodek. Dała mu też parę złotych na zakup desek. W owych czasach na wsiach w wiadomym celu chodziło się w pole lub za stodołę. Na przyjazd Mamy czekała już jednak piękna, pobudowana z białych desek ubikacja z zamykanym wiekiem i oczkiem w drzwiach. Była zawsze dobrze utrzymana, wyszorowana i leżał w niej papier.

Ale Mamę w czasie tego pierwszego pobytu czekały również inne niespodzianki. Lato tego 1929 roku było bardzo upalne, w nocy przechodziły silne burze, które budziły wówczas strach, bo od piorunów płonęło wiele zagród wiejskich. Większość domów była drewniana, a dachy kryte słomą, tak samo jak obory i stodoły. W upalne dni ustawiano Mamie miejsce do siedzenia w ogrodzie, było też miejsce do leżenia dla mnie i chodzącego już małego Jurka. Wszyscy domownicy bardzo dbali o Mamę; Dziadek, ciocia Wala i jej mąż, który, jak się okazało, za nią wprost przepadał. Mama udzielała im mnóstwa rad, była zawsze pogodna i na wszystko znajdowała rozwiązanie. Siedząc w ogrodzie, stwierdziła w

pewnym momencie, że przez dom i podwórko przewija się zaskakująco wiele osób ze wsi. Zawsze mile się witali, rozglądali, no i podchodzili do Mamy na krótką rozmowę, a przy tym gospodynie prosiły, by móc wziąć mnie na ręce. Mama zapytała w końcu Dziadka, czy ludzie w tej okolicy zawsze tak się często odwiedzają, i to w środku dnia. Dziadek, uśmiechając się, odrzekł, że kupił już drugi worek soli do pożyczania sąsiadom, bo wszyscy przychodzą niby to sól pożyczyć, ale tak naprawdę to chcą sprawdzić, jak wygląda „ta Niemka, z którą Michał się ożenił”. I dodał, że większość we wsi spodziewała się raczej, że Niemka nie może być do nich podobna.

W Lekarcicach wszyscy okazywali zawsze Mamie wiele serca, ale też gdzie ona się pokazywała, zawsze coś dobrego wszystkim doradziła.

W tych latach niedługo po ślubie moich rodziców także Dziadek od czasu do czasu odwiedzał swoje dzieci w Warszawie. W stolicy miał już przecież trzech synów i córkę i liczył na wsparcie z ich strony. Odwiedzał synów i synowe, zapewne patrzył wtedy uważnie i oceniał, jak im się powodzi. Stryj Stacho miał już wówczas niezłe prosperujący warsztat, ale Tata około 1930 roku został bez pracy. W wyniku postępującego światowego kryzysu gospodarczego, który dotknął i Polskę, fabryka zbrojeniowa zwalniała z pracy kawalerów, bezdzietnych i tych z jednym dzieckiem. A ja byłam wtedy jeszcze jedynaczką.

Dziadek, człowiek nawykły do trudnych warunków, ale wtedy już sześćdziesięcioletni, a przy tym spracowany, drogę do Warszawy przemierzał pieszo. Wychodził z domu o brzasku, tak by wieczorem, po sześćdziesięciokilometrowym marszu zapukać do drzwi. Były to zazwyczaj drzwi do mieszkania Taty i Mamy. Za tymi drzwiami był dom, w którym zawsze go dobrze przyjmowano. Tu czuł się najlepiej, zwłaszcza że i Babcia bardzo lubiła teścia swojej córki.

Na wsi musiało być ciężko z pieniędzmi, skoro ten niemłody już człowiek wyruszał pieszo, a nie korzystał z regularnie już wtedy kursującego autobusu, którym mógł dojechać do samej Warszawy. Któregoś dnia Mama odprowadzała Dziadka – na autobus, kiedy wracał do domu na wieś. Ale szedł wyjątkowo ociężale i wolno. Wzbudziło to podejrzenie u Mamy, zapytała więc: „Mówił Tata, że jest wyposażony na drogę, czy wszystko jest w porządku?”.

Wtedy dowiedziała się, że teść ma pieniądze na autobus tylko do Tarczyna, a dalej będzie musiał iść pieszo. Tak więc pospiesznie wróciła do domu i dała mu 5 złotych, które wystarczały na całą drogę do domu, i więcej. Odtąd zwykle dbała, by zaopatrzyć go w pieniądze na drogę. Wiele ich łączyło, a na wsi dużo bliskich kuzynek Taty mówiło jej, iż teść zawsze mawiał, że tę synową, choć mu się kiedyś wydawało, że była Niemką, to właśnie najbardziej kocha.

**Życie na co dzień**

Moje wspomnienia o domu rodzinnym z wczesnego dzieciństwa nierozzerwalnie wiążą się z mieszkaniem przy Grzybowskiej 51. To tam słuchałam rozmów Rodziców i ich opowiadań o tym, jak to niegdyś bywało, ale i sama wypytywałam, bo dzięki wychowaniu Mamy – byłam tego bardzo ciekawa.

W naszym mieszkaniu żyły tak naprawdę dwie rodziny. Jedną stanowiła Babcia z wujkiem, a drugą tworzyliśmy my, moi Rodzice i dzieci. Babcia od zawsze bardzo kochała wujka, był jej oczkiem w głowie. Przyszedł na świat już po śmierci dziadka, no i był przy tym długo wyczekiwanym synem.

Kiedy dorósł i już pracował, zawsze była u jego boku i czuła się dalej samodzielną gospodynią. Mamie to nie przeszkadzało, uważała, że jej matka jest z tym szczęśliwsza. Ale o cały dom dbała Mama – aby był w nim idealny porządek i wszystko, co potrzebne.

Mimo że od ślubu mijały lata, Rodzice dalej mieszkali z Babcią w mieszkaniu bez wygód. Na taki stan rzeczy złożyło się wiele przyczyn. Początkowo wszystko zapowiadało się pomyślnie: Tata pracował w zbrojowni, miał stałą pracę i jako tako zarabiał. Niestety, na samym początku małżeństwa zdarzyło się nieszczęście. W 1926 roku przyszły na świat trojaczki, Danusia, Marysia i Zbyszek. Chłopiec był ponoć atletycznej budowy. Jednak cała ta trójka urodziła się przedwcześnie i zmarła. Ja pojawiłam się na świecie dopiero dwa lata potem jako czwarte dziecko. Zanim przyszłam na świat, Mama przeżywała więc ciężki okres i zapewne wołała być wtedy jak najbliżej swojej mamy, na którą zawsze mogła liczyć.

W tych pomyślnych czasach, kiedy Tata miał stałą pracę i dobrze zarabiał, Mama rozsądnie i oszczędnie gospodarowała, a część zarobionych pieniędzy Rodzice odkładali. Oszczędzali, licząc, że w pewnym momencie znajdą lepsze mieszkanie i zamieszkają w nim osobno. Ale niestety nadeszły bardzo ciężkie czasy; Tata po zredukowaniu został bez pracy i trzeba było żyć z oszczędności. Mama nie mogła liczyć na wsparcie swojej matki, bo już nie było ojczyma, a wujek, jako początkujący stelmach, po przejęciu warsztatu po ojczymie ledwo, ledwo dawał sobie radę i niewiele zarabiał. To wszystko działo się w latach wielkiego kryzysu gospodarczego, który ogarnął cały świat, w tym Polskę. Wciąż zamykano fabryki, ogromna liczba ludzi nie miała pracy. Zwolnieni z pracy pozostawiani byli własnemu losowi.

Tata – z niechęcią, ale jednak – postanowił się zaczepić w warsztacie stryja Stacha, którego warsztat kołodziejski mimo kryzysu wciąż miał wielu klientów. Po jakimś czasie zrozumiał, że nie będzie tu miał żadnych perspektyw. Podjął wówczas decyzję, by z oszczędności założyć własny warsztat. Otworzył go jednak nie w lewobrzeżnej Warszawie, gdzie mieszkaliśmy, lecz na Pradze, po prawej stronie Wisły, i to w samym jej centrum, przy ulicy Targowej, gdzie panował wielki ruch z dorożkami i klienci łatwo do niego trafiali. Tata, z uwagi na warunki,

jakie tam miał, ograniczał się do naprawy kół i innych części. Był bardzo pracowity i dość szybko wypracował sobie liczną, stałą klientelę wśród dorożkarzy i furmanów większych wozów do przewożenia towarów. Czasami – na krótko przed wybuchem wojny – miał nawet do pomocy jednego lub dwu czeladników. Do pracy wstawał latem bardzo wcześnie, a do warsztatu dojeżdżał tramwajem od Żelaznej przez most Kierbedzia lub od strony Alej Jerozolimskich i dalej przez most Poniatowskiego. Wracał późnym wieczorem. Zimą pracował trochę krócej.

Otwarcie tego warsztatu musiało postawić rodzinę finansowo na nogi, bo z tego, co pamiętam, Rodzice mogli sobie teraz pozwolić na więcej niż poprzednio, choć sytuacja wciąż nie była najlepsza. Mimo to dom nadal spoczywał na Mamie. Zwłaszcza finanse domowe. Zwyczajowo Tata wszystko, co zarobił – poza pewnymi sumami pieniędzy potrzebnymi do prowadzenia warsztatu – przekazywał Mamie, a ona dbała, by oszczędnie gospodarować. Mimo skromnych warunków Mama miała aspiracje. Choć nie mieliśmy porządnego mieszkania, dbała na przykład o to, abyśmy się wyróżniali dobrym gatunkowo, modnym ubraniem. Zaczęła też znów odkładać, abyśmy się mogli przenieść do lepszego, samodzielnego mieszkania, i obstawała przy tym, żeby znajdowało się ono po lewobrzeżnej stronie Warszawy. Stroniła od Pragi czy Grochowa, gdzie w latach 30. budowało się już wiele domów nieźle wyposażonych. Podobnie sytuacja przedstawiała się na Żoliborzu, ale mieszkania w budynkach spółdzielczych, które tam powstawały, leżały poza jej zasięgiem, także cenowym.

Mieszkanie w starej kamienicy przy Grzybowskiej wymagało nieustannych wysiłków w celu utrzymania porządku i czystości. Stąd też w domu zawsze, od rana do wieczora, Mama jako niestrudzona czyścioszka miała przez cały czas ręce pełne roboty.

Dziś, gdy niemal nie ma już takich kamienic, warto wspomnieć, jak to wtedy wyglądało. O wielu z tych zwyczajnych wówczas prac dzisiejsze, nawet najlepsze gospodynie nie mają pojęcia.

Przede wszystkim: porządki w starej, warszawskiej kamienicy podlegały pewnym stałym, powtarzającym się rytmom związanym z porami roku. Wiosną, gdy słońce już mocno przygrzewało, na podwórku zaczynał się ruch – wiosenne porządki. Najpierw patrzyłam, jak Tata wyjmuje wewnętrzne okna w kuchni i pokoju. Montowało się je na zimę na stałe; przez tę chłodną część roku wietrzenie mieszkań odbywało się tylko przez mały lufcik, umieszczony w środkowej części okna. Po umyciu te dodatkowe okna gdzieś wieczorem wędrowały z mieszkania, by przeczekać do następnej zimy. Po usunięciu różnych rzeczy leżących między oknami, układanych tam w celu uszczelnienia, następowało gruntowne szorowanie i przemywanie szyb. Zdejmowano firanki, a w pokoju jeszcze zasłony. W ruch szły też pierzyny i kołdry, które układano wysoko na parapetach umytych okien, aby po zimie dobrze je wywietrzyć.

Z wielu mieszkań gospodarze wynosili też część mebli, by lepiej je przeglądać i oczyścić. Trzeba pamiętać, że stare domy w tamtych czasach pełne były robactwa i nie było środków, aby sobie z tym problemem skutecznie poradzić. U nas w domu przeglądano wszystkie łóżka, sprawdzano je i myto bardzo dokładnie. W pokoju odsuwano kredens, by także za nim dokładnie posprzątać. Mimo że często myto podłogi, to teraz szorowano je ze szczególną starannością, a następnie podłogę w pokoju pastowano. Dokładnie myto także piec kaflowy. Zazwyczaj takie generalne porządki odbywały się w tygodniu poprzedzającym Wielkanoc. Wtedy na podwórku do trzepaka ustawiała się długa kolejka, bo zarówno poduszki i pierzyny, jak i dywaniki wymagały porządnego wytrzepania z kurzu.

To wszystko robiła u nas prawie wyłącznie Mama, trochę jej w tym pomagała Babcia i wujek Heniek. Tych porządków za bardzo nie lubiłam. W tym czasie, korzystając z tego, że robiło się już ciepło, mogłam przynajmniej pobiegać z koleżankami po podwórku.

Za to nigdy nie omijałam wielkiego prania w domu. Już zawczasu Mama ustalała z sąsiadkami termin, kiedy będzie potrzebowała zająć strych, na którym wisały sznury na bieliznę. Jedna strona klatki budynku miała swoją suszarnię po jednej stronie, a druga po drugiej, tak aby lokatorzy nie wchodzili sobie w paradę. Przysłuchiwałam się nieraz sąsiadkom, które nie mogły dojść do porozumienia, kto ma kupić i założyć nowe sznury, bo stare się już do niczego nie nadawały – oczywiście nikt nie chciał wyłożyć pieniędzy. Mama zawsze ostentacyjnie odmawiała udziału w tych handryczeniach; jej własne, prywatne grube sznury zawsze wisały przy wejściu na strych – tak więc jedynie mówiła sąsiadkom, kiedy chce mieć górę dla siebie, ale gdy sznury były wolne, pozwalała innym wieszać na nich pranie. Oczywiście, z naszych sznurów milcząco korzystała też cała reszta kamienicy, czemu Mama nigdy się nie sprzeciwiała.

Dzień przed wielkim praniem Tata i wujek przynosili ze strychu balię. Tę większą, metalową niósł Tata, w niej prała Mama. Mniejszą przynosił wujek dla Babci.

Balie rozkładano pośrodku kuchni, na dwóch taboretach. Do każdej z nich solidnie mocowano wyżymaczki. Na rozpalonej kuchni od rana buzowały napełnione wodą dwa spore cynkowe kociołki, w których najpierw grzana była woda do prania, a później miała się w nich gotować bielizna. W tamtych czasach najpowszechniej używano się bielizny pościelowej białej z płótna, adamaszku, zdobionej koronkami i atłasem. Mama też pięknie ją ozdabiała haftowanymi inicjałami. Nie pamiętam, aby w naszym domu była jakaś kolorowa pościel.

Po nalaniu wody do balii Mama wrzucała do niej po kolei posegregowaną bieliznę. Najpierw obrusy, serwetki, potem bieliznę pościelową, a więc powłoczki z poduszek i jaśków oraz prześcieradła. Układała to wszystko tak, aby w balii

pozostało jeszcze trochę miejsca, no i żeby zmieściła się tam tara, o którą pocierało się dokładnie każdą sztukę bielizny.

Do prania zawsze używało się mydła Biały Jeleń o złocistym kolorze, produkowanego przez fabrykę Schichta. Ja ze stołeczkiem ustawiałam się blisko balii Mamy, Babcia bowiem nie miała cierpliwości do mojego pomagania. Stawałam po lewej stronie Mamy, bo z prawej była rączka od wyżymaczki. Rozpocząło się mydlenie, tarcie na tarze każdej sztuki. Mama zaczynała od sztuk najdelikatniejszych, a ja usiłowałam wyłapać z mojego miejsca małe serwetki i obok niej na tarze pocierać i prać z całej siły, jaką tylko miałam. Szczególnie czujnie wykorzystywałam momenty, gdy Mama przepuszczała upraną bieliznę przez wyżymaczkę (dwa cylindryczne walce, kręcące się w przeciwnych kierunkach, napędzane ręcznie korbką, wyciskały z bielizny wodę), bo wtedy miałam na tarze więcej miejsca dla siebie.

Z tyłu za wyżymaczką stała duża miska, do której spadała uprana już i wyżęta bielizna. Po upraniu części bielizny zmieniało się wodę na czystą, którą już zawczasu grzało się w kotle – i raz jeszcze wrzucało każdą sztukę bielizny do balii, tak żeby wszystko się uprało dwa razy. Dla mnie to wszystko było wielką przyjemnością: pluskanie, przekładanie w wodzie bielizny z jednej strony na drugą, podawanie Mamie. Ale żebym się nie nudziła, Mama pozwalała mi też te małe serwetki czy powłoczki jaseczkowe wyżymać. A wtedy ze stołeczkiem biegłam pod wyżymaczkę i kręciłam ile sił. Patrzyłam zafascynowana, jak bielizna wolno zsuwa się do miski. Byłam też zachwycona, obserwując, jak skóra nasiąknięta wodą marszczy mi się na dłoniach. Przy praniu bez przerwy coś się działo, a ja lubiłam coś robić, no i koniecznie chciałam pomagać. Miałam to szczęście, że Mama mi pozwalała i była w tym wszystkim cierpliwa.

Po upraniu partii bielizny wkładano ją do pustego kotła napelnionego zimną wodą z dodatkiem cienko struganego mydła, ale tak, by woda lekko przykrywała zawartość. Kocioł ustawiano na otwartych fajerkach, dosypywało się pod kuchnię węgla, nakładano pokrywę na kocioł i tak bielizna miała się gotować. W tym czasie Mama zabierała się już do prania kolejnej bielizny pościelowej, a wreszcie ręczników i ścierek. Firanki też się prało osobno. Dla mnie ten etap był już mało osiągalny, tu prało się tylko duże sztuki, ciężkie po nasiąknięciu wodą. W czasie gotowania bielizna była kilkakrotnie przekręcana, aby równomiernie się wyparzała. Po wygotowaniu Mama z Babcią wносиły kocioł na korytarz, gdzie bieliznę wrzucało się do wielkiej miski, żeby odparowywała.

Zawsze mnie dziwiło, dlaczego po wygotowaniu woda w kotle była okropnie żółta, skoro wrzucano tam upraną już bieliznę białą.

Wygotowana bielizna po raz trzeci musiała być przeprana w balii. Pranie przeciągało się do popołudnia, a ja byłam na tyle zmęczona, że Mama wyprawiała mnie do pokoju, gdzie na krótko zasypiałam. Tego dnia Tata przychodził wcześniej

z pracy, aby pomagać Mamie przy płukaniu. Znow nalewało się ciepłą wodę do balii i po kolei sztuka po sztuce płukało, Tata zaś stał przy wyżymacze i cały czas kręcił korbą, a bielizna spływała wolno do misek. Lubiłam patrzeć jak bielutka wolno toczy się w dół. I tak bez końca.

Potem tę wypłukaną bieliznę układało się jeszcze w balii uprzednio wypełnionej wodą z dodatkiem chlorku. Bielizna dezynfekowała się tak przez całą noc.

Roboty było tyle, że w dniu prania Mama robiła tylko mały obiad. Wieczorem, po uporządkowaniu kuchni, siadaliśmy do stołu. Wytrzymałam krótko, by zanesiona na rękach Mamy lub Taty wylądować w łóżku i mocno zasnąć po dniu pełnym wrażeń, ale i bardzo męczącym.

To jednak wcale nie był koniec, bo kolejny dzień też upływał pod znakiem Wielkiego Prania. Po segregacji część bielizny była farbkowana i krochmalona, a ręczniki i ścierki tylko wykręcane. Wszystko to wędrowało w kolejnych miskach na górę, po czym Mama równiutko wieszała pranie na sznurach.

Latem bielizna spokojnie schła na strychu, ale zimą sztywniała od mrozu i długo wisiała, zanim można ją było zdjąć wyschniętą.

Po dwóch dniach z kuchni znikaly balie, wyżymaczki i tary. Mama doprowadzała mieszkanie do porządku i przez jakieś dwa dni panował spokój. Potem Mamę czekała dalsza praca. Po przyniesieniu wysuszonej bielizny ze strychu każda sztuka była wyciągana i układana w rozłożone płótno, a następnie zwijana w wałek. Tata zanosił te wałki do magła.

Magle działały wówczas w wielu budynkach, zwykle w piwnicach. Były magle ręczne – tańsze, ale także elektryczne – droższe, za to niewymagające dużego wysiłku w obsłudze. W takim pomieszczeniu, gdzie stał magiel, zawsze panował przenikliwy ziąb, toteż nie lubiłam tam za długo siedzieć. Bieliznę układano między dwoma ciężkimi wałkami długiego magła, który przesuwiał ją to w jedną, to w drugą stronę, wygładzając swym ogromnym ciężarem. I tak to się powtarzało kilka razy. Gładziutką już bieliznę przekładano i znow zawijano w czyste płótno, tworząc podłużne wałki. Zawsze dziwiło mnie, że wałki bielizny po maglowaniu okazywały się cięższe niż te duże przed maglowaniem. Większość tej ciężkiej pracy spoczywała na barkach Mamy. Po wałki uprasowanej bielizny przychodził jednak zwykle wujek Heniek i zabierał je do domu. Mama maglowała zarówno swoją, jak i Babci bieliznę. Dopiero po tych wszystkich zabiegach bielusińkie i pachnące obrusy, prześcieradła, poszwy i poszewki wędrowały do bieliźniarki.

Ale nim jeszcze zjawily się na półkach bieliźniarki, musiały być uprasowane. Na stole w kuchni rozkładano specjalny koc, a na nim grubsze białe płótno. Po prawej stronie znajdowało się miejsce na żelazko – mosiężne i błyszczące. Wyciągano je z szafki, a także sprawdzano, czy była w nim dusza, bez niej niczego



by się nie uprasowało. Dusza – czyli solidna bryła żelaza – przypominała kształtem ludzką dłoń. Rozgrzewano ją w żarze pod kuchnią do czerwoności. Dobrze rozżarzoną wsuwało się do żelazka i zabezpieczało specjalnym uchwytem, by w trakcie prasowania nie wypadła. Od niej rozgrzewało się całe żelazko i tak Mama prasowała sztukę po sztuce całą bieliznę pościelową, najstaranniej zaś obrusy. W tym samym czasie grzała się pod kuchnią następna dusza na wymianę.

Pamiętam, że prasowanie takim żelazkiem wymagało wielkiej ostrożności, bo gdy było za gorące, mogło spalić lub przyżółcić prasowaną rzecz, czego nie dawało się usunąć i powstawała szkoda. Dlatego przy prasowaniu bluzeczek, koszul czy sukienek Mama starała się mniej rozgrzewać duszę i sprawdzała wcześniej, czy żelazko nie będzie żółcić. Dzień prasowania kończył dni Wielkiego Prania, bo małe przepierki odbywały się stale, jeśli zachodziła taka potrzeba. Takim żelazkiem prasowano u nas w domu przez bardzo długi czas, tak przed wojną, jak i później.

Wielkie wiosenne porządki zapowiadały nadchodzące Święta Wielkanocne. Przygotowania do nich zaczynały się już przed Wielkim Tygodniem. Na Niedzielę Palmową kupowana była na targu piękna palma, którą Tata ze mną święcił w kościele Wszystkich Świętych, po czym ustawiano ją na środku stołu. W połowie tygodnia Rodzice robili zakupy, przede wszystkim kupowana była piękna święconka z marcepanu u Franbolego (jak się wtedy mawiało) lub Wedla. Na stoliczku przykrytym malutkim obrusikiem stały poukładane świąteczne smakołyki w miniaturze, a więc: rumiana szyneczka z nogą, maleńki jak żywy prosiaczek, zwinięte w ruloniki kielbasa biała i zwykła oraz okrągły chlebek. A najważniejsze miejsce zajmowały pisanki, wysokie baby drożdżowe i podłużny makowiec, nieopodal zieleniły się też inne maleńkie dekoracje. Prócz tego była również miniaturowa buteleczka i cztery małe kieliszeczki. Święconka taka stała zawsze na stoliku pod oknem w pokoju. Każdego roku była nieco inna, ale zawsze lśniąca, marcepanowa i wyglądająca „jak żywa”. W pierwszy dzień świąt Wielkiej Nocy zasiadaliśmy do śniadania w pokoju, na stole zaś piętrzyły się jajka, dzieliliśmy się nimi wszyscy i składaliśmy sobie życzenia. Był też przyrządzany zawczasu przez Mamę barszcz biały gotowany na kiełbasie. Po śniadaniu Rodzice zabierali nas na spacer. Dopiero w drugi dzień świąt pojawiali się w domu goście, a czasem to my wybieraliśmy się z wizytą do rodziny Taty lub Mamy.

W parę tygodni po Świętach Wielkanocnych nadchodziły Zielone Świątki. Na targach i na ulicach wszędzie sprzedawano wiązki tataraku. Układano go w całym mieszkaniu, dzieciom zaś służył do grania – dmuchaliśmy w tatarak jak w piszczałki.

Wielkanoc i Zielone Świątki to była już zapowiedź nadchodzącego lata. W domu Mama wyczekiwała na młode kartofle i warzywa, bo stare traciły smak. Dopiero pod koniec maja, a nawet w czerwcu na bazarze pojawiały się młode

ziemniaczki, a później marchewka i buraczki. Ale na pomidory, ogórki czy fasolkę czekało się o wiele dłużej. Latem Mama kupowała mało wędlin. Tylko tyle, ile potrzebowała dla Taty, bo było gorąco, a w domu nie miała lodu. Po takie produkty często chodziłam z Mamą do sklepu wędliniarskiego, który mieścił się w naszym domu. W tygodniu w tym sklepie widywało się niewielu klientów, natomiast w sobotę zawsze stała tam kolejka. Na początku dziwiło mnie, że większość osób prosiła o zważenie pół lub więcej kilograma „rozmaitości”. W dodatku, kiedy mówiłam Mamie, by i dla nas takich „rozmaitości” kupiła, Mama przecząco kręciła głową. Sprzedawczyni krojła po kolei różne wędliny: salceson włoski, boczek, baleron, salceson brunszwicki lub ozorkowy (i tu zawsze się pytała, co kto woli do wyboru), kielbasę zwykłą i pasztetową lub wątrobiankę, na końcu na wierzch krojła trochę szynki i wszystko zawijała w papier. Mama dla Taty kupowała trochę baleronu i boczku, a także kawałek kielbasy do ugotowania na gorąco lub usmażenia z jajkami, a dla nas dzieci dziesięć lub piętnaście deko szynki. Dopiero później zrozumiałam, że dla wędliniarzy najlepsi byli tacy właśnie klienci, którzy kupowali rozmaitości, bo w ten sposób można było sprzedać także i te mniej popularne wędliny i dobrze na tym zarobić. W sklepie wszędzie w wielkich pojemnikach leżał lód do chłodzenia, by towar się nie zepsuł. Duże kawałki lodu sprzedawano wtedy w wytwórniach lodu, jedna z nich znajdowała się niedaleko nas. Czasem Mama chodziła tam i też kupowała lód potrzebny do przechowywania mięsa lub wędlin. Przynosiło się go do domu także przy okazji uroczystości rodzinnych, kiedy uruchamiano się maszynkę do robienia lodów.

Gdy nadchodziło lato, moim ulubionym posiłkiem stawała się pajda chleba z masłem i z pomidorem, rzodkiewkami albo z ogórkiem posypanym solą. Zwłaszcza wtedy, gdy się bawiłam na podwórku i wpadałam do domu tylko na chwilę, by złapać coś do jedzenia. O tej porze roku uwielbiałam też zupę pomidorową, którą Mama gotowała ze świeżych pomidorów na wywarze z mięsa wołowego. Przygotowywała jej zawsze więcej dla mnie, dla Taty, ale także dla Babci i wujka. Wtedy zupę pomidorową podawało się ze śmietaną. Wujek Heniek lubił ją jeść z kluskami, ale dla nas Mama gotowała ryż. Tata dostawał jeszcze na drugie danie kawałek mięsa z zupy, a do tego ziemniaki. Dniem, w którym wszyscy razem zasiadaliśmy do stołu, była oczywiście niedziela. Tata nie pracował, a Mama starała się bardzo, by posiłek był uroczysty. Wtedy dużo częściej niż dziś podawano na obiad zupę, a po niej drugie danie i deser. Z zup, które Mama przyrządzała, najlepiej pamiętam właśnie pomidorową, ale także ogórkową, kartoflaną, krupnik, fasolową i grochową (zanim Mama zaczęła gotować zupę, groch lub fasola moczyły się w wodzie przez całą noc), zacierkową, no i barszcz czerwony lub biały. W okresie lata, gdy pojawiały się czarne jagody, z nich również przyrządzano zupę – jagodową. Bardzo często też na stole niedzielnym królował tradycyjny rosół. Gotowany był na dużej ilości warzyw i

mięsie wołowym, bo Tata nie bardzo lubił kury. Rosół taki od samego rana wolno bulgotał na małym ogniu. Wtedy też Mama rozkładała stolnicę i na niej wyrabiała ciasto na makaron. Do rosółu podawało się tylko cieniuteńkie nitki – były przepyszne. Do dziś uważam, że najlepszy jest makaron domowej roboty. Najczęściej rosół gotowało się na dwa dni i tego drugiego dnia podawało sztukę mięsa (czyli mięso z rosółu) z sosem chrzanowym i kartoflami. Na niedzielny stół prócz zupy, która musiała być zawsze, trafiały też kotlety schabowe podawane z młodą kapustą lub kotleciki mielone z marchewką lub gotowanymi buraczkami. Jako jarzynka pojawiała się też mizeria czy sałata ze śmietaną. W każdy piątek przestrzegano postnego obyczaju i nie podawano mięsa. Często gościł też na stole karp, który był wówczas rybą bardzo popularną i lubianą. Prócz karpia od czasu do czasu przynoszono z targu inne ryby, które rybacy łowili w stawach i rzekach. Czasem, przeważnie jesienią, na stole do kolacji stawiano półmisek ze świeżo przyniesionymi z targu wędzonymi szprotkami. Do tego masło i chleb. Szproty były okrągłe i błyszczące. Patrzyłam jak wujek Heniek obrywał rybkom główki, a reszta znikła mu w ustach. Ja jadałam tylko szproty obrane i bez ości w środku. Mama często kupowała dla siebie minogi. Tylko ona jedna je jadła i się nimi delectowała. Nie wiem, jakie je kupowała, ale przypuszczam, że mogły być marynowane.

W piątki zamiast ryb od czasu do czasu podawano na obiad pyzy kartoflane. Wtedy już od wczesnych godzin do ich szykowania zabierały się obydwie: i Mama, i Babcia, bo robota przed nimi była nie byle jaka. Babcia obierała dużo kartofli, Mama szybko je tarła na drobnej tarce, wykręcała w lnianej ściereczce, a w końcu wyrabiała z mąką i jajkiem w masę, z której ręcznie jedna po drugiej lepiała małe kluski i gotowała we wrzątku. Najlepsze były te tarte z młodych kartofli jesienią, ale też często jedliśmy je zimą, najczęściej ze skwarkami. Na drugi dzień wciąż jeszcze dobrze smakowały, ale trzeciego dnia traciły już i miękkość, i smak.

Lato mijало bardzo szybko i już pod koniec września zaczynały się przygotowywania do zimy. Na początek – przeglądy ubrań. Inni mieszkańcy miasta żyli w podobnych warunkach i rytmie, praktycznie więc w całym mieście w październiku czuć było naftalinę. Tym środkiem ludzie zabezpieczali wiosną i latem zimowe ubrania, chroniąc je przed wszechobecnymi molami. Jesienią, gdy ubrania wyjmowano z szaf, zapach naftaliny towarzyszył nam na klatkach schodowych, na ulicy, w tramwajach. Najgorsze wydawały się te pierwsze chłodniejsze dni, kiedy ubrania nie zdążyły jeszcze wywietrzeć z silnego drażniącego zapachu. Na szczęście mój ciepły płaszczek oszczędzano. Wąchałam go, ale nic podejrzanego nie dawało się wyczuć. W domu również nie czuliśmy naftaliny. Widocznie Mama wkładała do tej szafy jakieś zioła, może lawendę?

Chwilę później w większości warszawskich domów zaczynały się dalsze przygotowania do zimy. Niesłychanie ważną rzeczą był zakup węgla. W naszej

rodzinie Tata zamawiał go w składzie opałowym – musiał być odpowiedniej jakości, bez kamienia. Któregoś jesiennego dnia, w południe, pod samą klatkę schodową zajeżdżał wielki wóz wyładowany węglem. Furman otwierał tylną klapę wozu i ustawiał na niej wagę. W tej kwestii także wszystko znajdowało się pod kontrolą Mamy – od początku do końca. A więc to Mama sprawdzała, czy waga jest dobrze wytarowana i czy węgiel na wozie wystarczająco się błyszczy, bo tylko błyszczący był odpowiedni. I dopiero jeśli to wszystko się zgadzało, Mama prosiła, by wyładować węgiel. Część kupowanego materiału to był opał średniej wielkości, taki najlepiej się nadawał do palenia pod kuchnią. Drugą część stanowiły grubsze i większe kawałki – te lepiej się nadawały do palenia w piecu. Duże kawałki po prostu dłużej się paliły i silniej rozgrzewały piec, który potem długo trzymał ciepło. Nota bene – powszechne wtedy piece to nie był wcale taki bezpieczny sposób ogrzewania. W zimie często dochodziło do zaccadzeń, nierzadko śmiertelnych. Dlatego piece w zimie wielokrotnie sprawdzano, już od jesieni po dachach krążył kominiarz, na którego my, dzieci, gapiliśmy się, jak wpuszcza wielką szczotkę do kominów. Tak, nasze duże podwórko było bardzo dobre do podpatrywania takich rzeczy.

A wracając do zakupów węgla: gdy Mama podjęła decyzję o zakupie, furman wchodził na wóz i szuflą ładował węgiel na specjalne nosidło, w którym mieściło się 50 kilogramów, a jego pracownik brał je na plecy i znosił do piwnicy. Pierwszy raz szła z nim zwykle Mama, aby wskazać miejsce, gdzie ma opał złożyć i otoczyć specjalnie w tym celu przygotowanymi deskami, by węgiel nie rozsypywał się po całym pomieszczeniu. Żeby go przenieść do piwnicy, trzeba było napełnić kosz wiele razy; furman i jego pomocnik kończyli tę ciężką pracę po godzinie, a czasem nawet po dłuższym czasie, cali umorusani na czarno. Po złożeniu węgla w piwnicy Mama przynosiła z góry pieniądze i płaciła im tak, jak było umówione. Tego zakupionego jesienią węgla zawsze wystarczało nam na całą zimę, a czasem nawet jeszcze trochę zostawało.

Wraz z jesienią przychodził okres przygotowywania przez Mamę przetworów na zimę. Najwięcej robiła konfitur z borówek z domieszką gruszek. Jeszcze wcześniej w lecie robiła konfiturę z wiśni. Zawsze smażyła też powidła ze śliwek węgierek, wówczas najpopularniejszych, a także przyrządzała śliwki w occie. Z nadejściem października na rynku pojawiały się wielkie pomarańczowe dynie. Jedną wielką Tata przynosił do domu. Babcia z Tatą uwielbiali robioną z niej zupę, wprost się nią zajadali. Mama natomiast przygotowywała dynię w marynacie. Na zimowym stole przy śniadaniu królowały konfitury, a marynaty podawano jako dodatek do obiadów i kolacji, oraz podczas różnych uroczystości domowych.

Przez cały rok, wiosną, latem czy zimą, już po godzinie szóstej rano pukała do nas gospodyni z podwarszawskiej miejscowości. Przywoziła świeże mleko,

miała w kamienicy stałych odbiorców. Stawała u progu z wielką blaszaną bańką, a Mama podawała jej garnuszek, do którego wlewano pożądaną ilość mleka. Zawsze było świeże i nigdy się nie kwaśło. Gospodyni przynosiła też często śmietanę i świeżo zrobione masło. U nas zawsze od razu dostawała zapłatę, ale wiele osób brało mleko czy masło na kredyt i płaciło jej z opóźnieniem. Muszę zaznaczyć, że moi Rodzice nigdy niczego nie kupowali na kredyt ani nie zaciągali pożyczek – takie mieli zasady. Poza mlekiem większość artykułów mleczarskich Mama kupowała w pobliskiej mleczarni „Agril” (warto przy tym wspomnieć, że założona w roku 1917 Mleczarnia Administracji Gospodarstw Rolnych i Leśnych „Agril” zatrudniała 187 osób). Odkąd sięgnę pamięcią, przed wyjściem z domu zawsze jadłam śniadanie. Wypijałam duży kubek kawy (prawdziwej, nie zbożowej) z mlekiem, bo samego mleka nie lubiłam. Do tego dostawałam zwykle biały ser, często jajko na miękko lub jajecznicę i trochę konfitur. (Ach, i ten zwyczaj pozostał mi do dziś. Bez takiego śniadania nie ma dalszego dnia). W domu od zawsze kupowało się kawę prawdziwą, bo Mama uważała, że zbożowa jest mniej zdrowa. A herbaty piło się różne rodzaje. Nieraz byłam świadkiem, jak do domu przychodzili domokrażcy-sprzedawcy – to od nich kupowało się herbatę. Zjawiali się z wielkim pudłem, z którego wyjmowali różne pomniejsze pudełka herbaty, przeważnie piękne blaszane, bardzo oryginalne. Wyjmując jedno po drugim, zachęcali do kupowania. Zapamiętałam, że jedną z nazw – Cejlon – wypowiadano najczęściej.

Jesienią na podwórku pojawiały się furmanki z ziemniakami. Pamiętam, że pewnego dnia obudziwszy się rankiem, zdałam sobie sprawę, że w domu nie ma ani Mamy, ani Taty. Po jakimś czasie Rodzice wnieśli w koszyku poukładane kartofle. Babcia zaczęła je szybko obierać i wrzucać do trzech garnków. A była specjalistką od cienkiego obierania kartofli, na co się wówczas bardzo zwracało uwagę – obierzyny musiały być cienkie, by jak najwięcej ziemniaka pozostało do zjedzenia. Po ich ugotowaniu Babcia oceniała autorytatywnie, które z nich są białe, kruche, mączyste i nadają się do wszystkiego – to był taki mały domowy rytuał. Słyszałam też zawsze, że my mamy ziemniaki amerykańskie. Potem Mama sama wracała pospiesznie na bazar i podjeżdżała na podwórko razem z chłopską furmanką, pełną tych amerykańskich. Gospodarz znosił ciężkie worki do piwnicy. Przez całą zimę chodziło się więc po ziemniaki do piwnicy i przynosiło do domu tylko potrzebną ilość. Te zakupione jesienią kartofle jadło się zresztą jeszcze w maju, ale wtedy nie były już takie smaczne jak na początku. Kiedy pojawiały się wytęsknione młode ziemniaczki, to zazwyczaj zaczynało je jeść uroczyście od jakiejś niedzieli i podawano na przygotowanym dla wszystkich obiedzie.

Jesienią ruch w domu na jakiś czas się wzmacniał – a najbardziej, gdy w kuchni pojawiała się przytasmczona z piwnicy beczka. Babcia albo Mama szorowały ją i wyparzały gorącą wodą, a następnie wiele razy płukały, mimo że od

wielu miesięcy stała zupełnie czysta w piwnicy. Tak przygotowana czekała w kuchni do dnia, kiedy przed naszą klatką zjawiała się furmanka załadowana główkami białej kapusty. Wówczas na podłodze rozkładano wielkie, nieużywane już prześcieradło i chłop układał z przywiezionej kapusty równiutki, wysoki stos. Główek było ogromnie dużo, chłopci sprzedawali je na kopy – po 60 sztuk, lub mendle – po 15 sztuk. Tej kupowanej przez nas na pewno była cała kopa i jeszcze ze dwie, trzy główki dostawało się w prezencie.

Mama zamawiała wtedy w wypożyczalni szatkownicę, którą Tato przynosił dzień wcześniej i stawiał na stole. Wieczorem zaczynały się przygotowania do Wielkiego Kiszenia. W domu wszystko musiało być w tym celu idealnie czyste, żeby czasem do kapusty nie dostały się jakieś zanieczyszczenia. Podłoga w kuchni lśniła więc, a wszyscy, od Rodziców po Babcie i wujka, zrzucali z siebie ubrania, szorowali się i przebierali w płócienne koszule. Tata z wujkiem zostawali w białych kalesonach, bardzo śmiesznie w tych strojach wyglądali.

Ale najwięcej czasu na tę szczególną higienę ciała poświęcała Mama. Wręcz szorowała się od głowy do stóp – bo też właśnie one odgrywały szczególnie ważną rolę, w kiszeniu najważniejszą. Wkładała mianowicie specjalnie w tym celu trzymane w szufladzie bawełniane kalesony – podwiązywała je do kolan oraz płócienną bluzkę, na głowie zaś mocno zawiązywała chusteczkę, żeby jakiś włos nie zaplątał się w kapuście. Pamiętam do dziś Mamę stojącą pośrodku beczki z poszatowaną kapustą – Mamę, która skacze, skacze i skacze, ubijając dokładnie to, co ma pod stopami.

Pozostali domownicy też mieli w tym kiszeniu swoje stałe funkcje. Babcia stała z przygotowaną solą kuchenną, kminkiem i drewnianą łyżką. Tata z wujkiem między dwoma taboretami mieli umocowaną czyściutką, umytą i dobrze wyparzoną szatkownicę, a pod nią dużą miskę i kolejne naczynia na wymianę. Tata wstawiał Mamę do beczki i wtedy zaczynała się najcięższa, mozolna praca. Tata lub wujek na przemian brali z kopy po główce kapusty, obcinali z niej zbędne liście i podawali sobie do szatkowania. Szatkownicę zawsze ustawiano tak, aby możliwie cienko kroić, bo wtedy kapusta po ukiszeniu była o wiele smaczniejsza. Każda główka poszatowana w cienkie paseczki spadała do podstawionej miski, a stamtąd trafiała do beczki. Babcia posypywała ją lekko solą, a Mama ubijała nogami. Kapusta puszczała sok i tak, miska po misce, poziom kapusty w beczce podnosił się coraz wyżej i wyżej. A ja bez przerwy biegałam w tę i z powrotem od szatkownicy do beczki, zaglądając ukradkiem do środka. Tata mnie trochę przepędzał, bo bał się, że dotknę szatkownicy i zrobię sobie krzywdę, odganiała mnie i Babcia, ale ona raczej z obawy, bym przypadkiem czegoś do tej kapusty nie wrzuciła. Od czasu do czasu wujek robił sobie małą przerwę i dorosłe towarzystwo pozwalało mi, abym wolno poprzeciągała główką kapusty po szatkownicy. I to było najfajniejsze ze wszystkiego.

Gdy kapusta wraz z Mamą dochodziły już do samej góry beczki, a na jej wierzchu pojawiało się bardzo dużo soku, Tata brał Mamę na ręce i wstawiał do przygotowanej wcześniej miski z wodą. Beczkę z kapustą przesuwano pod ścianę w kącie i przykrywano lnianą ściereczką. Mama musiała zmyć z siebie kapustę, a jej stopy – dojsć do siebie po długiej kąpieli w kwaśnym i słonym soku.

Każdego dnia, w chwili, gdy Mama zaglądała do beczki, stawałam możliwie blisko i patrzyłam, jak rosną w beczce bąbelki. Wieczorami, co kilka dni, Tata wbijał w kapustę wyparzony, drewniany kij, przynoszony z warsztatu. Miało to zapobiec nabraniu przez kapustę goryczy. Któregoś dnia mniej więcej po tygodniu zaglądałam do beczki i zauważałam, że nie ma już bąbelków. Tato i wujek targali wtedy beczkę do piwnicy, gdzie przez całą zimę miała swoje stałe miejsce. Nakrywano ją wiekiem. W naszej piwnicy było bardzo zimno, a to dobrze służyło kapuście. Po Bożym Narodzeniu kapusta robiła się kwaśna.

### **Święta Bożego Narodzenia**

Zwieńczeniem przedzimowego rozgardiaszu w domu było ponowne – ostatnie przed zimą – wielkie mycie okien, a potem przynoszenie i mocowanie podwójnych okien i uszczelnianie ich na zimę. Między oknami znów pojawiały się różne rzeczy, by jak najwięcej ciepła zostawało w mieszkaniu. Znów przy codziennym wietrzeniu używano tylko lufcika. Przychodziła zima, a z nią oczekiwanie na śnieg i Boże Narodzenie.

Dwa tygodnie przed świętami robiono dodatkowe porządki domowe, a zaraz potem Tata przynosił do domu wielką szynkę, którą wkładano do wielkiej miski pod stołem w kuchni i zakrywano dokładnie, aby nie dostał się do niej kurz. Mama wlewała wodę do wielkiego garnka i wrzucała do niej różne zioła, dodawała sporo soli i taką zaprawą zalewała szynkę, sprawdzając uprzednio wrzuconym kartoflem, czy woda jest odpowiednio słona – jeśli kartofel wypływał na wierzch, oznaczało to, że zalewa jest dobra. Należało też zwrócić uwagę, aby cała szynka była zanurzona w roztworze. Potem spokojnie leżała pod stołem i nikt się nią specjalnie nie interesował.

W szkole też trwały przygotowania do świąt. Na lekcjach z zajęć praktycznych uczono nas robić różne ozdoby choinkowe, a przede wszystkim kolorowe łańcuchy z bibułek. Różnokolorowe bibułki składało się w harmonijkę i po dwie lub trzy nizało na cieniutki, kolorowy sznureczek. Pomiędzy bibułki wsuwało się pocięte równiutko złote słomki. Łańcuchy przed feriami świątecznymi były gotowe, zanosiliśmy je do domu, gdzie czekały na chwilę ubierania choinki. Na lekcjach śpiewu nauczyliśmy się kolęd, głośno śpiewając.

Na krótko przed świętami kupowano mięsa: schab i boczek posypywało się pieprzem, obkładało liśćmi bobkowymi i innymi ziołami i układało w brytfankach. Oddzielnie rozkładano mięso na pasztet i do bigosu. Kupowało się też zajaca i

wieszało za oknem, by skruszał. Za spiżarnię służył nam warsztat wujka Heńka, gdzie nie palono, bo też o tej porze roku wujek miał niewiele pracy. W domu wszystko kręciło się wokół przygotowywania jedzenia na święta: jedna robota gonila drugą, a wiele rzeczy robiło się jednocześnie, tak aby wszystko było świeże. Przynoszona z piwnicy kapusta na bigos i pierogi moczyła się w wodzie, aby nie była zbyt kwaśna. W oddzielnym naczyniu moczyły się grzyby do bigosu, a w innym solone śledzie. Babcia parzyła mak, odcedzała go i przekręcała kilkakrotnie przez maszynkę. Potem przykryty lnianą ściereczką oczekiwał, aż Mama zacznie robić makowiec. Na wigilijnym stole pojawiały się też kluski z makiem. Kręcenie maku, jak i kręcenie mięsa na pasztet wydawały mi się wtedy bardzo żmudnymi, nudnymi pracami, trwającymi wiecznie. Jednego wieczoru patrzyłam, jak mężczyźni ściągają z zająca skórę, Mama go szybko porcjowała, tak aby część udusić z mięsem do pasztetu. Ale najlepszy kawałek znów wieszano za oknem, by dalej kruszał i czekał do końca roku. Robiono z niego comber w śmietanie. Krótco przed świętami szynkę wyjmowano z zaprawy, a Tata zabierał ją do wędzenia. Dzień wcześniej przygotowywano pierogi, bigos, pieczone mięso i śledzie, tak aby tuż przed świętami zająć się tylko pieczeniem ciast – placków drożdżowych i makowców. A ponieważ ferie świąteczne zaczynały się na kilka dni przed Wigilią, podczas tych wszystkich przygotowań byłam w domu i wszędzie, gdzie mogłam, to zaglądałam. W czasie pieczenia ciast w mieszkaniu musiało być ciepło, pilnowano więc, by lufcik był zamknięty. W wielkiej misce rozrabiano ciasto, wlewając po kolei mleko z drożdżami, ubite jajka z cukrem i ciepłe masło. Miska stała blisko rozgrzanej kuchni. Ciasto wyrabiało się długo, a brytfanki wysmarowane smalcem czekały na zakończenie tej żmudnej czynności. Część ciasta Mama rozkładała na stolnicy, wałkowała i rozkładała na niej przygotowaną uprzednio masę makową. Ciast się w domu nie piekło, podobno nasz piec się do tego nie nadawał. Mama owijała je mocno kocem i zanosila do piekarni. Tam rosły na wielkich stołach. Z tej piekarni korzystało wiele gospodyń. Pamiętam, jak piekarze ubrani tylko w koszulki i fartuchy odbierali od nich brytfanny i układali je na stole, oznaczając każdą, by później nie było pomyłek. Przed samym włożeniem ciast do pieca Mama szła do piekarni i każde z nich smarowała rozrobionymi żółtkami, aby błyszczało po upieczeniu. Wiele razy jej w tym towarzyszyłam. Dzień przed wigilią Tata przynosił choinę. Była dosyć wysoka, stała na stoliku w pokoju pod oknem. Tata osadzał ją w stojaku przygotowanym przez siebie w warsztacie i zaraz po kolacji ruszaliśmy do pokoju ją ubierać. Najpierw zawieszaliśmy małe czerwone jabłuszka przyniesione wcześniej z targu, a następnie po kolei wielokolorowe cukierki kupowane specjalnie na tę okoliczność w sklepie cukierniczym, orzechy zawinięte w srebrny papier, a na koniec bombki. Trochę tych z poprzedniego roku, trochę nowych. Wtedy wkraczała do pokoju Mama i swoim artystycznym okiem oceniała, czy dobrze to wszystko wygląda. Poprawiała jeszcze to i owo, a potem wspólnie



zawieszaliśmy na choince zrobiony przeze mnie kolorowy łańcuch. Był bardzo długi, ja go trzymałam, a Rodzice oplatali nim drzewko. Na końcu rozmieszczano na choince klipsy, w które wkładano świece. Musiało być ich dużo, ale należało je rozmieścić rozważnie, tak aby nie znalazły się za blisko firanek, bo groziło to pożarem. Takie pożary zdarzały się dość często, pewnego roku i u nas zapaliła się choinka. Udało się ogień na szczęście ugasić, ale i drzewko, i firanki były do wyrzucenia. Po świeczkach nasadzało się czub choinkowy, anioła, i zawieszało zimne ognie. Późnym wieczorem choinka była ubrana, a ja zmęczona natychmiast zasypiałam. W dzień wigilijny wszyscy mieli pełne ręce roboty. W pokoju nakrywano do stołu. Na pięknym obrusie kładziono srebrne sztuce, a potem wigilijne potrawy: opłatek pośrodku, śledzie, sałatki, kluski z makiem. W kuchni gotowała się zupa grzybowa, czekały pierogi z kapustą z grzybami i pokrojony w dzwonka wielki karp, który smażyono w ostatniej chwili przed podaniem. Pamiętam wyczekiwanie na pierwszą gwiazdkę i niecierpliwe wypytywanie o to, kiedy się ta wigilia wreszcie zacznie. Choinka pięknie się paliła. W pewnej chwili ktoś pukał do drzwi, Mama otwierała i wkraczał Święty Mikołaj. Wyciągał z worka prezenty. Zawsze musiał być wśród nich głośny bączek, który kręcił się po mieszkaniu, a dla mnie lalka – ze specjalnej masy, z włosami, szklanymi oczami – Mama wcześniej szyla dla niej sukieneczki i berecik. Potem, gdy lalka się psuła – na przykład odpadała jej rączka, to szłam z Mamą do pana, który reperował ją w tak zwanej klinice lalek, gdzie było już na półkach pełno popsutych lalek, ale jeszcze więcej kurzu. Któregoś roku dostałam od Mikołaja nawet lalkę z wózkiem. Wśród prezentów zwykle były też kolorowe książeczki, czekoladki i cukierki. Tuż przed wojną Święty Mikołaj zaczął jednak budzić pewne moje podejrzenia. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego zawsze, ilekroć się zjawia przy stole, nie ma akurat wujka Heńka.

### **Przedszkole i szkoła przed wojną**

Miałam pewnie ze 4 lub 5 lat, kiedy Mama zapisała mnie do prowadzonego przez parafię ewangelicką przedszkola mieszczącego się przy ulicy Karolkowej 77, niedaleko Żytniej. Przedszkole zajmowało piętrowy budynek otoczony ogrodem, w którym bawiły się dzieci. W tym samym budynku był również żłobek. Dwa pozostałe domy pod tym adresem mieściły dom sierot oraz zakład dla dzieci opóźnionych w rozwoju. Czwarty z domów należących do zboru ewangelicko-augsburskiego stał przy Żytniej 36, znajdował się w nim dom starców.

Dziś żaden z tych budynków nie istnieje, ale mniej więcej na tych posesjach mieści się komisariat policji (Żytnia 36) i budynki mieszkalne.

Do przedszkola odprowadzała mnie Mama. Droga z Grzybowskiej na Karolkową nie była daleka. Prowadziła ulicą Towarową, gdzie przy zbiegu z ulicą

Leszno mijaliśmy wielki bazar Kercelak<sup>7</sup>, słynny w całej Warszawie. Na Kercelaku można było kupić i sprzedać wszystko, zawsze panował tam wielki ruch. Ze względu na ten tłok i zgiełk nie było łatwo tamtędy przejść. W tym miejscu Mama szczególnie mocno trzymała mnie za rękę, abym się przypadkiem nie zgubiła.

Z przedszkola zabierała mnie albo Mama, albo Babcia. Z tego przedszkolnego okresu pamiętam głównie zabawy w ogrodzie, śpiewanie piosenek i uczenie się wierszyków, ale także organizowane pod koniec roku szkolnego dla dzieci i rodziców liczne atrakcje: zabawy, loterie, deklamacje wierszy. Wyjątkowy popis mieliśmy pod koniec roku kończącego nasz pobyt w przedszkolu.

W 1935 roku zostałam zapisana do szkoły. Była to zawczasu przewidziana dla mnie Szkoła Powszechna numer 102 przy Królewskiej. Większość szkół, w których prowadzono lekcje religii dla młodzieży ewangelickiej, mieściła się blisko kościoła ewangelickiego przy Królewskiej 19. Tam też była moja szkoła podstawowa dla dziewcząt, jej budynek stał w głębi, a przed nim nieduży budynek frontowy, należący do ewangelickiej parafii św. Trójcy. W kamienicy obok mieściło się Męskie Gimnazjum im. Mikołaja Reja<sup>8</sup>, a dalej, w oddzielnym budynku – gimnazjum dla dziewcząt im. Anny Wazówny.

Warszawa przed wojną była miastem wielowyznaniowym i wielokulturowym – obok szkół państwowych istniały placówki edukacyjne prowadzone przez różne Kościoły, ale też w wybranych szkołach państwowych (na przykład dla ewangelików) prowadzone były lekcje religii. Wydaje mi się, że należały do nich Szkoły Powszechne nr 101 i 103. Na pewno było tak w szkole nr 102, czyli tej, do której ja chodziłam.

Pierwsze lata szkolne łączą się w mojej pamięci z przeżyciami, które już później nigdy się nie powtórzyły. W mojej szkole poza nami ewangeliczkami była spora grupa dziewczynek innych wyznań, tj. katoliczek, prawosławnych i żydówek. Zawsze 1 września zbierałyśmy się rano przed szkołą w grupach i ze sztandarem szkoły ruszałyśmy razem, by za chwilę rozłączyć się i pójść grupami na nabożeństwo do swoich kościołów. A sztandar szedł po prostu każdego roku z inną grupą.

Od 1935 roku przez dwa lub trzy lata Mama miała do pomocy dziewczynę, która przyjechała do Warszawy z rodzinnych stron Taty. Zamieszkała z nami, w tym naszym i tak przeludnionym mieszkaniu. Pomagała w pracach domowych Mamie, ale też, po pewnym czasie, zaczęła mnie odprowadzać do szkoły. W okolicach Żelaznej, Grzybowskiej, Granicznej i przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Królewską panował wielki ruch i chodzenie nimi bez opieki było dla dziecka w moim wieku dość niebezpieczne. Ja nie bardzo lubiłam z tą Mamą pomocnicą chodzić, bo w jej towarzystwie nie mogłam zaspokajać ciekawości i podziwiać tego, co mijalam po drodze. Cały czas próbowała

przytrzymywać mnie za rękę, abym spokojnie przy niej szła, tymczasem ja często uciekałam jej na drugą stronę ulicy albo co rusz wpadałam do którejś z bram. Życie toczące się za bramami przy ulicy Grzybowskiej wydawało mi się wtedy fascynujące.

Zanim ruszyliśmy w drogę, zaraz po wyjściu z podwórka na Grzybowskiej, odbierałyśmy moje drugie śniadanie. Pod numerem 47 w pięknym nowo otwartym sklepie wędliniarskim otrzymywałam je od ekspedientki ładnie zapakowane i dopiero po schowaniu go do kuferka ruszałam dalej. Kawalek szłyśmy razem z moją opiekunką, bo przejście przez ruchliwą Żelazną stanowiło nie lada wyczyn. Dalej Grzybowską przecinały liczne ulice pełne ruchu i zgiełku – Waliców, Ciepła. Niedaleko zbiegu z Graniczną po lewej stronie mijałam budynek, w którym mieściła się lecznica żydowska. Po tej stronie ulicy zaczynał się świat, który każdego dnia jednakowo mnie interesował. W domach przy ulicy Grzybowskiej mieszkało bardzo dużo ludności żydowskiej. Żydzi osiedlali się w tej okolicy od początku XIX wieku. W 1809 roku władze Księstwa Warszawskiego wydały zakaz ich zamieszkiwania na Starym Mieście i przy głównych warszawskich ulicach. Wyznaczono wtedy kilkadziesiąt ulic, gdzie mogli mieszkać, były to między innymi Nalewki, Franciszkańska, Gęsia, Dzika, Nowolipie i Nowolipki. Z czasem ta, w XIX wieku uważana za peryferyjną, dzielnica znalazła się w samym centrum Warszawy. Dziś po strasznej zagładzie Żydów nie ma po niej śladu, ale w czasach, gdy chodziłam do szkoły, istniała i nic nie zapowiadało jej końca. Pamiętam, że zagładanie na żydowskie podwórka wydawało mi się niezwykle ekscytujące i ciekawe. W wielu budynkach w suterrenach Żydzi mieli swoje domy modlitwy, a ja idąc rano do szkoły, widziałam, jak się tam modlą. Latem, kiedy otwierało się okna, uwielbiałam przez nie zaglądać i przyglądać się temu, co się w środku dzieje. Najbardziej zadziwiały mnie małe domki jak szałaszy stawiane na podwórkach<sup>9</sup>. Były też sutereny, gdzie mieściły się warsztaty; roiło się tam od ludzi, panował niesamowity gwar, nazywaliśmy to „rejwachem”, wszyscy biegali z miejsca na miejsce, pracowali po prostu. Dla mnie najciekawsze były ubrania, długie włosy i kapelusze, które nosili tradycyjni Żydzi, spotykani na ulicy. Ten folklor panujący przy ulicy Grzybowskiej zawsze mnie zadziwiał, bo nie wiedziałam, dlaczego ci sąsiedzi tak się od nas różnią. Tego świata nie można zapomnieć.

O dziwo, mimo tych wszystkich atrakcji po drodze, zawsze wystarczyło mi czasu, by zjawić się punktualnie w szkole.

Grzybowska kończyła się u zbiegu z Graniczną. Trzeba było skręcić w prawo, a po chwili dochodziło się do początku ulicy Królewskiej. I tu zaczynała się zupełnie inna Warszawa. Po lewej stronie Królewskiej pod numerem 14 mijałam dziś nieistniejący ogromny, zbudowany w latach 20. XIX wieku, gmach Giełdy. Niemal przy zbiegu Królewskiej z Marszałkowską stał z kolei budynek z należącym do sklepu firmy „Franboli” wielkim oknem wystawowym, w którym

piętrzyły się czekoladki, pralinki i inne słodczy. Zawsze przystawałam przy tej wystawie z nosem przy szybie i podziwiałam wszystko, co się tam znajdowało.

Główna cukiernia firmy „Franboli” mieściła się przy Marszałkowskiej 113, czyli kilka przecznic dalej. Ciekawostką jest jej nazwa, która brzmi nieco z włoska i wielu warszawiaków za taką ją uważało. Okazuje się, że nic bardziej mylnego, pracując nad spisywaniem swoich wspomnień, odkryłam, że nazwa ta powstała z połączenia pierwszych liter imion współwłaścicieli tego szacownego zakładu: panów FRANciszka, BOLeśława i Ignacego Kiełbasińskich, którzy mieli na Pradze przy Śnieżnej 3 fabryczkę czekolady i innych słodczy.

Przekraczałam ulicę Marszałkowską i szłam dalej Królewską, wzdłuż której ciągnął się ogrodzony kutym żelaznym parkanem Ogród Saski, a w nim rosnące przy samym ogrodzeniu wielkie lipy. W drodze powrotnej ze szkoły przyklepiało się na nosie opadające z lip kwiaty.

W tamtym czasie Marszałkowska kończyła się u zbiegu z Królewską, dalej był Ogród Saski, dużo większy i bardziej okazały niż ten dzisiejszy. Nie przypuszczałam, że wiele lat później będę tam mieszkała. Odcinek ulicy prowadzący od Królewskiej do placu Bankowego w ogóle nie istniał. Gdy zaczęła się wojna, Marszałkowska dochodziła zaledwie do placu Żelaznej Bramy. W czasie okupacji Niemcy przedłużyli ją do placu Bankowego. A dzisiejszy jej układ to efekt powojennej przebudowy.

Szkoła, w której się uczyłam, uchodziła za dobrą. Opłata miesięczna wnoszona przez Rodziców wynosiła dwa złote; inne szkoły takich opłat nie pobierały. Z tych lat w mojej pamięci pozostały lekcje polskiego, rachunków, religii, historii, geografii i śpiewu. Wydaje mi się, że lekcje śpiewu odbywały się dwa razy w tygodniu. Śpiewało się dużo piosenek żołnierskich i innych patriotycznych. Pamiętam, że kiedy ze szkołą szłyśmy ulicą na przykład do kina albo do teatru, maszerowałyśmy czwórkami, trzymając się blisko chodnika. Taki marsz – inaczej niż dziś – łączył się zwykle ze śpiewem. Po śmierci Marszałka Piłsudskiego najczęściej śpiewało się pieśni o Marszałku Rydzu-Śmigłym. Jedną z nich – Marszałek Śmigły-Rydz, nasz drogi dzielny wódz – zaczynała się tak:

Naprzód, żołnierze stara wiara, młode zuchy.  
Za Śmigłym-Rydzem pomni jego w boju chwał,  
On nas wywiedzie cało z każdej zawieruchy,  
Sam Komendant, sam Komendant nam go dał,  
Sam Komendant, sam Komendant  
Nam go na Wodza dał!  
Marszałek Śmigły-Rydz, nasz drogi, dzielny Wódz,  
Gdy każe, pójdziem z nim najeźdźców tłuc.  
Nikt nam nie ruszy nic, nikt nam nie zrobi nic,  
Bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły-Rydz!

W brzasku wolności w krwi i ogniu nam przewodził.  
Zwycięskim szlakiem do Kijowa wiódł nas bram.  
Jak szeregowiec z piechurami w piachu brodził,  
Dobry przykład, dobry przykład dawał nam,  
Dobry przykład, dobry przykład, zawsze dawał nam<sup>10</sup>.

W tamtym czasie bardzo często się zdarzało, że długie szeregi ludzi posuwały się powoli jezdniami z rozmaitych okazji. Najbardziej charakterystyczne były kondukt żałobne: na ich czele jechały karawany – ciągnięte przez konie czarne pojazdy, udekorowane ozdobnymi srebrnymi elementami. Kondukt posuwały się wolno, najczęściej kierowały się z lewobrzeżnej Warszawy ulicami w stronę mostu Kierbedzia i dalej ulicami 11 Listopada, św. Wincentego do największego cmentarza na Bródnie. Na stosunkowo wąskich ulicach tej części miasta panował zawsze niebywały ruch, bo zmieścić się musiały też tramwaje, nieliczne jeszcze samochody, dorożki – no, a tu jeszcze kondukt pogrzebowy: wolno jadący karawan i posuwający się za nim żałobnicy. To też była codzienność tego miasta.

W mojej pamięci mocno zapisał się pewien szczególny pogrzeb. Oto majowego dnia 1935 roku rozeszła się wiadomość, powtarzana w radiu i w gazetach, że zmarł Marszałek Józef Piłsudski. Tata był tą wieścią bardzo poruszony. Uroczystości pogrzebowe trwały kilka dni. 13 i 14 maja trumnę z ciałem Piłsudskiego wystawiono w Belwederze. W dniu pogrzebu 15 maja Tata wcześniej rano wyszedł z Mamą, zabierając i mnie, by stanąć na trasie z Belwederu do katedry św. Jana, którą miał przejeżdżać kondukt pogrzebowy. Było na tyle wcześniej, że udało nam się znaleźć dobre miejsce. Stanęliśmy pod jedną z kamienic na Krakowskim Przedmieściu. Ludzi w niedługim czasie zrobiło się wokół tak dużo, że jeden stał ciasno obok drugiego. Mnie Tata co rusz podnosił i sadzał sobie na ramionach, bym stamtąd wszystko widziała. Zbliżający się kondukt zauważyłam już z daleka. Stojnie ubrane konie ciągnęły lawetę z trumną, wolno posuwając się naprzód. Otaczało ją wojsko, za wojskiem ciągnął pochód żałobników. Wokół rozbrzmiewała żałobna muzyka grana przez orkiestrę. A na chodniku wszyscy stali smutni i co chwila rozlegał się płacz. Wracając do domu, też widzieliśmy wielu zapłakanych ludzi. W domu w radiu przez cały czas nadawano wspomnienia o Marszałku, przeplatane muzyką żałobną. Jeszcze przez dwa dni wiadomości podawały przebieg uroczystości w Krakowie, bo trumnę z ciałem Piłsudskiego przewieziono tam pociągiem, by pochować Marszałka na Wawelu. Później w kinach pokazywano film z przebiegu tych uroczystości – nie było przecież telewizji. Ludzie tłumnie chodzili do kina „na Marszałka”, bo i w ogóle w tych czasach chętnie bywali w kinie. Stanowiło ono wówczas najtańszą, najbardziej dostępną rozrywkę.

W szkole obowiązywało noszenie fartuszków. Nie były jednolite, ale

musiały być granatowe. Mama każdego roku sprawiała mi piękny fartuszek alpakowy<sup>11</sup> z falbankami na ramionach, który nakładałam na granatową spódniczkę i zazwyczaj białą bluzkę lub sukieneczkę. Nosiłam też przy różnych uroczystościach granatowy mundur. Takie były wtedy stroje młodzieży szkolnej. Oczywiście do pełnego wyposażenia szkolnego miałam też brązową teczkę i mały, zwisający na cienkim ramiączku tornister w tym samym kolorze, do którego wkładałam drugie śniadanie. No, a w teczce w pierwszej klasie elementarz Falskiego i piórnik z ołówkami oraz piórem ze stalówką, którą się maczało w atramencie z kałamarza stojącego pośrodku każdej ławki.

Z tym śniadaniowym tornistrem wiążą się moje wspomnienia z dzieciństwa ze względu na drugie śniadania, które każde dziecko przynosiło do szkoły. Byłam niejadkiem i jadałam tylko to, co lubiłam. A więc z wędlin tylko szyneczkę, żadnej innej nie tykałam. Tata bardzo się tym denerwował i uważał, że grymaszę i powinnam jeść również kielbasę i salceson czy baleron – jak inni. Mama była jednak zdania, że nie ma powodu, aby mnie zmuszać do jedzenia tego, czego nie lubię. Kiedy otwarty został bardzo nowoczesny sklep mięsno-wędliniarski przy ulicy Grzybowskiej 47, Mama umówiła się z właścicielem, że tam właśnie będę codziennie odbierała małe, świeże drugie śniadanie. Były to nieodmiennie dwie małe bułeczki z szynką, które wkładałam do tornistra. W domu Mama dawała mi jedynie owoce lub czekoladki, których zawsze było u nas dużo, bo Tata dostawał je często w prezencie albo kupował w fabryce czekolady, dla której naprawiał koła.

Ze wspomnień tych wczesnych szkolnych dni pozostała mi w pamięci moja ukochana nauczycielka, pani Sander, o pięknych, mocno już siwiejących włosach. Poza lekcjami sprawiła nam w trzeciej klasie niespodziankę. Zaprosiła grono uczennic w dniu swoich urodzin do własnego mieszkania przy ulicy Czerwonego Krzyża. Pamiętam, że jechałyśmy windą. Mieszkanie było piękne. Nie tylko dzięki eleganckim meblom, ale także przez to, że wszędzie stały doniczki z oryginalnymi kwiatami. My, dziewczynki, piłyśmy herbatkę z pięknych filiżanek, a pani Sander prowadziła z nami towarzyską pogawędkę. Czułam się wtedy prawie jak dorosła osoba.

## **Moda**

Myślę, że nasza sytuacja materialna naprawdę bardzo się poprawiła, gdy Tata założył własny warsztat, a było to w 1931 lub 1932 roku. Rodzice zaczęli wtedy wychodzić z kłopotów finansowych.

Warsztat na Pradze okazał się znakomitym pomysłem, bo znajdowało się tam wiele zabudowań przeznaczonych na stajnie dla dorożek i wozów przewożących różny towar, od artykułów spożywczych po węgiel. Na dodatek Tata uchodził za bardzo solidnego rzemieślnika. Prosperował więc naprawdę dobrze – do tego stopnia, że po pewnym czasie zatrudniał już nawet okresowo czeladnika.

To, że rodzice wyszli z kłopotów już w 1934 czy 1935 roku i mieli więcej pieniędzy, łączy się w mojej głowie ze wspomnieniami o zakupach ubraniowych i panującej wówczas modzie.

Modę wspominam, mając przed oczami ludzi, których spotykałam wtedy codziennie na ulicach. W mojej dzielnicy mieszkali zarówno ludzie całkiem nieźle zarabiający, jak i zupełnie biedni, a do tego mieszały się przecież różne społeczności. Do sklepów czy większych magazynów z odzieżą, w większości należących do kupców żydowskich (u których zwykle kupowała Mama, bo po pierwsze byli tańsi od innych, a po drugie mieli bardzo duży wybór ubrań w różnych gatunkach, a przy tym odpowiadających bieżącej modzie), chodziłyśmy poza Grzybowską. Przy naszej ulicy takich sklepów nie było.

Muszę powiedzieć, że byłam zawsze bardzo dobrze ubrana. Mama przywiązywała dużą wagę do estetyki stroju. Sukieneczki, bluzki czy spódniczki często szyła mi samodzielnie, na maszynie Singera, a wszystko, co wychodziło spod jej rąk, było naprawdę bardzo piękne. Jednak po palta i płaszczyki zawsze wybierała się ze mną do magazynu odzieżowego. Rodzice kupowali mi zwykle palto trochę „na wyrost” – sięgające lekko za kolana, tak abym mogła je nosić przez dwie zimy. No, a do tego konieczne były ładne ciepłe buciki. Paradowałam w tym stroju szczęśliwa, chociaż Tata zwracał uwagę, iż lepiej kupić kożuszek, też dłuższy i „na wyrost”, bo byłby jeszcze praktyczniejszy. Jednak na szczęście dla mnie Mama zawsze kierowała się swoimi zasadami. Jako ostatnie z tamtego okresu pamiętam zimowe palto w pięknym beżowym kolorze z futrzanym kołnierzem i z mufką. Pod koniec lat 30. futrzane mufki były bardzo modne. Nosiły je i eleganckie panie, i dzieci. W takiej mufce zawsze była kieszonka, do której można było wsunąć chusteczkę albo pieniądze. Kiedy przychodziła wiosna, kupowano mi lżejszy płaszczyk, zawsze w granatowym kolorze. Na ogół to Mama wybierała mi ten płaszczyk – granat marynarski. A do tego obowiązkowo pantofelki.

Mama również była zawsze dobrze ubrana. Późną wiosną i latem nosiła bardzo ładne suknie, a od wczesnej jesieni eleganckie kostiumy, na okolicznościowe zaś wyjścia wkładała pięknego srebrnego lisa – to też wtedy było bardzo modne. Na rok przed wojną Tata zafundował Mamie piękne szare futro z popielic. Sam Tata nosił wtedy ciemne podbite futrem palto z kołnierzem z wydry. Taki ubiór świadczył o pewnej zamożności noszącej go osoby. Oczywiście Tato wkładał ten elegancki płaszcz głównie w niedziele, bo idąc do pracy, ubierał się w codzienne, skromniejsze palto.

Jednym z większych przeżyć było dla mnie chodzenie do sklepu z kapeluszami. W naszej dzielnicy skupisko sklepów z kapeluszami mieściło się przy Żabiej. Dziś ta ulica już nie istnieje, ruiny domów zburzonych w czasie wojny rozebrano jeszcze w latach 40. Jedynym odbudowanym (pod koniec lat 40.) budynkiem jest kamienica, która przed wojną stała przy Żabiej 9, a w której po

wojnie znajdował się Hotel Saski.

To dopiero był widok – te sąsiadujące z sobą wystawy ustrojone kapelusami dla pań i panów, a także dla dziewczynek, w różnych kolorach i fasonach. Tam Mama wybierała kapelusz dla siebie, no i oczywiście dla mnie. Modne też były woalki, które upięte na kapeluszu, przysłaniały twarz w całości lub częściowo. Mój kapelusz z wywijanym rondkiem miał zazwyczaj kolor niebiesko-granatowy, tak aby pasował do płaszczyka. Nic dziwnego, że na swoim podwórku byłam jednym z pięknie ubranych dzieci. Tak wystrojona lubiłam też chodzić do kościoła. Chodziliśmy razem zarówno do kościoła katolickiego Wszystkich Świętych na placu Grzybowski, jak i do kościoła ewangelickiego Świętej Trójcy na placu Małachowskiego. Kościół Wszystkich Świętych mimo że ogromny, zawsze był pełen ludzi. Stawaliśmy pośrodku, blisko ławek, abym mogła się oprzeć, bo o jakimkolwiek miejscu siedzącym nie było co marzyć. Wszystkie zajmowano już wcześniej. Pozostał mi w pamięci zapach kadzidła, który roznosił się po całym kościele, i dźwięk dzwonek rozbrzmiewający pośród klęczących.

Kościół ewangelicki Świętej Trójcy też był bardzo duży, a tym w środku się różnił od katolickiego, że miał dodatkowo piętro, na które się wchodziło po drewnianych schodkach. Wszędzie, i na dole, i na górze, stały ławki. My prawie zawsze zajmowaliśmy miejsca na piętrze, skąd mogłam widzieć księdza przy ołtarzu. Na niedzielnych nabożeństwach i ten kościół pełen był ludzi. Muzyka organowa i mnóstwo śpiewanych pieśni rozbrzmiewały w nim przez cały czas. Ale pamiętam, że nabożeństwa mi się trochę dłużyły – i tu, i tu, w każdym z tych kościołów.

Na spacerach bywałam z Rodzicami głównie w okolicach Ogrodu Saskiego i Grobu Nieznanego Żołnierza.

Rodziców niektórych moich koleżanek nie stać było na kupowanie zbyt kosztownych ubrań, nabywali je więc taniej na Kercelaku. Zwykle jednak nie były tak dobre gatunkowo. Różnice w zamożności uwidoczniały się szczególnie zimą, lato je niwelowało, bo dziewczęce sukieneczki, bez względu na to, gdzie je kupowano, zawsze ładnie wyglądały i mało się od siebie różniły. Więcej różnic było w ubraniach mężczyzn i chłopców, nie tylko dlatego, że ich właściciele różnili się statusem materialnym, ale także ze względu na odmienną religijną, bardzo wielu Żydów nosiło na przykład tradycyjne stroje – chałaty, jarmułki. Dużo pracy mieli też szewcy, bo buty zazwyczaj zanoszono do zelowania, gdyż skórzane podeszwy szybko się zdzierały. Prócz tego wiele osób miało w domu tylko jedną parę butów i nosiło ją o każdej porze roku.

Bywały w naszym domu dni, kiedy najważniejsze stawały się zabiegi o zarezerwowanie godziny u fryzjera na uczesanie się. Wiązało to się z wyjściem na jakieś uroczystości lub szykowaniem się do teatru, kiedy Mama chciała mieć piękną fryzurę. Na Grzybowskiej w zakładzie fryzjerskim cesał i fryzjer, i



fryzjerki. Uczesania były bardzo różne; na podgrzewaczach stały karbówki i nimi fryzjerki układały włosy przeważnie w fale, z przedziałkiem po lewej lub prawej stronie głowy. Takimi karbówkami robiły też klientkom loki. To czesanie trwało dość długo, a do tego w zakładach fryzjerskich zawsze było bardzo gorąco. Mama nieraz zabierała mnie ze sobą do fryzjera i dlatego pamiętam, jak to wówczas wyglądało: na przykład, jak fryzjerki szybko grzały na rozpalonych podstawach karbówki i zmieniały je, używając raz jednej, raz drugiej, i jak dzięki tym zabiegom powstawały piękne loki albo fale.

Mój pobyt u fryzjera wynikał najczęściej z potrzeby podcięcia włosów, bo Mama uważała, że specjalista zrobi to lepiej, a ja będę ładniej wyglądała. Zazwyczaj wstawiano mały stółek na fotel i dopiero na nim sadzano mnie do podstrzyżyn. W 1937 roku miałam być druzną na ślubie ciotki Luci, najmłodszej siostry Taty. Wtedy nie tylko włosy mojej Mamy, ale i moje zostały trochę podkręcone takimi właśnie karbówkami. Na tę okoliczność Mama wypożyczyła od znajomej strój jej córki do pierwszej komunii, to znaczy białą sukieneczkę i pantofle. Podobno w czasie uroczystości ładnie się zachowywałam, ale też i ładnie wyglądałam.

### **Dzień Wszystkich Świętych**

Urodziłam się w zimie, ale nigdy nie lubiłam tej pory roku. A zima zaczynała się dla mnie 1 listopada, kiedy wszyscy wybierali się na groby, na cmentarze. Tydzień wcześniej odbywało się sprzątanie grobów, układanie na nich zieleni i kwiatów. My najczęściej kupowaliśmy białe chryzantemy. Przy porządkowaniu grobów zawsze towarzyszyłam Mamie. Trochę jej w tym pomagałam – na przykład wyrzucałam śmieci albo grabiłam liście. Mieliśmy do uporządkowania grób dziadka Kobylińskiego na cmentarzu bródnowskim, a na cmentarzu ewangelickim – groby ojca mojej Mamy oraz mojego rodzeństwa: brata i dwóch sióstr urodzonych przede mną.

Rankiem 1 listopada zapełnionymi po brzegi tramwajami jechaliśmy na jeden, a potem na drugi cmentarz, żeby zapalić świece. Te wyjazdy nie kończyły się dla mnie najlepiej, bo zawsze łapałam jakąś chorobę, co sprawiało, że nie mogłam później chodzić do szkoły.

W dzień Wszystkich Świętych nad cmentarzami unosiły się dymy, ponieważ ówczesne gliniane znicze, z jednym albo dwoma knotami, napełniano stearyną, przez co okropnie kopały. A jeśli padał deszcz, to chodząc po cmentarzu, tonęło się w błocie i stertach śmieci, bo wiele osób dopiero 1 listopada porządkowało swoje groby – bardziej widziało się to przy skromnych nagrobkach niż tam, gdzie stały pomniki, bo też tych pomników nie było zbyt wiele. Pamiętam, że tego dnia wyjeżdżaliśmy z domu rano i wracaliśmy dopiero, gdy zapadał zmrok.

### **Sznapan i inni lekarze**

W okresie, kiedy Tata pracował w zbrojowni, Rodzice mieli ubezpieczenie w kasie chorych i w razie choroby cała rodzina miała prawo do bezpłatnego leczenia. Kiedy jednak zwolniono Tatę, to i ubezpieczenie się skończyło. Od tej pory przychodził do nas do domu doktor mieszkający po sąsiedzku.

Naszym rodzinnym lekarzem był doktor Sznapan. Doktor (tak go nazywano, choć w rzeczywistości był felczerem<sup>12</sup>) mieszkał przy ulicy Wroniej 29, na rogu Łuckiej.

Zjawiał się u nas w domu zawsze, ilekroć ktoś z nas chorował, a tym kimś na ogół byłam ja. Choć doktor był tylko felczerem, to miał wieloletnią praktykę i Rodzice bardzo mu ufali. Pracował w lecznicy żydowskiej, która znajdowała się niedaleko nas przy ulicy Grzybowskiej albo Granicznej. Myślę, że brał umiarkowane honorarium, bo w tamtych czasach prywatne leczenie było bardzo drogie. Jako dziecko, właśnie po 1 listopada w kolejnych latach łapałam szkarlatynę, dyfteryt, koklusz, świnkę, różyczkę. Dobrze, że nie złapałam czarnej ospy. Doktor Sznapan wyprowadzał mnie z tych wszystkich chorób, przychodząc codziennie do mnie do domu i osobiście się mną zajmując, a nieraz i karmiąc, bo równocześnie obsypana byłam opryszczką na ustach, co bardzo utrudniało mi jedzenie.

Dzięki jego opiece żyję, gdyż zwłaszcza dyfteryt i szkarlatyna siały wtedy spustoszenie wśród dzieci. I ja też bardzo ciężko je przechodziłam, chorowałam przez wiele tygodni i zazwyczaj dopiero po Nowym Roku wracałam do szkoły. Natomiast z bratem było gorzej i musiał leżeć w szpitalu.

Wiele lat po wojnie dowiedziałam się, że „mój” doktor Sznapan w czasie okupacji ukrywał się u polskiej rodziny pod Warszawą. Jego kryjówka została jednak odkryta przez Niemców, najprawdopodobniej dlatego, że ktoś na nich doniósł i wszystkich – tzn. zarówno jego, jak i tę rodzinę, która go ukrywała – rozstrzelano na miejscu.

W Warszawie przed wojną działało wiele szpitali. Przeważnie państwowych, ale też prowadzonych przez kościoły: katolicki, ewangelicki albo gminę żydowską. Najbliżej naszego domu były szpitale Dzieciątka Jezus, ewangelicki i żydowski. Pamiętam, że często wspomniano je w rozmowach.

Z usług jednego z tych szpitali korzystała Mama w ciężkiej chorobie mojego brata. Gdy miał 3 lata i wciąż jeszcze nie mówił, Mama dowiedziała się, że urodził się z nieznacznym stopniem wodogłowia w jednej z półkul mózgu. Wtedy to szczęśliwie trafiła na profesora Jerzego Choróbskiego, który przeprowadził zabieg usunięcia wody. Operacja wspaniale się udała, bo po jej wykonaniu brat zaczął mówić, a przy tym nie było żadnych komplikacji. Według opowiadań Mamy brata obłożono woreczkami ryżu i przez mikroskopijny otwór w czaszce naświetlano chore miejsce promieniami Roentgena. Prawdopodobnie, a przynajmniej tak

wynikało z opowieści Mamy, ów zabieg był dość niebezpieczny i istniało ryzyko powikłań.

Mama korzystała też z usług znakomitego doktora, profesora Altkaufera w lecznicy żydowskiej. Profesor ten wyleczył mego brata z powikłań, jakie miał przy „dziwnej” chorobie nosa i uszu. Brat włożył sobie po prostu ziarnko grochu do nosa, z czego nikt nie zdawał sobie sprawy. Tymczasem ziarenko zaczęło najzwyczajniej w świecie kiełkować w kierunku głowy, powodując ból i gorączkę. Nic nie pomagało. Dopiero profesor Altkaufer się zorientował, jaka jest przyczyna dolegliwości, i usunął ten kiełkujący groszek, pytając żartobliwie: „Bracie, chciałeś sobie ogród w nosie założyć?”.

U doktora Altkaufera byłam jeszcze w pierwszych dniach po założeniu getta w Warszawie, kiedy Mama potrzebowała jego dalszej porady w kłopotach, jakie miała z bratem. Doktor napisał wtedy list do Mamy, a mnie przykazał, bym wracała ostrożnie, i powiedział, że się już więcej nie zobaczymy. Niestety, miał rację.

Za jedną z najgroźniejszych chorób przed wojną uchodziła gruźlica płuc, na którą prawie nie było leków. Pamiętam, jak Mama wybrała się raz ze mną w odwiedzin do cioci Karoli, u której wykryto właśnie gruźlicę płuc. Ciotka Karola nie wpuściła nas wtedy do domu, a nawet w ogóle zakazała Mamie odwiedzin. Kiedy więc po silnym przeziębieniu w czasie wizyty lekarz powiedział Mamie, że mam początkowe zmiany gruźlicze w płucach, Rodzice ogromnie się tym zmartwili. Był 1940 albo 1941 rok, a więc czas okupacji niemieckiej i wielkie trudności w leczeniu nas, Polaków. Okupantowi chodziło wszak o wyniszczenie Polaków, a nie o leczenie. Wtedy lekarz poradził Mamie, aby zwróciła się do Rady Głównej Opiekuńczej, która była polską organizacją charytatywną, działającą w okresie obu wojen: i pierwszej, i drugiej, i niosącą pomoc Polakom w różnych życiowych sytuacjach. Wtedy to w RGO zaproponowano Mamie, że zorganizują dla mnie 2–3-miesięczny pobyt w szpitalu sanatoryjnym. I w taki sposób za okupacji trafiłam do Buska Zdroju, do wybudowanego przed wojną sanatorium dziecięcego „Na Górcie”, które prowadził doktor Stankiewicz. Byłam tam od lutego do kwietnia. Przez pierwsze tygodnie leżałam w łóżku na dużej sali, której okna wychodziły na południe. W słoneczny dzień otwierano te okna, a dzieci w czapkach na głowach leżały pod kołdrami i wdychały świeże powietrze. W drugim miesiącu pobytu mogłam już chodzić po szpitalu ubrana i korzystać ze spacerów. To sanatoryjne leczenie rzeczywiście przywróciło mi zdrowie i siły. Pamiętam też dzień powrotu do Warszawy i powitanie z Mamą na dworcu – prawie mnie nie poznała, tak urosłam.

### **Nauka w domu**

Przebyte choroby były zapewne powodem tego, że niewiele urosłam i

byłam chuda. Z tego względu często bywałam przez kilka tygodni nieobecna w szkole. Tak długo, bo zostawałam w domu jeszcze przez jakiś czas po chorobie, ponieważ doktor Sznapan obawiał się wystąpienia komplikacji zdrowotnych – szczególnie po szkarlatynie, dyfteryście i różyczce. Nie znaczyło to jednak, że mogłam zaniedbywać naukę, bo gdy tylko dochodziłam do siebie, Mama przejmowała nauczanie i zawsze w godzinach popołudniowych sama mnie uczyła. Ustawiała lampę na stole (naftową do 1935 roku, bo do tego czasu nie mieliśmy jeszcze na Grzybowskiej elektryczności) i zaczynała się lekcja. Przede mną leżały rozłożone książki i zeszyty, do polskiego, rachunków, a już w drugiej klasie także do geografii.

A ja, machając nogami, bo siedząc na taborecie, nie dosięgałam nimi podłogi, mozolnie odrabiałam z Mamą lekcję po lekcji. Miało to tę zaletę, że kiedy po chorobie wracałam do szkoły, nie miałam nigdy zaległości.

### **Konflikty społeczne**

Z nadejściem wiosny, a także i lata, w niedzielne dni wyruszało się przedpołudniami lub po obiedzie na spacer. Najczęściej szliśmy do Ogrodu Saskiego lub na Wolę, gdzie odwiedzaliśmy stryja Józka.

Jednego roku, a było to 1 maja 1936 lub 1937 roku, byłam z Tatą na spacerze w Ogrodzie Saskim. Tam napotkaliśmy manifestację. A właściwie dwie. Z jednej strony szedł pochód zwolenników obchodzenia dnia święta pracy, z drugiej maszerowali jego przeciwnicy. Manifestanci, gdy tylko się spotkali, natychmiast wszczęli bójkę, w ruch poszły pałki, kije, jedni bili drugich, a spacerowiczami nikt się nie przejmował. Tata szybko chwycił mnie za rękę, po czym ile sił w nogach popędziliśmy do domu. Był to niespokojny dzień w Warszawie, ale nie tylko – do takich bijatyk dochodziło także w innych miejscach. Pamiętam, że w domu rozprawiano o tym, jak niebezpiecznie jest znaleźć się na tej samej ulicy, co manifestanci.

Od czasu do czasu w naszej i w innych dzielnicach zdarzały się napaści na sklepy czy domy modlitewne Żydów. Wybijano w nich okna, wrzucano kamienie do środka, czasem dokonywano kradzieży. Rodzice wieczorami rozmawiali o tych niepokojach, bo przecież Tata wśród swoich klientów miał różnych ludzi. A że był człowiekiem, jak go pamiętam, niezwykle spokojnym i na równi przyjmował od wszystkich ich żale, przeto opowiadał o tym Mamie. Działo się to wszystko w kuchni, gdzie przesiadywaliśmy wspólnie, ja zaś lubiałam od małego wszystkiego, co mówią dorośli, uważnie słuchać.

Pamiętam, że w drugiej klasie miałam koleżankę, której mama była komunistką, a że policja o tym wiedziała, to na kilka dni przed 1 maja zabrano ją (jak zwykle) do aresztu, tę zaś moją koleżankę zostawiono samą. Pobiegłam wtedy do niej z wizytą i bawiłyśmy się w teatr.

## Wyjazdy na wieś

Wyjazdy na wieś w rodzinne strony Taty we wczesnym dzieciństwie były dosyć częste. Jeździliśmy zazwyczaj latem, w lipcu lub sierpniu. Lubiłam się wtedy bawić z rodzeństwem, dziećmi cioci Wali i innymi dziećmi z okolicznych chałup, jak się na wsi mówiło. W tych wyjazdach towarzyszyła mi na ogół Mama, dla mojego dobra, abym na wsi pooddychała lepszym powietrzem. Dla nas też wujostwo starało się przygotować jak najlepsze warunki. Ten letni czas spędzany na wsi pamiętam do dziś, bo dla mnie, dziecka, pełen był fascynujących rzeczy. Interesujące zwłaszcza były żniwa. Wuj Władek od rana kosił żyto, a my dzieci razem z ciotką Walą, ale częściej z moją Mamą szliśmy w pole, aby zanieść żniwiarzom przygotowane przez Mamę jedzenie. Był tam chleb i masło, i ser, a także gorące kartofle i przyniesione z piwnicy zimne zsiadłe mleko albo zimna maślanka. Nam dzieciom też to wszystko bardzo smakowało i często się upominaliśmy o dokładkę. Jak pamiętam, mimo ciężkiej pracy na wsi nie jadało się za wiele mięsa. Takie smakołyki, jak kielbasa, kiszka i boczek z zabitego właśnie świniaka, pojawiały się na stole właściwie od święta. Podczas żniw po krótkiej przerwie na skromny posiłek wszyscy wracali do pracy. Żyto spod kosy wujka zbierały ciotka Wala albo jej kuzynka, która przychodziła do pomocy, a później związywały je w snopki. Te zaś po skoszeniu układano w kopy lub mendle, różnie na to wtedy mówiono. Ja zwłaszcza lubiłam biegać po rżysku, choć skoszone żyto kłuło w nogi. Wokół zlatywało się mnóstwo ptaków, zajadały się ziarnami, które wypadały z kłosów. Nierzadko przylatywał też bocian z oddalonych łąk ciągnących się wzdłuż Pilicy i szukał innych przysmaków. Po niedługim czasie skoszone zboże wuj zaczynał zwozić do stodoły. Patrzyłam, jak jego wóz ulegał przemianie. Wuj wyciągał schowane dotąd boki w kształcie drabin i umocowywał je solidnie po obu stronach wozu. I tak po chwili miałam przed oczami zupełnie inny wóz, wóz drabiniasty. Koń zaprzężony do wyjazdu stał na podwórku i czekał na nas cierpliwie, my zaś z krzykiem ładowaliśmy się na wóz, siadając między żerdziami. Uwielbiałam nim jechać, a ponieważ byłam niewielkiego wzrostu, mogłam spuścić nogi w dół i nimi majtać, a od czasu do czasu dotykać lekko przesuwającej się ziemi. Na polu pełnym snopków zeskakiwaliśmy z wozu i szliśmy za nim wolno, patrząc jak snopki jeden po drugim, podawane przez ciotkę Walę, ale częściej przez pomagającego wujowi kuzyna, zapełniały wóz drabiniasty. Wuj te snopki bardzo dokładnie i zgodnie ze sztuką rozmieszczał tak, aby zmieściło się ich jak najwięcej. Układał je więc najpierw po jednej, potem po drugiej stronie wozu, a na koniec pośrodku. Tak upakowane z każdej strony trochę wystawały. Wuj wyjaśniał nam, że to dlatego, że wóz musi być dobrze wyważony, aby się nie przewrócił. A na końcu snopkami stawałyśmy się my dzieci. Najpierw wuj wciągał na wóz mnie. Byłam ostrożnie podsadzana, ale też sama starałam się jak mogłam wdrapywać na

górze. Później po kolei na snopkach lądowała reszta dzieciaków. Zawsze krzyczałam i pchałam się, aby być jak najbliżej wujka. Z bliska patrzyłam, jak kieruje koniem i mocno trzyma lejce, tak manewrując, aby wóz się nie przechylał. W ten sposób powoli jechaliśmy przez pola i wjeżdżaliśmy na podwórko, a z niego kierowaliśmy się do środka stodoły. Tam zsuwaliśmy się po kolei w dół na ziemię, a wtedy znów przerzucało się snopki ze zbożem, tym razem do stodoły. Zabawa ta powtarzała się kilka razy, bo nie chcieliśmy przepuścić żadnej okazji do przejażdżki na stercie snopków. Bo też wozem drabiniastym jeździło się tylko latem, kiedy trwały żniwa i wożono się zboże. Wujek należał do wyjątkowo pracowitych osób. Gdy jedna praca mu się kończyła, już zaczynał drugą. Od wschodu słońca po skoszeniu i zwiezieniu zboża dochodził ze stodoły odgłos miarowych uderzeń. Na wielkim klepisku stodoły leżały równo poukładane bez wiązań snopki żyta, a wuj uderzał w nie równomiernie długimi cepami. Raz dwa, raz dwa, raz dwa... Nieraz stali razem przy młóceniu z sąsiadem i tak na przemian, ale jeszcze szybciej uderzali w kłosa. Uderzenia prócz tego, że były równomierne, to jeszcze robiły wrażenie bardzo precyzyjnych. I pewnie takie były, bo zarówno wuj, jak i sąsiad byli w młócce zaprawieni. Ta praca wydawała mi się trwać wieki, nim zebrano lekkie kłosa zboża pozbawione ziarna. Przesiewano je potem na wielkich sitach, po czym ziarno lądowało w workach. Wszystko to robiono ręcznie.

Do zagrody wujostwa wjeżdżało się wąską drogą, wysadzoną równiutko wiśniami odmiany szklanka. Już w połowie lipca uginały się one pod ciężarem wielkich dojrzałych owoców. Wuj przystawiał nam drabinę, po której wdrapywaliśmy się z Jurkiem, po czym zajadaliśmy się tymi słodkimi, soczystymi owocami. Mama szybko do nas przybiegała i stała na dole przy mnie, pilnując, bym nie spadła. Dziś bardzo trudno nie tylko w sklepach, ale też na małych bazarkach kupić takie smaczne i soczyste szklanki.

Na wsi u wujostwa, będąc bardzo małą dziewczynką, zetknęłam się ze zwierzętami, które hodowano w gospodarstwach. Do dziś pamiętam, jak wyglądają, jak się je karmi i w jaki sposób trzeba ich doglądać. Wtedy gdy tylko kura, gdacząc głośno i jak mi się wydawało – dumnie – wychodziła z kurnika na podwórko, ja robiłam jeden skok i już w nim byłam. Wpadałam do środka i wśród siana szukałam ciepłutkiego jajka. Od razu zanosiałam je do domu i dawałam cioci. Przy kurniku stała też obora, w której mieszkwały dwie lub trzy krowy, a czasem też mały cielaczek. Za oddzielnym ogrodzeniem kręciły się duże świnki z prosiaczkami. Co ciekawe, wysoko w górze pod dachem obory budowały swoje gniazda jaskółki. Były ich całe gromady. Wylatywały z obory i po chwili wracały, a wtedy rozlegał się niesamowity pisk. To małe jaskółeczki tak piszczały, otwierając dzióbki w nadziei na jedzenie. Ptaki te pięknie wyglądały na błękitnym niebie, gdy latały, szukając pożywienia dla swych pociec. Tu na wsi wszystko zdawało się żyć w zgodzie. Gdy tylko krowy zjawiały się w oborze, ciocia

wkraczała tam ze stołeczkiem oraz wyparzonym kubelkiem i doiła jedną krowę po drugiej, pociągając lekko za wymiona. W krótkim czasie kolejne kubelki pieniącego się mleka wlewane były przez gazę do przygotowanych baniek. Bańki zamykano i zanoszono do piwnicy. Tam mleko stało. Ja patrzyłam często z ciekawością na tworzącą się na wierzchu grubą kremową warstwę – śmietaną. To z niej robiono masło. Dwa razy w tygodniu wlewano ją do maselnicy, a po długim ubijaniu wyjmowano świeżutkie masło, które także trzymano w piwnicy. Część baniek z mlekiem następnego dnia zabierał woźnica do mleczarni. Zapamiętałam te wszystkie dni spędzone na wsi jako pełne słońca, gorące, o błękitnym niebie bez deszczu. Wydaje mi się, że wtedy lata zawsze były gorące, najwyżej od czasu do czasu grzmiało, padał duży deszcz, ale zaraz znów się rozjaśniało.

Mama starała się pomagać w gospodarstwie jak mogła, dlatego każdego dnia wczesnym wieczorem przygotowywała kolację. Na dworze nieopodal ogródka stał prostokątny stół. Mama przykrywała go lnianym obrusem (pamiętam, że u nas w domu stół do posiłku zawsze musiał być nakryty obrusem i ja sama zawsze się tego trzymam), po czym ustawiała talerze. Podawała przygotowane na żniwa kielbasę, kaszankę, boczek i schab pieczony, a także świeżutkie masło, kiszone ogórki i ogórki ze śmietaną, czyli mizerię. Wuj siadał między Mamą a ciocią, a z drugiej strony Mamy siedziałam ja, obok mnie brat cioteczny Jurek. Wuj kroił długie kromki z ogromnych bochenków chleba pieczonego przez ciocię Wałę na okres żniw. Każdy bochenek pod spodem miał liść chrzanowy. Przechowywało się je na strychu, każdy owinięty w oddzielną lnianą ściereczkę. Ja uwielbiałam chleb posmarowany tylko masłem, za mięsem nie przepadałam, czasem trochę poskubałam z talerza Mamy – zwykle kawałeczki schabu, i to bez tłuszczu. W ciągu dnia coraz to wpadałam do domu i prosiłam o pajdę chleba, najlepiej pomoczoną w mleku (lub w wodzie) i posypaną grubo cukrem, po czym biegłam się bawić. Ach, co to było za jedzenie, tego w Warszawie nie mieliśmy. Wieczorem już umyta, zasypiałam po dniu pełnym wrażeń na rękach Mamy. Śniadanie przygotowywała ciocia Wala. Przeważnie robiła jakąś zupę na mleku lub zupę zacierkową z kartofelkami okraszaną słoniną z cebulką. Za zupą mleczną nie przepadałam, ale tę zacierkową to lubiłam. Pojawiała się też od czasu do czasu na stole ogromna patelnia z jajecznicą, z której nakładało się łyżką każdemu porcję. Wuj zawsze dostawał największą, ja najmniejszą, ale po spróbowaniu prosiłam o dokładkę, a do tego chlebek z maselkiem. Ta jajecznica była wspaniała, ze świeżutkich jajek, znoszonych przez kury karmione zbożem. Niestety, po trzech tygodniach tego zdrowego wiejskiego życia musiałyśmy wracać z Mamą do domu do Warszawy.

Tata do nas na wieś prawie nie przyjeżdżał. Jazda taka była dla niego dość długa, bo nawet samochody jeździły wtedy wolno, a Tata miał przecież dużo pracy. Mama mówiła mi po cichu, że nie lubił pracy w polu i unikał jej jak ognia. A nie

chciał też przyjechać na wieś i być nieprzydatny. Rodzice jeździli za to czasem do Lekarcic w odwiedziny, szczególnie gdy odbywały się jakieś uroczystości rodzinne.

Jeżdżąc na wieś, do Lekarcic, Rodzice musieli też odwiedzać siostrę Dziadka, Małgorzatę Mieńkowską, która nosiła po mężu takie nazwisko. Mieszkała we wsi Olszew, położonej mniej więcej 8 kilometrów od Lekarcic.

Babka Małgorzata była jeszcze młodą kobietą, gdy została wdową z kilkorgiem dzieci: synami Julianem i Romanem oraz córkami Ewą, Natalią i Janką. Była niezwykle przedsiębiorcza, prowadziła duże jak na owe czasy gospodarstwo rolne i sama wychowywała dzieci. Potrafiła zapewnić im dobry start w rolnictwie w tych trudnych przedwojennych czasach, bo każde z nich samodzielnie gospodarowało na dużym kawałku ziemi.

Mama i Tata widywali ją przy różnych okazjach, najbliższy kontakt mieli z jej synem Romanem, z którym Małgorzata wspólnie prowadziła gospodarstwo. Tato jako jedyny z rodziny gościł na ślubie jej najmłodszej córki, Janiny. Na to wesele Rodzice zabrali i mnie.

Było to latem prawdopodobnie 1936 roku w końcu sierpnia lub we wrześniu. Wysiedliśmy z autobusu na szosie, a już na przystanku czekała na nas zaprzężona w dwa kare konie furmanka. Na siedzeniach leżały kolorowe derki, tkane wówczas na wsi z różnokolorowych pasków materiałów. Pamiętam swoje skojarzenie, że bardzo podobne do tych derek były nasze chodniki na podłodze w kuchni przy Grzybowskiej – chodniki te czyściutkie i kolorowe pięknie się prezentowały. Furmankę prowadził kuzyn babki Małgorzaty. Wiózł nas drogami wśród wsi, aż dotarliśmy do szerokiego traktu. Przecinając go, wjechaliśmy na drogę prowadzącą przez wieś Olszew. Już z oddali słychać było muzykę. Kiedy furmanka skręciła w szeroko otwarte bramy gospodarstwa, naprzeciw nas wyszła orkiestra – grający na harmonii, skrzypkowie i mandolinista, witali nas skoczną muzyką. Cała orkiestra posuwała się wraz z nami aż do samego domu. Tam powitali nas babka Małgorzata i wujek Roman i wprowadzili zaraz do środka do izby pełnej gości.

Izba zastawiona była długimi stołami, nakrytymi białymi obrusami, a siadało się na ustawionych wzdłuż tych stołów ławkach, także nakrytych kolorowymi derkami. Na stołach stało mnóstwo jedzenia, bo goście przybywali zazwyczaj z daleka, a gospodarze słusznie uważali, że mogą być głodni. Z kuchni dziewczęta donosiły herbatę. Przez cały czas trzymałam się blisko Rodziców, którzy też usadowiali mnie między sobą.

Po jakimś czasie wszyscy zaczęli przygotowywać się do wyjazdu do kościoła. Po drugiej stronie sieni, w izbach szykowali się państwo młodzi. Na podwórku czekała przybrana strojnie bryczka, zaprzężona w dwa konie, a także furmanki, które miały wieźć gości. Było ich tak dużo, że wypełniały całe podwórko.



I tak, przy pięknej ciepłej pogodzie wśród głośniejszej muzyki młodzi wyszli z domu i stanęli przed swoimi rodzicami. Po krótkim błogosławieństwie ulokowali się w bryczce.

My wszyscy już siedzieliśmy w swoim wozie, a nasz woźnica stał na koźle w pogotowiu, trzymając mocno lejce. Aby lepiej widzieć, co się dzieje, stałam na siedzeniu między Rodzicami. Bryczka z młodymi powoli ruszyła w kierunku bramy prowadzącej na drogę, a z nią ruszyły wszystkie wozy.

Nasza furmanka jechała w pewnym oddaleniu od innych, ale kiedy orszak wozów wtoczył się na szeroki trakt prowadzący do Goszczyna, gdzie miał się odbyć ślub w kościele – wszyscy zaczęli się ścigać. Każdy chciał wyprzedzić innych i jechać tuż za bryczką państwa młodych. Nasz wóz też ruszył z kopyta, wyprzedzając inne furmanki, świszczał w powietrzu bat, woźnica krzychał i pędził jak oszalały, także przecinając drogę, bocznymi rowami i polami. Furmanka przechylała się z jednej strony na drugą i nie wiem, jakim cudem zachowała równowagę. Mama w tym szalonym wyścigu położyła mnie na dnie furmanki, abym z niej nie wypadła. I tak pędziliśmy w chmurze pyłu i kurzu wznieconego z traktu.

Po tej dziwnej jeździe dotarliśmy w końcu do kościoła w Goszczynie, tuż za bryczką ślubną. Gdy Rodzice wracali wspomnieniami do tej jazdy, Tata mówił, że honorem kierującego pojazdem było znaleźć się jak najbliżej wozu młodej pary i zaznaczyć tym samym bliskość pokrewieństwa.

Powrót z kościoła odbywał się już w spokojnej atmosferze, a w dwóch izbach czekały na gości zastawione stoły. Pamiętam, że kiedy rano otworzyłam oczy, Mama wyciągała mnie spod ogromnej pierzyny, gdzie wylądowałam śpiąca po przeżyciach poprzedniego dnia. Gdy wstałam i przechodziłam z Mamą przez kuchnię, zobaczyłam panią kucharkę i krzątające się tam dziewczęta, a pod oknem, siedzącą na wielkim zamykanym kufrze, babkę Małgorzatę. W kufrze tym była wódeczka. Dowiedziałam się od Taty, że tak pilnowano jej wydawania, aby należycie przebiegało zaopatrywanie stołów.

W południe wracaliśmy już do domu. Rodzice jako goście weselni zostali jeszcze wyposażeni na drogę w weselne wyroby: kiszki, kiełbaski, salceson, pieczeń i nie wiem, co jeszcze.

### **Przedwojenne wakacje**

Ostatnie lata przed wojną wciąż stają mi w pamięci jako piękne. Dobrze zwłaszcza wspominam okres wiosny, lata i wczesnej jesieni. Wydaje mi się, że lato było w tamtym czasie zawsze pogodne i pełne słońca. Niemal w każdą niedzielę ruszaliśmy na wypoczynek nad Wisłę. Jechaliśmy tam całą rodziną, Rodzice, my dzieci, no i Babcia z wujkiem Heńkiem, bratem Mamy. Wsiadaliśmy do autobusu, przystanek znajdował się przed Muzeum Narodowym w Alejach Jerozolimskich i

jechaliśmy na Saską Kępę, gdzie przy końcu ulicy Paryskiej był ostatni przystanek. Nieopodal, za Ateńską swoje gospodarstwo miała rodzina Babci, ciocia Ema i wujek Wilhelm Knie, u których mogliśmy się zatrzymać. Tuż za polami tego gospodarstwa rozciągały się łąki aeroklubu warszawskiego, na których stało lub nad którymi latało wiele szybowców. Było to ważne miejsce szkoleniowe dla lotnictwa szybowcowego, gromadziło się wokół niego wielu młodych chłopców. W niedzielę można tam było oglądać popisy młodych uczniów, a także loty zawodowych pilotów szybowcowych. Stojąc na wale, podziwialiśmy te krążące po niebie szybowce.

Zazwyczaj jednak w krótkim czasie wyruszaliśmy nad Wisłę, gdzie można było rozłożyć się na plaży, na jasnym piasku. Już wtedy wzdłuż rzeki ciągnął się wysoki wał miedzeszyński, w którym znajdowały się przejścia do rzeki. W upalne dni plaże nad Wisłą pełne były rodzin z dziećmi. Mieszkańcy Warszawy tłumnie korzystali z takiej formy wypoczynku.

Odkąd zaczęłam chodzić do szkoły i urodził się mój brat Janek, przestaliśmy wyjeżdżać na wieś. W lipcu, po zakończeniu roku szkolnego, jeździliśmy na letnisko. Na początku czerwca Tata szukał dla nas odpowiedniego miejsca, przeważnie blisko Warszawy, aby mógł do nas dojeżdżać. Moje najwcześniejsze wspomnienie dotyczy letniska w Bubicach, ale więcej pozostało mi w pamięci z wakacji spędzonych w 1936 roku w Warce, na wsi w gospodarstwie chłopskim nad samą Pilicą. Było to typowe w tamtych czasach gospodarstwo wiejskie, ze stosunkowo dużym domem, w którym zajmowaliśmy jedną połowę. W niewielkim oddaleniu od niego stały wielka stodoła i obora pełna zwierząt. Gospodarze trzymali tam krowy, konie, a także całe mnóstwo kur, kaczek i gęsi. Ale była też obok obory gnojówka, w której gromadziła się woda, no i gnój wyrzucany przez gospodarza. Miało to być odgrodzone, ale nie było. W oborze codziennie podglądałam gospodynię, jak doi krowy i wlewa mleko do wielkich baniek lub do pojemnika, który wstawiała do piwnicy. Duże bańki z mlekiem odwożono później furą do mleczarni, w małych pojemnikach mleko kwaśniało i z niego gospodyni robiła białe sery. Takie zsiadłe już mleko wlewała do płóciennych trójkątów, z których spływała serwatka i następnie wkładała między dwie deski, aby spłaszczyć ser. Dobre powietrze i żywność od chłopca miały mi zapewnić zdrowie, ale niestety warunki sanitarne ówczesnej wsi dalekie były od ideału.

Nie było to najszcześniejsze miejsce. Przyrodniczo – owszem, było tam naprawdę pięknie, choć Pilica to rzeka o rwącym biegu, z zawirowaniami i kąpiel w niej groziła utonięciem. Któregoś dnia, kąpiąc się sama, zostałam wciągnięta przez wir i jedynie dzięki chłopakowi, który wskoczył do wody i mnie wyratował, uniknęłam śmierci. Więcej nie pozwalano mi już chodzić nad wodę samej, chociaż brzegi Pilicy były piękne i można tam było biegać i bawić się w najlepsze. Po tej przygodzie pozostał mi na całe życie uraz do kąpiei w rzekach.

Przydarzyła się też pewna przygoda z moim bratem, który miał wtedy zaledwie dwa lata. Była sobota, szykowaliśmy się na wizytę Taty, który miał przyjechać wieczornym pociągiem. Na dworzec miał nas zawieźć pan gospodarz. Mama wyszykowała brata, najedzony, wykąpany i ubrany dwulatek wyszedł jednak niepostrzeżenie z chałupy (tak się wtedy mówiło) na podwórko. Mama szykowała się do wyjazdu, a i ja byłam gotowa do wyjścia. Na podwórku czekała furmanka z ułożonymi już kolorowymi derkami. A tu się okazuje, że mój brat Janek najspokojniej w świecie siedzi sobie zadowolony i roześmiany w gnojówce i się w niej chłapie. Widok straszny. Zaraz w ruch poszła balia pełna wody, mydło, ubranie zostało wyrzucone, bo nie nadawało się już do niczego. A co do zapachu, to wydawało się nam, że ciągnął się za nim jeszcze parę dni. Uroczystego powitania Taty nie było.

Na kolejne wakacje Tata starał się wybierać lepsze miejscowości i lokalizacje. Letnisko w 1937 roku zostało wynajęte w Podkowie Leśnej, która w tamtym czasie była miejscowością letniskową, wiele warszawskich rodzin spędzało tu urlopy. Do Podkowy Leśnej jeździliśmy niezawodną kolejką elektryczną, do której wsiadało się w centrum Warszawy, a następnie jechało przez rolnicze jeszcze wtedy części miasta. Jej trasa wiodła wzdłuż bagien i jeziorok na Szczęśliwicach i dalej przez powstające nowe osiedla. Wsiadaliśmy w Podkowie Leśnej Wschodniej. Kolejkę ceniono za jej niezawodność w kursowaniu oraz punktualność.

W wynajętym domku w Podkowie Leśnej Wschodniej mieliśmy wszelkie wygody i w porównaniu z Podkową Leśną Główną przyjeżdżało tu o wiele mniej letników. Możliwe, że i ceny były niższe, czym Tata na pewno się kierował. Podkowa Leśna Wschodnia cieszyła się więc mniejszą popularnością, ale nie przeszkadzało nam to. Spędzaliśmy miło czas, bardzo urozmaicony, a wieczorami w tej naszej Podkowie panował cudowny spokój. Tu też można było więcej biegać wśród pól i łąk. Korzystając z kolejki, Tata każdego wieczoru zasiadał z nami na kolacji.

Wakacje w 1938, a także w 1939 roku spędziliśmy w Klembowie. Ta otoczona lasem letniskowa miejscowość znajdowała się przy trasie kolejowej Warszawa – Wyszaków, jechało się więc do Klembowa pociągiem, który niemal zawsze zatrzymywał się na tej stacji (a także na innych) punktualnie. Pewnie również ze względu na tę dobrą lokalizację wielu warszawiaków wynajmowało tam letniska. Podobną miejscowością był pobliski Ostrówek. Prócz wygodnego dojazdu i pięknego położenia Klembów miał też znakomite warunki klimatyczne. Do rozrzuconych tu willi i domów prowadziła z dworca piaszczysta droga, a naokoło szumiały sosnowe lasy. Żywiczny zapach tych sosen czuło się wszędzie. Idąc ze stacji kolejowej, mijaliśmy ukrytą wśród drzew willę letniskową prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego, a także wybudowaną dla rozrywki

wczasowiczów salę do tańca. Właścicielką naszego domu letniskowego była pani pułkownikowa Stroinowska. Na rozległej, niemal całkowicie porośniętej lasem posesji stała jej willa, a w niedalekiej odległości od niej pobudowano drewniany dom letniskowy, który wynajmowaliśmy. Budynek ten stał na niewielkim wzniesieniu. Wchodziło się do niego przez dużą werandę, za nią była duża kuchnia, a po obu jej stronach znajdowały się drzwi prowadzące do pokoi. Przed domem, między dwoma drzewami, wisiał duży hamak, zawsze przez kogoś okupowany.

W 1938 roku na letniku byliśmy wspólnie z wujostwem Gurrami, czyli moją chrzestną mamą i kuzynami Hanią i Olkiem. Olek i Hania byli ode mnie dużo starsi. Hania chodziła już wtedy do gimnazjum, a Olek studiował. Z tego czasu nie bardzo ich pamiętam, zapewne szukali sobie bardziej odpowiedniego do ich wieku starszego towarzystwa, ja byłam zdecydowanie za smarkata.

Pozostał mi w pamięci z tego okresu pewien epizod. Była sobota i wujek z Tatą przyjechali jednym pociągami. Było jeszcze widno, no i panowie usiedli na werandzie przy długim stole. Tata na końcu, wujek pośrodku. Tata położył długą portmonetkę, wyglądającą jak worek, na stół i wysypał z niej wszystkie pieniądze. Najprawdopodobniej stanowiły one zarobek z tego dnia lub może z kilku poprzednich. Po czym zaczął skrupulatnie podliczać swój dochód, a ja się przyglądałam, jak układa pieniążki i oddzielnie kładzie banknoty. I w pewnym momencie wujek powiedział do Taty: „I ty z tej budy wyciągasz takie pieniądze, no, no!”, od tej pory innym okiem spoglądał na Tatę. Sam był wieloletnim cenionym pracownikiem w Gazowni Miejskiej, więc jego zarobki też nie mogły być złe.

Wracając do letniska. Dom w owych czasach wynajmowało się zwykle nieomal pusty, ze skromnymi, prostymi meblami, łóżkiem, szafą i krzeselkami. Reszta przyjeżdżała z Warszawy wynajętą furmanką. Z domu Rodzice zabierali łóżeczko dziecięce, pościel, talerze, garnki, obrusy, a więc wszystko to, co jest potrzebne do wygodnego życia i prowadzenia gospodarstwa. Po wakacjach całe to wyposażenie wracało do domu.

Wakacje w 1939 roku spędzaliśmy z wujostwem Bronickimi i ich córkami, Krystyną i Jadwigą. Były ode mnie niewiele starsze, a więc towarzystwo miałam doskonałe. Nasze rodziny bardzo się przyjaźniły.

Tamtego ostatniego przed wojną lata 1939 roku pogoda była wspaniała – słoneczna i sucha.

Z tych wakacji mam w pamięci obrazy spotkań z okolicznymi gospodyniami, które przychodziły do nas ze swoim towarem: kurczakami, jajkami, serami, ogórkami czy pomidorami, i już sama nie wiem z czym jeszcze. Jeśli idzie o kurczaki, to przynosiła je zawsze ta sama gospodyni. Ciocia Kasia, gdy tylko ją z daleka zauważała, mówiła, że idzie Niemka. Była jedną z gospodyń tych osadników niemieckich, którzy mieli tu swoje gospodarstwa rolne. Jej kurczaki

zawsze ładnie wyglądały, a do tego jeszcze przed wyjściem od nas sama ukręcała łeb kurczakowi, bo tego by nie zrobiła ani moja Mama, ani ciocia Kasia. Natomiast zawsze z zaciekawieniem przyglądałam się z werandy, jak kupowało się od innych gospodyń. Ciocia Kasia siadała wtedy na schodach lub stawiała sobie krzesło na samej werandzie, a gospodyni, nieraz i dwie, rozkładała się z towarem wokół niej. I ciocia zaczynała w tym towarze przebierać – wybierała, odkładała dla siebie, by z powrotem oddać gospodyni i po chwili znów coś wkładała do kosza, a przy tym szedł targ o cenę. Robiła to wszystko z wielkim humorem, dużo się śmiała i żartowała, w końcu dobijała targu, a towar dla niej i Mamy wędrował na stół. Panie zawsze za wszystko od razu płaciły. Pięknie wyglądały potem na stole: ogórki – bladozielone, twarde i równiutkie, obok nich kiście kopru i liście chrzanu. Kupowano ich sporo, bo nadawały się i do jedzenia na surowo, i do kiszenia. Pamiętam też świeżo wyrwane pęczki marchwi i buraków. Tylko kartofle od razu trafiały do kosza. Po zapłaceniu zwykle jeszcze trochę gawędzono, jak to się żyje. Zwłaszcza że już po kilku tygodniach między gospodyniami a Mamą i ciocią Kasią zawiązywała się nić serdeczności. Obie strony cieszyły się z kontaktów i z uśmiechem żegnały.

Przez cały lipiec, a nawet i przez pierwsze dni sierpnia stałym bywalcem był fajny chłopak w wieku siostry Jadzi, który na wielkiej tacy przynosił piękne czerwone truskawki. Równo poukładane i przyozdobione liśćmi z krzewu – w smaku słodkie i soczyste. Inne owoce nie były tak dekoracyjne. Trzeba przyznać, że wszystko, co się tam kupowało, było świeże, smaczne i zdrowe; w okresie letnim, kiedy domy zapełniały się letnikami z miasta, tutejsi rolnicy wykorzystywali każdą okazję, by sprzedać, co kto miał z upraw i z lasu.

Pamiętam też Maćka – syna jednej z gospodyń – który przychodził codziennie do naszej kuchni, przynosząc w wielkim worku ogromne ilości zbieranych w lesie szyszek. Patrzyłam, jak pękają wrzucane w ogień pod fajerką kuchni, a Maciek każdego dnia żegnał się zadowolony, że zarobił parę groszy.

Posesja, na której stał nasz dom letniskowy, pozwalała nam na rozmaite rozrywki. Byłam już trochę starsza, a kuzynki nie unikały zabaw ze mną. Grałyśmy w siatkówkę, bujałyśmy się na huśtawce i hamaku, a w lesie biegałyśmy ile sił w nogach. Jedną z atrakcji było podchodzenie jak najbliżej willi właścicielki – zwłaszcza wtedy, gdy przyjeżdżali goście. Czmychałyśmy też stamtąd czym prędzej, bo w domu czekała za to bura.

Z tych wakacji trafiła mi się też pamiątka po nieudanej nauce jazdy na rowerze. Wszystko szło pięknie, ale kiedy zostałam sama ze swoim rowerem, wpadłam w panikę i walnęłam prosto w drzewo. Rower nie doznał specjalnego uszczerbku, ale ja owszem. Od tej pory, choć starałam się później nadrobić to niepowodzenie, to o sukcesie nie mogłam już mówić. Od dziecka trzymano mnie z dala od sportów, i tak to już pozostało.

Podczas wakacji w Klembowie często odwiedzali nas w niedzielę młodszy brat Taty stryj Józek ze stryjenką Jadzią. Ich wizyty zawsze łączyły się ze śmiechem i radością, stryjek dużo się ze mną bawił, byłam bowiem jego ulubioną chrzestną córką i jak mawiał – jedynaczką, gdyż własnych dzieci nie miał.

Od początku sierpnia w rozmowie między Tata i stryjkiem zaczęło się pojawiać słowo „wojna”. Te rozmowy wieczorami powtarzały się też między Mamą i Tata w naszym pokoju, kiedy leżałam już w łóżku. Rodzice i wujostwo razem podjęli decyzję o wcześniejszym powrocie do Warszawy. Na tydzień przed końcem sierpnia wynajęliśmy furmankę do przewiezienia rzeczy z powrotem do domu. Przyszła też wiadomość, że wuj Stanisław, mąż cioci Kasi, został zmobilizowany do wojska. Szkoda, że trzeba było wracać tak szybko do domu, bo tamto lato w Klembowie wspominam jako naprawdę piękne i pełne radości.

Wracaliśmy do miasta pociągiem, pamiętam, że wysiedliśmy na dworcu Wileńskim, skąd dorożką pojechaliśmy do domu. Nasze rzeczy wróciły dopiero w ostatnich dniach sierpnia; gospodarz jechał już zatłoczonymi drogami. Po drodze spotkało go wiele przygód, jak opowiadał Tacie – wojsko zarekwirowało mu konia, ale nie zważając na kłopoty, wypożyczył następnego, i tak dotarł do nas i do wujostwa późnym wieczorem 30 sierpnia.

1 Warto tu wspomnieć o frekwencji i porównać ją z dzisiejszą. W 1928 roku w wyborach do Sejmu wzięło udział 11 728 360 osób, czyli 78,3 proc. uprawnionych do głosowania. Tymczasem w wyborach parlamentarnych w 2011 frekwencja wyniosła jedynie 48,92 proc., a więc stanowiło to nieco mniej niż połowę uprawnionych.

2 Po odzyskaniu niepodległości w 1919 roku jedną z kwestii, którymi zajął się Sejm Ustawodawczy, były barwy flagi narodowej. 1 sierpnia 1919 uchwalono ustawę, zgodnie z którą za kolory polskiej flagi uznano biel i czerwień, ale nie sprecyzowano odcienia tej czerwieni. W 1921 roku Ministerstwo Spraw Wojskowych wydało publikację z wzorami zatytułowaną Godła i barwy Rzeczypospolitej Polskiej. Wzorem koloru flagowej czerwieni ustanowiono karmazyn. Barwa ta została zmieniona na cynober rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z 13 grudnia 1927 roku. Weszło ono w życie 28 marca 1928 roku (art. 1 ust. 3 ustawy z dnia 14 marca 1933 r. w sprawie zmiany rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 13 grudnia 1927 r. o godłach i barwach państwowych oraz o oznakach, chorągwiach i pieczęciach; Dz. U. z 1933 r. nr 29, poz. 246).

3 W porównaniu z dzisiejszym było niewielkie, bo zajmowało zaledwie 12 hektarów (dziś są to 32 hektary) i początkowo posiadało tylko ok. 500 okazów w większości pochodzących ze zwierzyńca założonego przez Mieczysława Pągowskiego w 1926 roku przy Koszykowej.

4 Zakłady Mechaniczne URSUS SA w Czechowicach pod Warszawą

rozpoczęły działalność w 1923 roku. 11 lipca 1928 zademonstrowano pierwsze wyprodukowane tam 52 krajowe ciężarówki marki Ursus. Rok później z fabryki wyjechało 300 takich samochodów.

5 Budowę tej szalenie istotnej z gospodarczego punktu widzenia trasy łączącej resztę Polski z portem w Gdyni rozpoczęto w 1926, a zakończono w 1933 roku.

6 Honorowano nim obywateli, którzy między 11 listopada 1918 a 11 listopada 1928 wypełniali nienagannie służbę publiczną (w wojsku, organach samorządowych, instytucjach państwowych itp). Prawo przyznania medalu miał zarówno Prezes Rady Ministrów, jak i ministrowie poszczególnych resortów.

7 Kercelak, czyli plac Kercelego (człowieka, który sprzedał Urzędowi Miasta teren), był przed wojną największym warszawskim targowiskiem. Zajmował powierzchnię około 1,5 hektara i znajdował się między Chłodną, Towarową, Okopową, Ogrodową i Leszmem. Stragany na Kercelaku ustawiały się branżami. Można tam było kupić zarówno żywność, jak i wszelkiego rodzaju artykuły przemysłowe. Bazar zlikwidowano na kilka miesięcy przed wybuchem Powstania Warszawskiego.

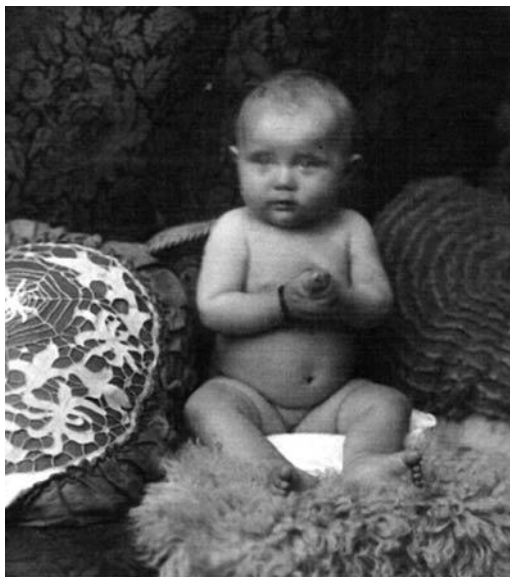
8 Męska szkoła średnia, prowadzona przez parafię ewangelicko-augsburską w Warszawie. Gimnazjum rozpoczęło działalność w 1906 roku. Od 1951 jest koedukacyjną szkołą państwową.

9 Takie szałas budowane są przez wyznawców judaizmu w święto Sukkot (święto szałasów). Religijni Żydzi powinni mieszkać w takim szałasie przez cały tydzień. Mniej religijni spożywają w nim tylko tradycyjne świąteczne posiłki.

10 Słowa do tej piosenki napisał Adam Kowalski.

11 Błyszcząca tkanina z wełny peruwiańskich lam.

12 Felczer to dawniej bardzo popularny, a dziś praktycznie niewykonywany zawód polegający na niesieniu pomocy chorym. Felczerzy pełnili niegdyś w miastach, a dziś czasem jeszcze na obszarach wiejskich, funkcję lekarzy. Zawód felczera nie wymagał ukończenia studiów medycznych. Kończyło się specjalne liceum felczerskie lub przechodziło przeszkolenie, by go uprawiać.



Mam 8 miesięcy



Babcia Justyna, przed 1939 rokiem

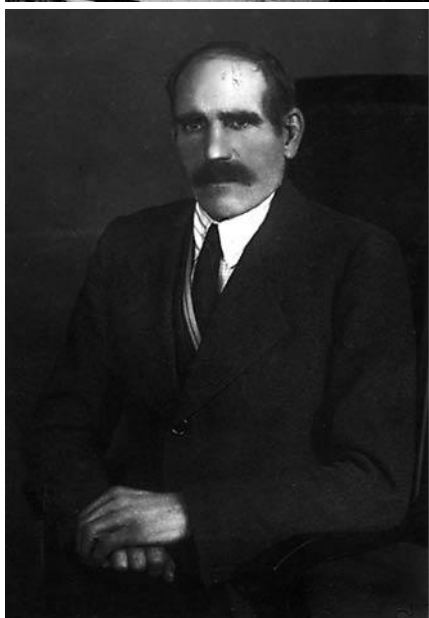




Na wsi w Kazuniu. Po lewej: Babcia Heckman, po prawej siostra Babci Karola Ebert, w środku Mama, po bokach Olga i Ana (córci Karoli), przy Babci wuj Heniek, przy Karoli jej syn Edek, ok. 1916 roku



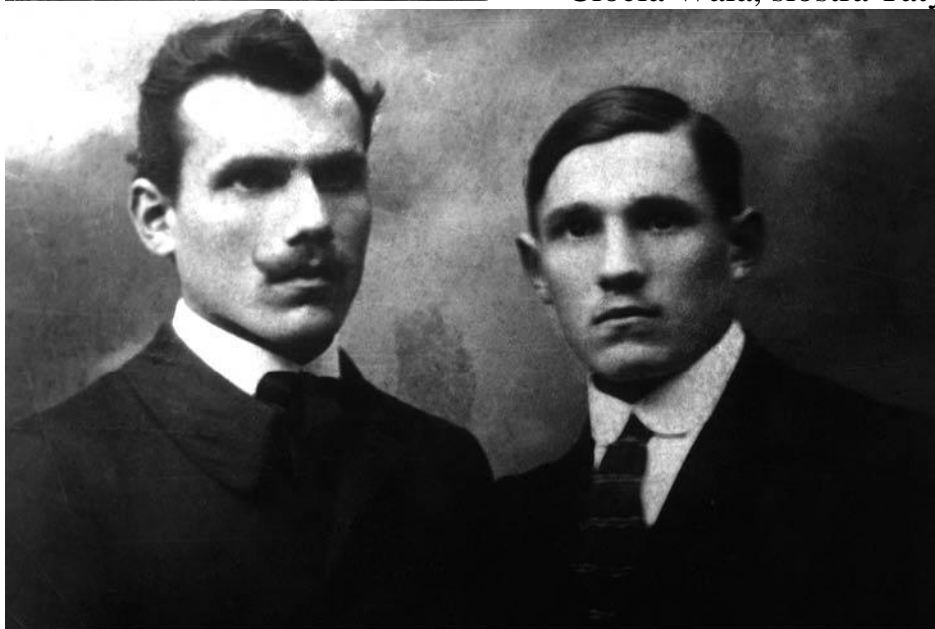
Kościół ewangelicko-augsburski św. Trójcy.



Dziadek Antoni Milewski



Ciocia Wala, siostra Taty, ok. 1928 roku



stryj Stacho, mój Tata Michał, ok. 1921 roku

Po lewej

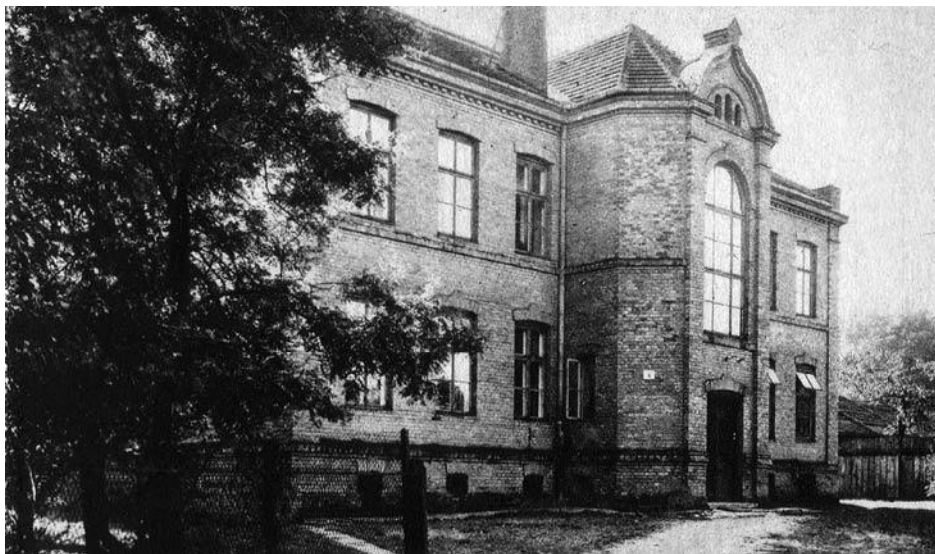


Zdjęcie

ślubne Rodziców, 25 września 1925 roku



Po lewej Rodzice, po prawej ciocia Lucia i stryj Józef (rodzeństwo Taty). Miałam się urodzić za 4 miesiące i 5 dni. Zdjęcie z 20 czerwca 1928 roku



Przedszkole i żłobek przy ul. Karolkowej 77 także należały do zboru ewangelicko-augsburskiego. Tu widok fasady. Prawdopodobnie 1925 rok



Budynek parafialny przy ul. Żytniej 36 w Warszawie. W tych latach mieścił się w nim dom starców



Szkoła

Powszechna nr 102 przy ul. Królewskiej 19. Tu się uczyłam



Stragany na

warszawskim Kercelaku czyli pl. Kercelego. Rok 1927



Kondukt  
pogrzebowy marszałka Piłsudskiego na Krakowskim Przedmieściu, maj 1935 roku



z Mamą. Ulica Wolska, czerwiec 1939 roku

Na spacerze



siostry Taty

Mam 9 lat i jestem druhną na ślubie cioci Luci,



Saska Kępa,  
1938 rok. Od lewej: ciocia Ana (córka Karoli) z córeczką, Tata, Mama z moim  
bratem Jankiem i ja. Obok Mamy ciocia Mila, Babcia i Olga z mężem Ludwikiem  
(zginął w obozie koncentracyjnym). Klęczy brat Mamy Heniek (zginął w  
Powstaniu Warszawskim)





Od lewej, od góry: kuzynki Krysia i Jadzia z moim bratem Jankiem. Niżej: moja Mama, ciocia Kasia i Babcia. Na dole: ja i kuzynka Jadzia

===AGEKfw9mCWcIKF9/L0M2RSpJM0o+WzdZMB4+dzMTJBwqEyoSIQ==

## Część 2. Wojna, rozstania i powroty

### Początek wojny

Na dworcu panował niesamowity ścisk, jedni wyjeżdżali w popłochu, inni przyjeżdżali. Jadąc z dworca do domu, zauważyliśmy, że wszędzie panuje nadzwyczajny ruch. Tata pokazywał Mamie plakaty o powszechnej mobilizacji mężczyzn do wojska, rozlepione dosłownie na wszystkich słupach ogłoszeniowych. Były też plakaty z odezwaniami prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego.

W domu czekali na nas Babcia i wujek. Zobaczyłam, że w pokoju za stołem i w kuchni ustawione są małe i duże worki. Tata powiedział, że zrobił zakupy na wypadek wojny: worek mąki, cukru, sól, kaszę, ryż, ziemniaki, a także parę puszek szynki i tłuszcz.

Ostatnie dni sierpnia 1939 roku to już były stałe komunikaty w radiu, często przemawiał prezydent Warszawy Stefan Starzyński. Wzywano warszawiaków, by się zgłaszali do budowy umocnień wokół miasta. Nasze pięciolampowe radio Philipsa nadawało przez cały dzień. Tata nie jeździł już do pracy na Pragę. Zarówno on, jak i wujek nie podlegali czynnej służbie wojskowej, Tata z powodu zaniku strun głosowych po przebytej chorobie, a wujek z powodu bardzo słabego wzroku. Ale obydwaj na apel prezydenta Warszawy chodzili każdego dnia do budowy wałów, okopów i innych umocnień, wznoszonych wokół miasta. W poprzek ulic wznoszono barykady. W mieście na każdym kroku widać było żołnierzy przemieszczających się to w jednym, to w drugim kierunku.

Kiedy wychodziło się z naszego podwórka na ulicę w te ostatnie sierpniowe dni, widać też było wszędzie duże grupy przyjezdnych spoza Warszawy. A równocześnie bardzo wielu warszawiaków wyjeżdżało z miasta. Nikt tak naprawdę nie wiedział, co robić, ale wszyscy szukali miejsca, w którym mogliby się czuć bezpieczniej. Mieszkańców Polski ogarnęła panika, wszechobecny był lęk (jak się potem okazało, uzasadniony) przed tym, co może nas czekać.

Moi Rodzice, a także wujek z Babcią postanowili, że zostajemy w domu. Na naszym podwórku zatrzymało się też wielu uciekinierów. Warsztaty już w tych dniach poprzedzających wojnę nie pracowały. Mówiono w domu, że Polacy, często całymi rodzinami, uciekali przed zagrażającym im niebezpieczeństwem. Jedni ze wschodu na zachód, inni z zachodu na wschód, do Warszawy. Ludzie koczowali, gdzie się dało. Wielu z tych, którzy nie mieli rodzin w stolicy, nocowało w dorożkach na naszym podwórku, a rano prosiło o możliwość umycia się. Byli też głodni. Te dni pokazywały grozę wojny. Mama gotowała więcej i częstowała ugotowaną zupą, bo mięsa już nie było. Zapasy, które Tata zrobił, bardzo w tych dniach się przydały. Skończyły się zabawy na podwórku. Nie pozwalano mi

nigdzie wychodzić, a Tata po raz pierwszy zagroził mi paskiem, gdy obstawałam, żeby mi jednak zezwolono.

No i wojna przyszła jak grom. Świt 1 września obudził nas rykiem syren, zwiastując nalot, a syrena z browaru Haberbusch i Schiele vis à vis naszej bramy wyła w sposób przeraźliwy, podrywając nas na równe nogi. Z nieba zaczęły spadać pierwsze bomby. Huk był tak ogromny, że wydawało nam się, że wszystkie padają blisko domu. Cały czas miałam wrażenie, że bomba zaraz spadnie na nasz dom. Wszystko się trzęsło, bo budynki stojące wokół podwórka nie należały do najsolidniejszych, ledwo się trzymały. Bałam się bardzo. Wszyscy z naszej klatki schodowej tłoczyli się na dole, nikt nie chciał iść do piwnicy.

Wiedzieliśmy też, że w przewidywaniu wojny w browarze przygotowano schron. Jako mieszkańcy okolicy, byliśmy o tym powiadomieni, kilka dni przed wybuchem wojny poszłam nawet z Mamą i Tatą ten schron obejrzeć. Wydawał mi się wielki – mogło się tam pomieścić mnóstwo osób. Wchodziło się przez grube drzwi, w środku było kilka małych okienek. Pod szarymi ścianami stały ławki. Oświetlenie ograniczało się do kilku małych żarówek.

Z każdym dniem naloty się nasilały, a ja bałam się coraz bardziej. Rodzice się zastanawiali, czy nie uciekać do schronu, ale od głosu syren do nalotów mijało niewiele czasu i trudno było zdążyć na drugą stronę ulicy. Nie wiem, jak to się stało, ale któregoś dnia w momencie, gdy zawyła syrena, a było to bladym świtem, zeskoczyłam z łóżka i w biegu wkładając sukienkę, popędziłam sama do schronu, i tam w kącie przysiadłam skulona. Od tej pory reagowałam tak na każdy dźwięk syreny. Biegłam do schronu, bo nie słyszałam tam huku bomb. Rodzice byli tym przerażeni, bo nim się zorientowali, mnie już nie było. Szukać mnie wychodził zawsze wujek Heniek, nieraz nawet w czasie nalotu. Był pewien, że znów pognałam do browaru. Znajdował mnie i już po bombardowaniu wracaliśmy razem do domu. Nie pomagały perswazje, strach wyzwał we mnie coś, co powodowało, że z momentem wycia syreny zrywałam się z miejsca i pędziłam do schronu jak szalona. Już w tych pierwszych dniach września po nalotach widać było płonące warszawskie budynki. Sprzed naszej bramy widzieliśmy płonącą kopułę naszego kościoła ewangelickiego i wieżę Zamku Królewskiego.

Okolo 10 września, mimo bombardowań, Tata postanowił się wybrać na Saską Kępę do rodziny po kartofle i warzywa. Wypożyczył wózek od lodziarza i zabrał mnie ze sobą. Trzeba było się przeprawić przez most Poniatowskiego na drugą stronę Wisły. Minęły już pierwsze naloty i myślał, że może Niemcy więcej już tego dnia nie nadlecą. Ruszyliśmy z wózkiem, ale kiedy byliśmy już w okolicach Tamki, znów zawyły syreny i zaczął się następny nalot. Schowaliśmy się na najbliższym podwórku i wtedy po raz pierwszy zobaczyłam przelatujący nisko samolot i lecącą w dół bombę – jedną, a później następne. Z wyprawy nic nie wyszło i czym prędzej wróciliśmy do domu. Żadna przeprawa na Saską Kępę nie

była możliwa.

17 września usłyszeliśmy w radiu wiadomość, że nasz kraj został zaatakowany ze wschodu przez armię radziecką. Zaraz potem zjawilo się na naszym podwórku jeszcze więcej uciekinierów ze wschodu. Byli zmęczeni i głodni. Każdy dzień przynosił kolejne naloty niemieckie i alarmujące głosy przez radio o konieczności obrony Warszawy. Tata z wujkiem na wiele godzin znikali z domu. Aż przyszedł dzień ciszy, a z nim komunikat o kapitulacji stolicy.

Naloty się skończyły, zapanowała cisza. Był piękny dzień, początek października. Stałam z Mamą na naszej ulicy przed sklepem zakładów mleczarskich „Agril” i wtedy po raz pierwszy zobaczyłam niemieckich żołnierzy. Jakiś oddział maszerował naszą ulicą. Żołnierze, w pełnym rynsztunku, szli ósemkami, każdy z karabinem na ramieniu. Stałam blisko Mamy. Zupełnie inaczej to wyglądało, gdy maszerowali nasi żołnierze. Za tymi żołnierzami zobaczyliśmy jadącą kolumnę samochodów niemieckich, a w nich również pełno żołnierzy. Z niektórych ciężarówek w pewnym momencie zaczęli rzucać bochenki chleba na ulicę do ludzi. Niektórzy łapali te bochenki, ale wiele osób tylko stało i patrzyło z przerażeniem. Mama pociągnęła mnie za rękę i wróciłyśmy do domu.

### **Czas okupacji**

Nadeszły pierwsze dni października i listopada. Każdy dzień przynosił coś nowego. Nie było szkoły, trzymano mnie w domu. Słuchałam rozmów o tym, co się działo. Już w pierwszych dniach po kapitulacji na słupach ogłoszeniowych zaczęły się pojawiać napisy po polsku i po niemiecku. Były to obwieszczenia o kolejnych poleceniach niemieckiego okupanta.

Po komunikacie nakazującym oddanie odbiorników radiowych Tata z wujkiem naradzali się, co zrobić. W domu mieliśmy dwa aparaty Phillipsa, stary i nowy. Jeżeli była rejestracja, to myślę, że tylko jeden z nich był zarejestrowany i dlatego postanowili, że go oddadzą, a drugi zostanie schowany. U wujka w warsztacie była podsufitka drewniana, w nocy w miejscu najmniej dostępnym oderwali podsufitkę i tam wsunęli aparat Phillipsa, a następnie tak umocowali deski, że zasłonili skrytkę. Stary aparat oddaliśmy. Nic nie mówiono na ten temat w domu, ale pamiętam, że od tej pory wiedziałam, że trzeba trzymać język za zębami, bo o tym, co się w domu dzieje, nikt nie może wiedzieć.

Tata po pierwszych dniach spokoju ruszył na Pragę do swego warsztatu. Okazało się, że lokal został zniszczony. Zaczął więc poszukiwania nowego miejsca, gdzie mógłby zacząć od nowa. Na szczęście znalazł w pobliżu wolne pomieszczenie, które można było wynająć, co natychmiast uczynił. Od razu też przystąpił do jego wyposażenia w warsztat i narzędzia.

Te pierwsze dni okupacji uświadomiły mi, że wojna oznacza również i to, że nie ma lekcji. Nie chodziłam do szkoły, wszystkie placówki edukacyjne

pozamykano – po mojej szkole na ulicy Królewskiej zostały zgliszcza. Spłonął też kościół ewangelicki, spaliła się kopuła i środek świątyni, pozostały tylko mury zewnętrzne. Ocalał jedynie budynek gimnazjum im. Mikołaja Reja.

Wcześniej do tego kościoła przychodziłam z Mamą prawie w każdą niedzielę, a nieraz i z Tata, i z Babcią. Kościół był ogromny. Wokół ołtarza rozpościerały się piękne witraże. Każdej niedzieli kościół pełen był ludzi, bo w Warszawie mieszkało bardzo wielu ewangelików. Należeli do różnych klas społecznych, ale wszyscy byli z tym kościołem związani. Kiedy poszłam tam z Mamą w październiku 1939 roku, zewsząd otaczała nas pustka. Wokół panowała też nienaturalna cisza. Idąc ulicami, napotykało się wiele zniszczonych domów. Mieszkańcy starali się szybko sprzątać gruz, a na naszym podwórku powoli zaczynało toczyć się życie.

Musiało to być późną jesienią, kiedy zaczęłam znów chodzić do szkoły. Nowa szkoła mieściła się w budynku przy ulicy Sewerynow. Nie był to typowy budynek szkolny, lecz zwyczajna kamienica mieszkalna pod numerem 6.

Część okien wychodziła na ulicę Sewerynow, a część na Dynasy, gdzie rozciągał się mały skwerek. Nie było już naszych nauczycielek. Lekcji też mieliśmy niewiele, a i przedmiotów, których się uczyliśmy – co kot napłakał, niektóre całkiem zniknęły z planu. W zamian musiałyśmy się zacząć uczyć języka niemieckiego. Nie uczono już śpiewu ani gimnastyki. W wolnych chwilach między lekcjami grałyśmy w siatkówkę. Na terenie Dynasów stała siatka do gry. Były to jedyne chwile, które mi pozostały w pamięci, z reszty zajęć prawie nic nie pamiętam, nie mogę sobie nawet przypomnieć, jak wyglądało zakończenie roku w siódmej klasie. Znikły mundurki, fartuszki, białe bluzeczki i granatowe spodniczki. Chodziło się do szkoły w tym, co się miało. Nie było już przygotowywanych przez sklep wędliniarski śniadań ani czekoladek. Do tej szkoły chodziłam do 1942 roku.

Wojna spowodowała, że moja edukacja potoczyła się tak, jak na to pozwalały warunki i sytuacja Rodziców. Okupant niemiecki uruchomił dla nas, Polaków, tylko szkoły zawodowe. Rodzice ustalili więc, że będę chodziła do szkoły handlowej. Chociaż już wtedy wiedzieli o możliwości nauki w polskim gimnazjum na tajnych kompletach. Nigdy jednak nie zapytałam, dlaczego taką, a nie inną decyzję podjęli.

Wybrano szkołę, która przed wojną była znana jako gimnazjum handlowe i do 1939 roku mieściła się przy Górnośląskiej. Teraz program zakładał, że jest to szkoła zawodowa, ma uczyć zawodu i to wszystko. Obowiązywały tam jednak zapisy i egzamin wstępny. Był to pierwszy w moim życiu ważny egzamin. Pojechałam wcześniej rano – sama. Szkoła mieściła się przy ulicy Bagatela 12, we frontowej części na górnych piętrach budynku. Uczyły się w niej tylko dziewczęta. Po egzaminie czekałyśmy na wyniki. Pamiętam jak dziś ten moment, kiedy wyszła pani i usłyszałam swoje nazwisko, dowiedziałam się, że zdałam i jestem zwolniona

z egzaminów ustnych. Ze szczęścia zjechałam po poręczy schodów w dół i szybko pojechałam do domu z wiadomością, że zostałam przyjęta.

Dom przy Bagateli był budynkiem mieszkalnym, lekcje odbywały się w pokojach – większych lub mniejszych, z ławkami. Klasy nie były liczne. Tu też od początku drugiej klasy zaczęły się odbywać tajne lekcje geografii, historii Polski i języka polskiego. Udawało się wtedy, że to zajęcia praktyczne, np. z robienia na drutach. Na ławkach leżały ręczne robótki, a my dla bezpieczeństwa nie czyniliśmy żadnych notatek. Nauczycielka prowadziła lekcje, a my słuchałyśmy tylko i odpowiadałyśmy. Na zajęciach z języka polskiego zapoznawano nas z literaturą polską. Ze szkoły powszechnej przy ulicy Sewerynow żadnym takich zajęć nie pamiętam, dopiero tu, w szkole zawodowej przy Bagateli poczułam się tak, jakbym uczyła się w swojej starej podstawówce przy Królewskiej. Mam też takie wspomnienie: z okien klasy z wysokiego piętra przyglądaliśmy się z koleżankami, jak Niemcy podejmują na placu Unii Lubelskiej próbę demontażu pomnika polskich lotników, ale w pewnym momencie grupa demontująca nie wiedzieć czemu odjeżdża i pomnik zostaje na miejscu.

Mijał trzeci rok wojny. Życie pod okupacją było okrutne. Lata 1939 i 1940 przyniosły bardzo ciężkie zimy. Warszawa przysypana została ogromnymi zwałami śniegu, a do tego dokuczały bardzo niskie temperatury – poniżej minus 20 stopni. Między chodnikami a jezdniami dozorczy usypywali ze śniegu wysokie kopce, po chodnikach chodziło się jak w tunelach. Były też spore trudności z zaopatrzeniem. Zimą 1940 roku nie dostałam nowych butów, a że ze starych już wyrosłam, więc chodziłam do szkoły w śniegowcach. Żeby nie odmroziła sobie nóg, Mama prócz skarpet robiła mi z materiału onuce, czyli takie bandaże i owijała mi nimi stopy. Mimo to nogi i tak mi przemarzały. W mieszkaniu też panował okropny ziąb, bo budynki na Grzybowskiej nie miały ogrzewania, a okna nie były szczelne. Między dwiema futrynami okiennymi układaliśmy więc przeróżne rzeczy, a przez to nie można było tych okien otwierać. Używaliśmy tylko małych lufcików w kuchni i w pokoju.

W klasach szkolnych też nie było najcieplej, ale nie tak zimno, jak w przedpokojach prowadzących do tych klas. Był to zwykły budynek mieszkalny i zimno wpadało tam z klatki schodowej.

Mimo że początek okupacji był dla wszystkich trudny, czekaliśmy z utęsknieniem na pierwsze wojenne święta Bożego Narodzenia. Mama przygotowała wieczerzę wigilijną z tego, co można było dostać. W to pierwsze Boże Narodzenie mieliśmy nawet choinkę. Stała w pokoju, jak zwykle na szafce pod oknem. Tego roku była ubrana bardzo skromnie, jedynie w te świecidełka i łańcuchy, które pozostały z poprzednich lat.

Tamtej pierwszej wojennej Wigilii, kiedy już mocno się ściemniło, Tata z wujkiem przynieśli do mieszkania z warsztatu zawinięte w koc radio. Zaraz po

wieczery wigilijnej zaczęli szukać fali, na której mogliby usłyszeć z Londynu wiadomości dla Polaków. Nadawano na wielu częstotliwościach, które wciąż zmieniano, gdyż Niemcy wszystkie audycje zagłuszali. Piski, zgrzytania, buczenie uniemożliwiały usłyszenie czegokolwiek. Zawsze jednak znalazła się jakaś częstotliwość, na której udawało się wyłowić sygnał: Bum, bum; bum, bum i zaraz głos: „Tu mówi Londyn, tu mówi Londyn” – i dalej już słuchało się tak upragnionych wiadomości o sytuacji na wojnie. W tym czasie mój brat już smacznie spał. Po audycji oczywiście od razu wynoszono radio do warsztatu i chowano do skrytki.

Na początku 1940 roku jeszcze kilka razy z tego samego odbiornika słuchaliśmy audycji, ale z uwagi na nasilający się terror radio pozostawało w ukryciu i coraz rzadziej z niego korzystaliśmy, a potem spaliło się wraz z warsztatem w czasie Powstania Warszawskiego. Okupacja sprawiła, że choć w grudniu 1939 roku skończyłam dopiero 11 lat, zaczęłam mimowolnie uczestniczyć w życiu dorosłych i czułam się już nieomal dorosła. Z pewnością zdawałam sobie sprawę z tego, jak bardzo jest to wszystko niebezpieczne i z tego, że muszę być ostrożna, żeby nie stało mi się nic złego.

Wojna spowodowała, że Rodzice stracili wszystkie swoje oszczędności, jakie mieli w banku, a także w papierach skarbowych. A mieli przecież różne plany, przede wszystkim mieszkaniowe. Z pewnością nie było im lekko, bo nie minęło jeszcze wiele czasu od chwili, gdy Tata założył warsztat; wcześniej po zredukowaniu z fabryki przez dłuższy czas nie miał pracy.

Dni okupacji mijały jeden za drugim, ale Warszawa żyła, ludzie pracowali, transport konny działał jak dawniej, warsztat w nowym miejscu też prosperował, no i szczęśliwie była praca, bo koła w wozach, furmankach i dorożkach psuły się jak zawsze. Latem Tata każdego dnia wychodził więc z domu o świcie, a wracał wieczorami. W zimie z powodu braku światła pracował krócej. Z tamtego czasu zapamiętałam jego całkiem siwą już głowę i postarzałą twarz. Myślę, że zarobki Taty wystarczały, byśmy nie cierpieli głodu. Mama kupowała jedzenie od handlarek i od osób, które przywoziły je ze wsi i handlowały wszystkim, zwłaszcza mięsem, słoniną i innymi produktami. Mimo że mieliśmy bliską rodzinę na wsi koło Grójca, Tata tam nie jeździł, bo bał się wystawiać na niebezpieczeństwo. Nie chciał ryzykować, bo wiedział, że gdyby go złapali i aresztowali, zostalibyśmy wszyscy na łasce losu. Wiedzieliśmy też, że chłopci na wsi uginają się pod ciężarem obowiązkowych dostaw zbóż, mięsa i wszystkiego, co się dało. Często też mieli rewizje, po których mało co w gospodarstwie zostawało.

Przychodziły do domu zatrważające wiadomości, że chłopom płacono za te obowiązkowe dostawy alkoholem, co doprowadzało do rozpijania wsi, zwłaszcza młodych ludzi. Tata ze stryjkiem Józkiem nieraz o tym rozmawiali, bo się interesowali, co się na wsi działo.

Rodzice starali się jakoś dawać sobie radę. Wszystko było na kartki. W naszym sklepie spożywczym świetnie zapamiętałam leżący na ladzie wielki klocek marmolady buraczanej – też jako racja kartkowa, i sacharynę, którą się dostawało zamiast cukru, a także kostki herbaty, która nie była wcale prawdziwą herbatą, tylko sprasowanymi suszonymi kostkami buraków. Chleb też nie był najlepszy, o pysznych przedwojennych kajzerkach można było tylko pomarzyć. Racje kartkowe, które wszystkim przysługiwały, były tak małe, że nikomu nie udawało się na nich przeżyć. Na te kartki kupowało się zresztą tzw. ersatze, czyli produkty zastępcze, przypominające jedynie normalne jedzenie. I tylko z Saskiej Kępy przywoziliśmy czasem po cichu ziemniaki i trochę warzyw. Echem odbijały się wiadomości o ciągłych łapankach i rewizjach wśród pasażerów pociągów. Podczas takich rewizji zwykle zabierano ludziom wszystko, co ze sobą wieźli.

Trzeba też wspomnieć o tym, że w reakcji na to handlujący nauczyli się, jak w najprzemysłniejszy sposób chować przewożony towar. Skrywali go pod ubraniami, w koszach wypełnionych trocinami albo w czymkolwiek, co dawałoby szansę uniknięcia rekwirunku.

Były też kłopoty ze światłem. W domu na ścianie wisiała teraz karbidówka, która oświetlała całą kuchnię. Syczała i wydzielala nieprzyjemny zapach, ale trzeba przyznać, że dawała nawet sporo światła, może nawet więcej niż lampa naftowa, którą jeszcze świetnie pamiętałam. Ale bardzo śmierdziało w mieszkaniu, zwłaszcza gdy się wymieniało zużyty karbid na nowy.

### **Podziały wśród warszawiaków**

Rok 1940 zapoczątkował wśród Polaków podział na różne społeczności. Zaczęło się od mieszkających wokół Żydów. W pamięć wrył mi się dzień, kiedy w drodze ze szkoły na ulicy Grzybowskiej zdałam sobie nagle sprawę z tego, że wszyscy Żydzi noszą teraz białe opaski z niebieską gwiazdą na rękawach. Te opaski pokazywały, jak dużo ludności żydowskiej mieszka w Warszawie, bo dotychczas tylko część nosiła tradycyjne stroje, a teraz wszyscy mieli obowiązkowe opaski. Z początku czułam się dość dziwnie, bo często nie wiedziałam, jak się mam zachować, czy przechodzić i nie zwracać uwagi, czy mogę o coś zapytać, porozmawiać. Tym bardziej, że na ulicach widoczni też byli żołnierze niemieccy. Trudno było to wszystko zrozumieć. Wcześniej, przed wojną, o Żydach rozmawiali Rodzice tylko wtedy gdy odbywały się ich święta, głównie wspominało się tych, dla których Tata reperował koła. Wiedziałam, że Żydem był doktor Sznapan, do którego chodziła Mama i wołała go do domu na wizytę. Przypomniałam sobie, z jaką ciekawością zaglądałam do ich domów modlitwy przy Grzybowskiej. Miałam kilka koleżanek Żydówek, ale w szkole przy Królewskiej wszystkie byłyśmy traktowane jednakowo, bez względu na wyznanie, byłam więc przyzwyczajona, że obok siebie istnieją różne religie. Nie pamiętam jednak, by do



nowej szkoły na ulicy Sewerynów wróciły koleżanki Żydówki.

W 1940 roku i w następnym w domu Rodzice z Babcią i wujkiem zaczęli przebąkiwać, że w naszej dzielnicy ma powstać rejon przeznaczony tylko dla Żydów, że ma zostać wydzielona dzielnica żydowska. W 1941 zaczęli się pojawiać u nas w mieszkaniu pierwsi Żydzi, którzy je oglądali, a Rodzice chodzili do ich mieszkań. Nasze mieszkanie na Grzybowskiej nie bardzo się podobało, odwiedzający nas ludzie mówili zwykle, że jest za małe dla ich rodziny, że nie ma wody w mieszkaniu, a ubikacja jest na dole. Mama natomiast opowiadała Babci, że prawie wszystkie mieszkania żydowskie są malowane farbami olejnymi o mocnych kolorach i że ta farba jest trudna do usunięcia, gdyby się chciało je przemalować. Niedługo wszakże przyszła wiadomość, że część naszej Grzybowskiej od Żelaznej w kierunku Towarowej nie będzie jednak włączona do getta. Wszystko zostało więc po staremu.

W pamięci mojej, mimo że byłam dzieckiem, przeżycia związane z gettem pozostaną na zawsze, oczywiście w takim stopniu, z jakim się zetknęłam. Myślę jednak, że większość dzieci szybciej dorastała w tych dniach wojny. I więcej rozumiała. Tak było i ze mną. To wtedy wyrobiłam w sobie umiejętność uważnej obserwacji wszystkiego wokół. To pozostało we mnie na dalsze lata życia.

Już po wyjściu z bramy w kierunku Żelaznej widziałam druty kolczaste ciągnące się wzdłuż ulicy i schody wiodące do pomostu. A za Żelazną w getcie ciągnęła się przecież ta sama ulica Grzybowska, którą każdego dnia przed wojną chodziłam do szkoły i inne do niej przylegające. Teraz wstęp na nią był surowo wzbroniony. W innych miejscach ulice odgradzały mury pospiesznie budowane, co izolowało ludność żydowską w ściśle określonym obrębie ulic.

Aby dojść do nowej szkoły, musiałam jednak przejść pomostem zbudowanym między Grzybowską a Chłodną, by dalej przekraczając Ogród Saski, dojść na ulicę Sewerynów. Nie jeździły już Żelazną żadne tramwaje, a każda inna droga do szkoły byłaby dużo dłuższa. Początkowo chodziłam z Mamą, ale później wiele razy musiałam iść tamtędy sama. I te przejścia bez niczyjej opieki przez zbudowany nad Żelazną pomost, prowadzący do Grzybowskiej, wyryły się w mojej pamięci trwałym obrazem. Przechodząc tą kładką, szłam zwykle dość wolno przy samej balustradzie, patrzyłam w dół, na ulicę i domy. W budynkach, na parterach, gdzie mieściły się sklepy, gromadziło się sporo osób. Ludzie coś robili przy różnych warsztatach, ale nie pamiętam, by był tam jakiś sklep z chlebem czy czym innym. A na ulicach – kłębił się tłum ludzi nędznie ubranych, w łachmanach, niemiłosiernie brudnych. Wiele z tych osób to właściwie były szkielety, wśród nich dużo dzieci. Po drugiej stronie Żelaznej wzdłuż muru browaru Haberbusch i Schiele ludzie leżeli już bez sił pod ścianami i prosili o jakąkolwiek pomoc, ale mało kto ich wspierał, bo przecież większość z tych mieszkających tu ludzi sama miała niewiele, byli biedakami już przed wojną.

Najstraszniejszy jednak widok przedstawiały wolno posuwające się wózki, pchane z wysiłkiem przez cienie ludzkie w brudnych łachmanach. To byli ludzie zbierający szkielety zmarłych. Tych, co umierali, leżąc na ulicy, a może i innych, których wynoszono z domów. Patrzyłam i widziałam, jak dużo było tych ludzi. Ogromnie dużo. To pozostało na zawsze w mojej pamięci, podobnie jak i to, jak bardzo w takiej sytuacji człowiek jest bezsilny.

Nigdy nie dojrzałam w getcie mojej koleżanki szkolnej – choć bardzo jej wypatrywałam. A na pewno bym ją rozpoznała, zwłaszcza po jej pięknych warkoczach.

Ostatnie wspomnienia związane z gettem, jakie mam w pamięci, to marsz ludzi wyprowadzanych przez wyjścia, a także widok płonących domów w czasie powstania w getcie, które widziałam z daleka, z ulicy Wolskiej i Młynarskiej, gdy szłam z Rodzicami na cmentarz ewangelicki.

W rodzinnej pamięci pozostał z tego okresu epizod, który dotyczył mojej ciotki Katarzyny Bronickiej, tej, z którą byliśmy na wakacjach w Klembowie. Ciotka nie pracowała przed wojną. Wujek, jej mąż, został zmobilizowany, brał udział w wojnie i dostał się do niewoli sowieckiej. Nie było o nim żadnej wiadomości. W tych latach wojny, mając na utrzymaniu dwie córki, ciotka miała się dla zarobku najróżniejszych zajęć. W okresie, kiedy istniało jeszcze getto, zajmowała się przerzucaniem paczek przez mury. Obok tego, że zarabiała, ryzykowała też własnym życiem. Dzięki tym jej przerzutom niejedno życie uratowano.

Któregoś dnia wybrałyśmy się z Mamą do ciotki Kasi na Stare Miasto, na ulicę Brzozową, gdzie mieszkała. Lubiłam tam chodzić, bo spotykałam się z moimi kuzynkami Krysią i Jadzią. Kiedy weszłyśmy, ciotka akurat wróciła z akcji. Była jeszcze cała rozgorączkowana, ale i zadowolona, bo wszystko się udało. Na rozgrzanej kuchni w garnku buzowały kartofle. Ciotka wpadła w panikę, że nie ma nas czym ugościć. W mgnieniu oka na stole pojawiło się wygniatane ciasto na kopytka. Cienkie, pokrojone wałki ciasta znikwały w rękach ciotki, by po chwili stać się podłużnymi kopytkami. Na patelni skwierczał smalec ze skwarkami i cebulką. Chwilę później na naszych talerzach zjawiły się kluski, świecące od skwareczek. No i herbata – niestety z buraków. Taki to był czas: ryzykowanie życiem to jedno, a normalność, konieczność nakarmienia gości to drugie. Na marginesie tej historii wspomnę jeszcze, że w swoim domu tylko w ten sposób przyrządzałam odtąd kopytka. Gdy wychodzą spod mojej ręki, zawsze wracam myślami do minionych chwil.

### **Podziały w rodzinie**

Czas okupacji przyniósł też duże zmiany w naszym życiu rodzinnym. Ton naszej rodzinie zawsze nadawała Mama, to dlatego my dzieci byliśmy

ewangelikami tak jak ona, a nie katolikami, jak Tata. Dotyczyło to zwłaszcza mnie, bo już przed wojną chodziłam zarówno do ewangelickiego przedszkola, jak i do szkoły.

Chodziłam również do kościoła ewangelickiego, chociaż zdarzało się też, że z Tatą bywałam w kościele Wszystkich Świętych przy placu Grzybowskiem.

Już na początku wojny nasz kościół ewangelicki został całkowicie zniszczony, a w Warszawie nie było innego, który by go zastąpił. Przez cały czas okupacji nabożeństwa odbywały się więc w kościele ewangelicko-reformowanym przy ulicy Leszno. Z zapartym tchem słuchało się kazań księdza Zygmunta Michelisa, który z ambony, nie zważając na ryzyko, ukierunkowywał nasze zachowania wobec wroga i podtrzymywał nas na duchu. Tak się działo we wszystkich kościołach w Warszawie, Rodzice często rozmawiali o tym przy niedzielnym obiedzie.

Jeszcze jesienią 1939 roku pewnego dnia Mama przyszła do domu z wiadomością, że Niemcy zamykają naszych księży. Wielu z nich zginęło potem w obozach koncentracyjnych<sup>1</sup>. W niedługim czasie, na początku 1940 roku, przyszło do domu zaproszenie (lub zaproszenia) na spotkanie z władzami niemieckimi. Dotyczyło nas, ewangelików. Po naradzie Mama z wujkiem zdecydowali, że pójdzie tam tylko moja Babcia, ale ze mną jako ochroną. Miałam wszystkiego słuchać, co powiedzą, i im dokładnie przekazać. Babcia jeszcze z dzieciństwa знаła język niemiecki, który mógł się okazać potrzebny. I pomyśleć, że akurat mnie wysłali...

Nie pamiętam, gdzie się to spotkanie odbywało, może w jakimś teatrze, ale na pewno w dużej sali. Usiadłyśmy na miejscach na samym końcu. Wśród publiczności panowała głucha cisza, na mównicę wchodzili różni mężczyźni, niektórzy w żółtych mundurach ze swastyką przemawiali to po polsku, to po niemiecku. W skrócie rzecz ujmując, przekonywali nas, że jesteśmy Niemcami i powinniśmy się zgłaszać do niemieckich urzędów. Wydaje mi się, że coś tam rozdawano, ale co to było, już nie pamiętam. Wysłuchawszy relacji z tego spotkania, Rodzice i wujek podjęli decyzję, że nie będą chodzić na żadne dalsze zebrania ani nigdzie się zgłaszać. Postanowiono, że trzeba pracować i zachować milczenie, aby żyć i jakoś przetrwać, a o żadnym zgłoszeniu, że są Niemcami, nie ma mowy. A w kamienicy trzeba tak żyć, jak się żyło do tej pory. Babci polecono, aby nikomu nie rozgadywała o tym, co się wydarzyło i co tam usłyszała.

Te dni wojenne wystawiły rodzinę mojej Mamy na ciężką próbę. Większość z naszych krewnych zachowała się godnie. Postawieni przed koniecznością wyboru tego, kim są, poczuli się stuprocentowymi Polakami. Nie chcieli się znaleźć po stronie okupanta. Były to wszakże niełatwe dni. Wciąż ich pytano, czy naprawdę czują przynależność do tego kraju, w którym od dawna żyją, i czy nie czują się jednak Niemcami. Wszyscyśmy żyli pod ogromną presją, bo okupant stosował

rozmaite naciski. Tych, którzy wybierali bycie Niemcami, nazywano volksdeuschami.

Tym naciskom oparła się cała rodzina na Saskiej Kępie, rodzina mojej matki chrzestnej wujostwo Gurrowie, dzieci rodzonej siostry Babci, Karoli, jej syn i córki... Byli też jednak i tacy, których skusił większy dobrobyt (choć prawdę powiedziawszy, wiodło się im przed wojną wcale nie najgorzej), zwłaszcza zaś sklepy Meinla – przeznaczone tylko dla Niemców – z witrynami pełnymi towarów, zaopatrzone w artykuły spożywcze, które dawno już zniknęły z polskich sklepów. Nierzadko dla volksdeuschów były też lepsze mieszkania. Ta część rodziny, która wybrała polskość, odcięła się wtedy od tej części, która wybrała niemieckość. Nie było spotkań ani wizyt. I nigdy już ich nie zobaczyliśmy. Z braku kontaktu w mojej pamięci zatarły się nawet ich twarze. Potem, już w czasie wojny i po wojnie, przychodziły wiadomości, że ich losy nie potoczyły się najlepiej. Mężczyźni zostali wcieleni do armii niemieckiej i poginęli na frontach. Cóż...

### **Mieszkanie na Ogrodowej**

Wiosną 1943 roku zamieszkałam z Rodzicami w nowym mieszkaniu przy ulicy Ogrodowej 16. Budynek sąsiedował z wybudowanym przed wojną gmachem sądów, do którego wchodziło się od ulicy Leszno.

Ta część ulicy znajdowała się poza obszarem getta. Poprzedni lokator opuścił to mieszkanie i Tata zapłacił właścicielowi za wynajem jakąś kwotę. Lokal miał dwa pokoje, kuchnię oraz dużą alkowę, a także balkon. Od frontu ulicy Ogrodowej stał mały budynek jednopiętrowy, natomiast wszystkie trzy kamienice znajdowały się w podwórku, i tak samo okna mieszkań wychodziły na podwórko. Mieszkanie miało też łazienkę i ubikację. Na podwórku, w przeciwieństwie do podwórza przy Grzybowskiej, było cicho i spokojnie. Prawie vis à vis naszej bramy biegła króciutka ulica Biała, którą dochodziło się do Chłodnej tuż przy kościele Karola Boromeusza z niewielkim placikiem. Babcia z wujkiem pozostali w mieszkaniu przy Grzybowskiej, ale nadal mieszkaliśmy blisko siebie, tak że w razie potrzeby w dziesięć minut u nich byliśmy.

Każdy kolejny rok wojny i okupacji był coraz smutniejszy, groźniejszy. Obowiązywało coraz więcej zakazów. Godzina policyjna powodowała, że już o ósmej wieczorem zamykano bramy i nie wolno było wychodzić na ulicę, bo groził za to areszt. W tramwajach, w pierwszym wagonie wydzielano od strony motorniczego siedzenia tylko dla Niemców (nie zawsze były zajęte, ale nawet gdyby były wolne, i tak nikt nie mógł na nich usiąść), a my Polacy, stłoczeni, ściskaliśmy się w przeładowanych wagonach. Nowych wozów tramwajowych nie przybywało.

Pewnego letniego dnia, jeszcze gdy mieszkałam przy Grzybowskiej, bawiłam się z koleżanką na podwórku. Jej mama wysłała ją na ulicę Wolską, żeby

jej coś przyniosła. No a ja, nie pytając Rodziców, poszłam tam razem z nią. Zrobiło się już popołudnie, a my wciąż beztriosko chodziłyśmy ulicami, zapominając, że to lato i niepostrzeżenie się zbliża godzina policyjna. Gdy zauważyłyśmy, że ulice opustoszały, zaczęłyśmy jak najszybciej biec do domu. Tymczasem w domu Rodzice spostrzegli już, że nigdzie mnie nie ma, ani na podwórku, ani u koleżanek. Nie mogli wyjść, aby mnie szukać, bo bramę zamknięto z uwagi na godzinę policyjną. Wszyscy na całym podwórku byli bardzo zaniepokojeni. Dozorca też stał w bramie i czekał na nas, aby ją szybko otworzyć, gdy tylko się zjawimy. Wpadłyśmy do bramy dobrze po ósmej – zgrzane i zmęczone. Wtedy po raz pierwszy Tata wyglądał, jakby naprawdę chciał mi spuścić lanie paskiem. Szybko schowałam się jednak pod stół w kuchni i nie ruszałam się stamtąd, a wujek oczywiście zaraz stanął w mojej obronie.

Myślę, że Tata w tym zamieszaniu stracił głowę, bo chwycił z rąk Mamy serwetkę, którą haftowała, i w nerwach wrzucił ją do rozpalonej kuchni. Piękna serweta, wyszyta wzorem richelieu, wielotygodniowa praca Mamy zniknęła w płomieniach. W domu zapanowała cisza i konsternacja – bo Tata nigdy przecież tak nerwowo nie reagował. To mi pokazało, jak bardzo moi Rodzice się o mnie bali. Dopiero po jakimś czasie odważyłam się po cichu wyjść spod stołu.

### **Codziennosc pod okupacją**

Codziennoscia życia w Warszawie był strach przed łapankami. Nagle, nie wiadomo skąd, zjawiały się budy, z których wyskakiwali żołnierze niemieccy, odgradzając drogi ucieczki i łapali przechodniów idących ulicą albo wyciągali pasażerów z wagonów tramwajowych, ładowali do tych bud i wywozili nie wiadomo dokąd. Mogło się to różnie skończyć – rozstrzelaniem, wywiezieniem do obozu koncentracyjnego albo na roboty do Niemiec.

Pewnego razu, kiedy wsiałam do tramwaju na Chłodnej i tramwaj ruszył, zobaczyliśmy nadciągające wozy niemieckie, zatrzymujące się nieopodal. Ludzie w mieście bardzo na takie sytuacje uważali i dlatego wszyscy momentalnie zaczęli wyskakiwać z wagonu i uciekać, gdzie się dało. Ja też wyskoczyłam w biegu. Przebiegłam na drugą stronę Chłodnej i pędem, ile sił w nogach, pognałam do domu. Już nigdzie tego dnia nie wychodziłam. Bałam się. Z łapanek się nie wracało.

W każdej rodzinie wiedziano też, kto jest zaangażowany w walkę z Niemcami. W styczniu 1943 roku został przez gestapo aresztowany Olek, syn wujostwa Gurrów. Długo nie było wiadomości o tym, gdzie go przetrzymują. Jeszcze przed wojną na skrzyżowaniach ulic stały okrągłe słupy ogłoszeniowe, na których wieszano reklamy, a przed wybuchem wojny rozlepiano na nich ogłoszenia mobilizacyjne. Teraz używano ich do zawieszania komunikatów władz niemieckich o egzekucjach na Polakach, wykonywanych zwykle w odwecie za

akcje zbrojne przeciw żołnierzom niemieckim. Jeden z takich słupów stał obok przystanku przy Chłodnej. Z daleka widać było wiszące tam ogłoszenia o egzekucjach. Kiedy z Mamą stałam na tym przystanku, zawsze z uwagą je czytałyśmy, szukając z niepokojem znajomych nazwisk. Od zniknięcia Olka zaczęłyśmy na nich z jeszcze większym niż zwykle lękiem wypatrywać jego nazwiska. Na szczęście nigdy go tam nie znalazłyśmy. Aż pewnego dnia ciocia Natalia powiadomiła nas, że Olek jest w Oświęcimiu.

Moja rodzina w tych dniach szalejącego terroru żyła z dnia na dzień. Tata był rzemieślnikiem i na szczęście wykonywał zawód, którym okupant się zbytnio nie interesował. Pracował w warsztacie, miał pracę, bo transport konny był powszechny, a wozy i dorożki psuły się jak zawsze.

Tata z obawy, by nie wpaść w żadną łapankę, wychodził do pracy bardzo wcześnie. Jechał do warsztatu na Pragę o świcie, a wracał tuż przed godziną policyjną. Mama prowadziła dom, ale pomagała też Tacie w pracy. Często woziła mu do warsztatu korpusy do kół, robione w pobliskiej fabryczce, a reperując koła, Tata tylko wstawiał w nie szprychy i mocował obręcze. Początkowo wyrabiano je z metalu, ale w owym czasie też z gumy. Chodziło o to, aby Tata nie tracił czasu, ale też, by nie jeździł za dużo po mieście i niepotrzebnie się nie narażał. Przy okazji Mama woziła mu obiad.

## **Powstanie**

Przez cały czas okupacji propaganda niemiecka zasypywała nas kłamliwymi informacjami, a to w wydawanym Nowym Kurierze Warszawskim, a to poprzez umieszczone na słupach w wielu punktach miasta megafony, nazywane szczekaczkami. Dlatego tak wielkim pragnieniem było słuchanie radia Londyn, które nadawało prawdziwe wiadomości. Dla tej wiedzy narażaliśmy życie, wyciągając z ukrycia radioodbiornik.

Tymczasem przez swoje szczekaczki Niemcy nadawali komunikaty o zwycięstwach swojej armii, w które zresztą od 1943 nikt już nie wierzył, bo potajemnie rozchodziły się wiadomości o coraz większych porażkach wojsk hitlerowskich i większość ludzi żyła nadzieją na koniec wojny. Zresztą potem z tych samych megafonów zaczęto mówić nie tyle o zwycięstwach, co o ciężkich i bohaterskich walkach.

Lato 1944 roku było gorące, rozpoczęły się wakacje. Ale ulice: Chłodna, Żelazna i inne pobliskie arterie pełne były ludzi przemierzających się pospiesznie w różne strony. Chłodną maszerowały też wojska niemieckie, idące albo ze wschodu na zachód, albo zmierzające w przeciwnym kierunku.

Część dalszej rodziny wyjechała z Warszawy na wieś. Pozostał tylko stryj Józek, my też nie ruszaliśmy się z miasta. Wtedy już niemal każdy wiedział, że Niemcy przegrywają tę wojnę i że ze wschodu nadciąga armia radziecka, a z

zachodu wojska aliantów. I w jednej, i w drugiej walczyli polscy żołnierze. Z megafonów słyszeliśmy zaś, że wojska niemieckie prowadzą ciężkie walki i w końcu je wygrają. Do Warszawy w tych gorących dniach lipca dochodziły też odgłosy armat od strony Pragi i wiadomości o tym, że niektórzy widzieli czołgi rosyjskie nieopodal granic miasta. Oczekiwano więc, że lada moment tamta strona Warszawy zostanie zajęta przez armię radziecką, bo jej wojska posuwały się bardzo szybko.

Tata już od połowy lipca nie jeździł do pracy na Pragę. Wszyscy mieli poczucie, że coś wisi w powietrzu i dlatego lepiej pozostać w domu. Nie wypuszczaliśmy się dalej niż na sąsiednie ulice, jednak codziennie chodziliśmy do Babci, by zobaczyć, co się u niej dzieje. W tej gorącej atmosferze Mama namawiała Tatę, abyśmy również wyjechali na wieś do rodziny ojca, ale Tata był temu przeciwny. Uważał, że trzeba pozostać w domu, zwłaszcza że według informacji, jakie miał, nic nam nie powinno grozić. Dlatego pozostaliśmy w Warszawie. Rodzice oczekiwali, że miasto zostanie niedługo zajęte przez armię radziecką.

Wybuch powstania 1 sierpnia o piątej po południu zastał nas na ulicy Chłodnej, nieopodal Białej, kiedy wracaliśmy wszyscy od Babci z Grzybowskiej. Zewsząd dochodziły nas odgłosy wystrzałów i okrzyki ludzi, że wybuchło powstanie. Przestraszeni, szybko uciekliśmy do domu.

Już pierwsze dni powstania okazały się tragiczne. Nasze ulice, leżące od strony zachodniej miasta, ze wszystkich niemal stron otoczyły wojska niemieckie, które od pierwszych godzin walk ruszyły zarówno przeciw powstańcom, jak i ludności cywilnej. Mieszkańcy, którym udało się zbiec z Woli, opowiadali o masowym mordowaniu ludności w tamtej dzielnicy i nawoływali do ucieczki. Z ust do ust powtarzano sobie straszne historie o zabijaniu ludzi ze szczególnym okrucieństwem. Później się dowiedziałam, że za rzeź na Woli odpowiedzialny był pułk SS dowodzony przez Oberführera Oskara Dirlewangera. Niemal połowę składu tego pułku tworzyli obcokrajowcy z terenów Związku Radzieckiego, a także batalion złożony z niemieckich skazańców, tzw. batalion rosyjski, złożony z „żołnierzy” pochodzących z ZSRR, oraz wschodniomuzułmański pułk SS, składający się z Turkmenów i Azerów. I właśnie te „wojska” zajmowały się metodycznym mordowaniem mieszkańców Woli i rozstrzeliwaniem ich kamienica po kamienicy... A właśnie na Woli, przy ulicy Płockiej mieszkali stryj Józek i stryj Stacho. Nie wiedzieliśmy, co się z nimi dzieje.

Czwartego sierpnia, czyli w czwartym dniu powstania, ja z Tatą wybraliśmy się do Babci i wujka na Grzybowską, aby ich zabrać do siebie. Rodzice uznali, że w takich okolicznościach lepiej być razem. Ale doszliśmy tylko do kościoła Karola Boromeusza. Dalej wznosiły się barykady, widać też było pierwsze zniszczone budynki, a na placu przed kościołem usypane mogiły z wetkniętymi w nie

małymi drewnianymi krzyżami. Wokół słyszało się huk wystrzałów, wszędzie unosił się dym. Nie mogliśmy dalej iść, wróciliśmy więc czym prędzej do domu; straciliśmy nadzieję, że zdołamy się tam w ogóle przedostać.

Na Ogrodowej od strony Woli przez cały czas dochodził nas odgłos spadających pocisków, a uciekinierzy z Woli doradzali, by się jak najszybciej stąd ewakuować, bo zdziżalały oddziały pułku Dirlewangera posuwają się naprzód i wszystkich zabijają. W nocy Rodzice spakowali co cenniejsze rzeczy – srebra, lepsze ubrania, przenieśli to wszystko do piwnicy i schowali w zwale węgla kupionym na zimę. Jednocześnie przygotowali dwie małe walizki z niezbędnymi ubraniami na dalsze dni i z niewielką ilością żywności. Świtem 6 sierpnia przy huku armat wyruszyliśmy z domu, kierując się w stronę Starego Miasta. Mama trzymała brata, a ja kurczowo uczepliłam się Taty. Bo tak to już zawsze bywało – brat z Mamą, ja z Tatą i wszyscy trzymaliśmy się blisko siebie.

Minęliśmy Solną i dalej ulicą Leszno doszliśmy jakoś do Długiej. Miasto spowijały kłęby dymu, po drodze widzieliśmy płonące domy. Ludzie, biegnąc, chowali się do bram i uciekali przed przelatującymi pociskami.

Na ulicy Długiej panował jeszcze względny spokój. Kiedy dotarliśmy na Bonifraterską – wcześniej rano, gorącego 6 sierpnia – na ulicy widzieliśmy spacerujących ludzi, jak gdyby w ogóle nie było żadnej wojny.

Mówiono też, że na samym Starym Mieście jest spokojnie. Na Bonifraterskiej pod numerem 17 mieszkali wujostwo Gurrowie i Rodzice uznali, że u nich będzie najłatwiej przetrzymać czas powstania. Niestety, zastaliśmy ich mieszkanie zamknięte. Gurrowie musieli tuż przed wybuchem powstania wyjechać z Warszawy, a do ich mieszkania nikt nie odważył się nas wpuścić.

Wyczerpani, nie wiedząc, co czynić, udaliśmy się do znajomych Rodziców, mieszkających przy Freta. Byli zaskoczeni, widząc nas, ale mimo to przyjęli gościnnie. Rodzice opowiedzieli im, co się dzieje na Woli. Tymczasem ulicami Starego Miasta – Bonifraterską, Długą, Freta wciąż beztrąsko przechadzali się mieszkańcy, a czasem tylko przebiegali chłopcy i dziewczęta w mundurach i bez, ale z opaskami AK.

Jednak i tu dotarła wiadomość, że oddziały niemieckie zabijały wszystkich bez wyjątku, uznając wszystkich – i żołnierzy, i ludność cywilną – za bandytów. Nikt nie był w stanie przewidzieć, jak długo to jeszcze potrwa. Wszyscy wokół czekali, aż wreszcie wejdzie armia radziecka, ale z każdym dniem ta nadzieja coraz bardziej słabła. Zaczęło brakować jedzenia, przy czym nasza sytuacja przedstawiała się wyjątkowo źle, bo nie byliśmy przecież u siebie w domu i nic nie mieliśmy.

### **W piwnicy**

Parę dni cieszyliśmy się względnym spokojem, niestety, ta cisza nie



potrwała długo. Po tygodniu, 12 sierpnia wczesnym rankiem usłyszeliśmy warkot samolotów, a po chwili rozległ się huk spadających bomb. Wszyscy natychmiast pobiegliśmy do rozległej piwnicy i schroniliśmy się tam wśród lokatorów tego domu, a może i innych uciekinierów. Z tej piwnicy nie było nam już dane wyjść aż do samego upadku Starówki.

Naloty zaczynały się o świcie i z małymi przerwami trwały do zmierzchu, a dni sierpniowe są przecież długie. Wkrótce w przerwach między nalotami (wtedy je najlepiej było słychać) i w nocy zaczęło się rozlegać wycie przelatujących i walących na domy pocisków z dział moździerzowych. A także pocisków wystrzeliwanych w ataku na Starówkę z pociągu pancernego ulokowanego w pobliżu Dworca Gdańskiego, zwanego Grubą Bertą. Niemcy wystrzeliwali pociski nieustannie. W dzień i w nocy znajdowaliśmy się pod ciągłym ostrzałem z ziemi i z powietrza. Nie mieliśmy chwili wytchnienia. W ataku na Starówkę Niemcy użyli najcięższego sprzętu wojskowego.

Mieszkańcy domu odkryli w piwnicy leżące w worku suchary i beczki, które jak się okazało, były napełnione winem. Dzielono między wszystkich suchary, każdy dostawał po małej porcji i popijaliśmy to winem, bo nie mieliśmy już wody. Był też taki dzień, w którym Mama umoczyła sukienkę w winie i umyła mnie i bratu twarze, bo były czarne od brudu.

W schronie siedziałam w kącie w kucki i cały czas się strasznie bałam. Huk spadających bomb dochodził nas nieustannie. Był taki moment, że dorastający chłopiec, jeden z przebywających w naszej piwnicy, wyszedł na zewnątrz za potrzebą. W tym samym momencie usłyszeliśmy ryk samolotów i huk spadającej bomby. Wszystko się zatrzęsło. Okazało się, że ta bomba spadła nieopodal nas, a ów chłopak został prawie całkiem przysypany gruzem. Na szczęście ludzie z piwnicy zadziałali bardzo szybko i tego biedaka nieprzytomnego ze strachu jakoś spod tego gruzu wydostali.

Mijały dni, a my zbici w kupkę nadal siedzieliśmy w kącie. Aż któregoś dnia drzwi się otworzyły i ukazała się w nich twarz powstańca. Poprosił wszystkich mężczyzn zdolnych do pomocy, żeby wsparli powstańców przy ewakuacji szpitala św. Jana Bożego na Bonifraterskiej. Tata też poszedł, nie było go ze dwa, trzy dni. A my w nieustannym bombardowaniu i lęku oczekiwaliśmy na jego powrót. Wrócił z obandażowaną głową, bo został lekko ranny odłamkiem pocisku. Sytuacja chorych i rannych przedstawiała się tragicznie, właściwie byli skazani na śmierć. Przenoszono ich do pobliskich domów, a potem do nowo zorganizowanego szpitala przy Długiej. Później się dowiedziałam, że około 300 osób udało się wtedy ewakuować, ale niestety nie wszystkich. Ponad 300 chorych zginęło 30 sierpnia, gdy Niemcy ostatecznie zajęli budynki szpitala. 25 sierpnia Niemcy podpalili jego piwnice. Tata opowiadał o chwilach grozy, jakie przeżył przy ewakuowaniu chorych umysłowo, którzy stawiali opór i nie chcieli uciekać z płonącego szpitala.

Przed wojną mieściła się tu bowiem klinika chorób umysłowych i wielu chorych przebywało w niej od lat. Tata mówił też o tragicznej sytuacji żołnierzy, o tym, jak wielu było rannych i o tym, że walki toczą się coraz bliżej naszej ulicy.

Kilka dni wcześniej do naszej piwnicy powstańcy przynieśli wiadomość, że 13 sierpnia przy ulicy Kilińskiego nastąpił wybuch zdobytego przez powstańców czołgu Goliat, który tak naprawdę okazał się pułapką; Niemcy umieścili w środku ładunek wybuchowy. Zdobyty czołg został otoczony przez mieszkańców cieszących się ze zdobyczy. Zginęli wszyscy, którzy na nim byli – w tym wiele dzieci. Już w pierwszych dniach po oswobodzeniu Warszawy, odszukawszy rodzinę, Mama się dowiedziała, że na tym czołgu zginęła cała trójka dzieci kuzynki Mamy, ciotki Nachtygalowej.

Bomby i pociski padały bez przerwy, a my jakoś trwaliśmy w naszym budynku. Nie wiedziałam nawet, jak wyglądała ta kamienica, a zbliżał się już koniec sierpnia. I znów nalot i znów niesamowity huk spadającej na nas bomby. Wszystko się zatrzęsło. Pełno kurzu i wokół cisza – ale wciąż żyjemy. Ktoś po jakimś czasie odważył się wyjść z piwnicy zobaczyć, co się dzieje i czy możemy się wydostać. Okazało się, że bomba walnęła w oficynę domu. Stacjonowali tam żołnierze Armii Ludowej. Opowiadano, że wszyscy musieli zginąć. My ocaleliśmy, ale nie wiedzieliśmy, co jeszcze nas czeka.

W tych końcowych dniach powstania na Starówce kolejny powstaniec wpadł do naszej piwnicy z wiadomością, że żołnierze AK wycofują się ze Starego Miasta. Że będą ewakuować się kanałami do Śródmieścia i na Żoliborz i że lada chwila wejdą tu Niemcy. W dniu, w którym przyszła ta wiadomość, rozdzielono resztki sucharów. Mama wyrzuciła coś z niedużej walizki i upchała w niej cały nasz przydział.

30 sierpnia naloty ustały. Około południa otworzyły się drzwi piwnicy i ukazali się w nich żołnierze niemieccy, krzycząc Raus, raus! Schnell, schnell!. Nie wiedzieliśmy wtedy, że ci Niemcy należą do tego samego pułku, który odpowiadał za rzeź Woli. Nasza garstka, osoba po osobie, powoli opuszczała piwnicę. Mama pierwsza z bratem, a później Tata ze mną, trzymając mnie za rękę. Głowę dalej miał obandażowaną, a nie było nowego bandaża. Był piękny gorący dzień, 30 sierpnia 1944 roku. Po wyjściu z piwnicy nie mogłam patrzeć, tak raziło mnie słońce po tylu dniach siedzenia w ciemnościach. Staliśmy zbici w kupkę, a Niemcy bez przerwy coś wykrzykiwali i rozkazywali iść naprzód, w kierunku ulicy Bonifraterskiej. Szliśmy więc długim szeregiem pod eskortą wojsk niemieckich.

Z czasem robiło się nas coraz więcej, bo z gruzów domów wylaniali się kolejni ocalańcy wychodzący z piwnic. Byliśmy brudni i umęczeni. Szliśmy długim szeregiem, jeden za drugim, setki osób: kobiet, mężczyzn i dzieci. Wszyscy z niewielkimi tobołkami. Prowadzono nas pod bagnietami wzdłuż ulicy Bonifraterskiej. Na jej rozdrożu, przy parku Traugutta, na otwartej przestrzeni w

kierunku torów kolejowych i Dworca Gdańskiego zobaczyłam coś przerażającego. Wszędzie leżały ciała naszych zabitych żołnierzy. Były ich setki. Do tego ten upał... Nikt nie usuwał ciał. Dopiero później się dowiedziałam, że byli to żołnierze Armii Krajowej, którzy zginęli podczas nieudanego powstańczego ataku na Dworzec Gdański od strony Starówki świtem 21 sierpnia. Ten atak miał wesprzeć szturm prowadzony z Żoliborza. Podczas tych walk zginęło około 500 powstańców. I te ciała leżały tam potem przez cały czas, bo Niemcy zabijali sanitariuszki, które próbowały zbierać rannych – w ten sposób zastrzelono dodatkowo około 150 osób. Do dziś zawsze, gdy tamtędy przejeżdżam, wraca mi przed oczy tamten obraz.

Tymczasem my posuwaliśmy się dalej. Szliśmy wolno w kierunku ulicy Okopowej. Około godziny 16.00 Niemcy zatrzymali nasz pochód pod murami Cmentarza Żydowskiego. Rozciągnęliśmy się wzdłuż muru długim szeregiem.

Niemcy przechodzili i lustrowali nas przenikliwie, patrząc na twarz każdego. Stałam przed Tatą, on z owiniętą głową, a ja z pozostałymi dwoma kosmykami warkoczy, bo tylko tyle przetrzymało gehennę głodu, braku higieny i strachu. Na tym postoju Mama zdążyła otworzyć walizkę. Chciała pospiesznie wyjąć z niej parę sucharów. Zobaczyła jednak na każdym kawałku suchego chleba ogromne wijące się robaki. Razem z Tatą wszystko wyrzucili pod mur cmentarza.

Tam, w piwnicy, w ciemnościach nic nie widzieliśmy, więc suchary bardzo nam smakowały. Teraz nie było już nic do jedzenia ani do picia. Znów rozległ się krzyk Raus! i ruszyliśmy dalej, w stronę ulicy Wolskiej. Przed zmierzchem dotarliśmy do parafii św. Wojciecha. Mężczyzn zatrzymano na zewnątrz, do środka wpuszczono tylko kobiety i dzieci. Mama skierowała się od razu pod ambonę i rozłożyła tam małe legowisko; ambona stanowiła wspinały dach nad głową. Panował jednak ogromny niepokój, bo zamknięte wewnątrz kobiety nie wiedziały, co się dzieje z mężczyznami. Nie wiem więc, czy Mama spała. Ja usnęłam natychmiast.

### **Obóz przejściowy**

O świcie otworzyły się drzwi kościoła i kazano nam z niego wychodzić, już na zewnątrz zaczęli dołączać mężczyźni. Tata też nas zaraz odszukał i znów byliśmy razem. Poprowadzono nas w kierunku rampy kolejowej, gdzie zostaliśmy załadowani na otwarte wagony kolejowe i ruszyliśmy. Nie pamiętam, jak długo jechaliśmy, ale na pewno zatrzymaliśmy się, nim nastał wieczór. Po wyjściu z tych wagonów skierowano nas w stronę wielkiej parowozowni i otwartej tam bramy, przez którą weszliśmy do środka. Rodzice zajęli kawałek ogromnej, drewnianej platformy kolejowej, na której się rozłożyliśmy.

W niedługim czasie zjawily się panie z opaskami Czerwonego Krzyża i zaczęły nam rozdawać wodę do picia. Upał bez przerwy dokuczał. Panie

powiedziały do Rodziców, że jesteśmy w obozie przejściowym w Pruszkowie, skąd Niemcy kierują jednych do Generalnej Guberni, a innych do Niemiec.

Minęła noc i Mama zaczęła przeglądać nasze ubrania. Znajdowały się w strasznym stanie, ale najgorsze było to, że z brudu zalęgły się wszy, gnieźdzące się dosłownie w każdym szwie, we wszystkich zakamarkach ubrań. Wielkie, upasione wszy. Zobaczyłam wtedy pierwszy raz, jak wyglądają. Miałam je też we włosach, z których Mama zaczęła je zaraz mozolnie usuwać. Zagnieździły się nawet na moich rzęsach, te Mama usuwała najpierw, bo okropnie mnie szczypały oczy.

Zawszeni byli chyba wszyscy, którzy trafili do obozu przejściowego po tych tragicznych dniach bez dostępu do wody. W obozie byliśmy jednak chyba tylko dwa, najwyżej trzy dni, przynajmniej tak krótki czas pozostał mi w pamięci. Po tym czasie wczesnym popołudniem kazano nam się szykować do wyjścia. Rodzice zapakowali to, co mieli, i czekaliśmy, co będzie dalej.

Po otwarciu bramy kazano nam wychodzić, tłum kierował się więc do wyjścia. Trzymaliśmy się razem. Mama z bratem i ja z Tatą – obok siebie. Niemcy stali za bramą i wśród wychodzących robili selekcję. Nasz pochod co chwila przystawał, a Niemcy wyciągali z niego mężczyzn i niektóre kobiety. W pewnym momencie znów nas zatrzymano, stanęliśmy przed Niemcami i tak staliśmy nieruchomo. Po chwili wpatrujący się w nas Niemiec kazał iść w kierunku torów i stojących tam wagonów, ale już za nami kierowali ludzi na bok w innym kierunku. Później się dowiedziałam, jak wielkie mieliśmy szczęście, bo było niemieckie zalecenie, żeby ludność ze Starówki wysyłać do obozów koncentracyjnych i wielu z tych, z którymi wychodziliśmy ulicą Bonifraterską ze Starówki, właśnie do nich trafiło. Może Tatę uratowała brudna, poplamiona krwią zabandażowana głowa, a ja wyglądałam tak dziecinnie, byłam chuda, wymizerowana... Doszliśmy do peronów kolejowych i tam załadowano nas do otwartych wagonów towarowych. Była już mniej więcej czwarta po południu, gdy lokomotywa ruszyła, ciągnąc za sobą pełne wagony, załadowane po brzegi ludźmi. Jadąc, widzieliśmy wszystko, co mijaliśmy po drodze. Był piękny, wrześniey dzień, ludzie na polach pracowali tak, jakby nic się nie stało.

Po kilku godzinach jazdy zatrzymaliśmy się na stacji w Piotrkowie Trybunalskim. Tam nas wysadzono i jacyś ludzie przydzielili nas do dwu oddzielnych gospodarzy. Mamę z bratem do jednego, a mnie z Tatą do drugiego.

Późnym wieczorem znaleźliśmy się we wsi Rozprza. Po raz pierwszy rozdzieleni, choć w jednej wsi. U naszych gospodarzy położono nas w jednym pokoju, każde z nas dostało łóżko. Jakież to było szczęście – znaleźć się po tak długim czasie w cudownej chłodnej, czystej pościeli.

Wczesnym rankiem powitali nas gospodarze oraz ich syn i córka. Byli bardzo mili i serdeczni. Mieli nieduże, jak mi się wydaje, gospodarstwo i dom – też niewielki. Ale panowała u nich bardzo przyjacielska atmosfera, jakbyśmy byli u

przyjaciół. Nie mieliśmy nic, ale powiedzieli, że to, co mają, wystarczy przecież i dla nich, i dla nas.

Najszybciej, jak się dało, wybraliśmy się też do Mamy. Nasi gospodarze wskazali nam dom, w którym znajdowali się brat z Mamą. Tamten drewniany dom był większy, pośrodku znajdowało się wejście, a po bokach musiały być okna do pokoi. Do gospodarstwa wchodziło się przez bramę.

Weszliśmy na duże podwórko i spotkaliśmy na nim kogoś z domowników. Powiedzieliśmy, że przyszliśmy do Mamy i że chcemy się z nią zobaczyć. Zaprowadził nas do sieni, gdzie wzdłuż ściany stały dwa łóżeczka, a na jednym z nich siedziała Mama. Była smutna, bo w tych warunkach nie miała możliwości czegokolwiek zrobić, a wszystko wymagało prania i wyczyszczenia. A i zdawało się, że atmosfera w tym domu nie była najlepsza. Nie odczuwaliśmy wokół żadnej życzliwości czy choćby współczucia. Przy takim podejściu gospodarzy Mamie pozostawała tylko bezczynność, a przy tym brat był jeszcze mały i wymagał specjalnej troski. Nigdy też nie zaproszono jej do stołu, a tylko na talerzu przynoszono jedzenie i stawiano na stołku stojącym przy łóżkach. Wszystko odwrotnie niż u naszych gospodarzy; my jadaliśmy wspólnie i Tata prowadził rozmowy z gospodarzami oraz ich dorosłym synem. Siedząc przy stole, słuchałam, jak opowiada o tym, co przeżyliśmy podczas powstania, o nieustannym bombardowaniu i o głodzie, który nas gnębił. Na nowo przeżywałam ucieczkę z domu i to, co się działo na Starym Mieście.

Odtąd to Mama codziennie do nas zachodziła i starała się doprowadzić nasze ubrania do czystości, a przede wszystkim zlikwidować robactwo. Tu też dużo czasu poświęcała mojej głowie, a nie chciała obcinać mi włosów, które przez tyle lat pielęgnowała. Włos po włosie usuwała więc gnidy, które zagnieździły się licznie na mojej głowie. Widzieliśmy, że wraca do swoich gospodarzy bardzo niechętnie. Tak miały nam dni września 1944 roku.

Gdy wracam wspomnieniami do czasu spędzonego po ewakuacji ze Starówki u naszych gospodarzy, to przy przeżyciach powstania wydawały mi się one bez troski i szczęśliwe. Zapomniałam zupełnie, że jestem tak daleko od domu. Wyjątkowa była córka gospodarzy, starsza ode mnie. Tak to wszystko zorganizowała, że wokół nas kręciła się liczna młodzież szkolna, też już starsza ode mnie. Przychodzili, spotykaliśmy się często, chodziliśmy na spacer po okolicy. Śpiewaliśmy, no i robione były zdjęcia, które mi zostały na pamiątkę tamtych dni. Te zdjęcia przypominają mi młodzież, która wtedy do nas przychodziła. Może też stanowiłam dla nich pewną atrakcję jako warszawianka, byłam wesoła, już miałam ukończoną drugą klasę gimnazjalną. Przyjaźń z Januszem Śmietańskim, jednym z kolegów tamtego września, przetrwała wiele lat, do czasów, kiedy studiował w Łodzi medycynę, a ja w Warszawie jeszcze chodziłam do liceum. Listy krążyły między nami przez dłuższy okres, pisaliśmy do siebie każdego tygodnia. Ale też

nie wiem, jak to się stało, że mimo dobrych wspomnień, jakie mi pozostały po tych gospodarzach, ich córce, która tak wiele mi ofiarowała i na której fotografię często spoglądałam, nie pamiętam ani jej imienia, ani nazwiska rodziny. Tego mi brakuje.

Jednocześnie z tego czasu mam w pamięci inne gorsze wspomnienia, że byli też i tacy ludzie, którzy nie rozumieli tragicznego losu warszawiaków, ich niedoli, i że zabrakło im ludzkich uczuć, okazania serca i potraktowania nas jak domowników. Taka sytuacja spotkała moją kochaną Mamę, która taka zawsze była oddana i dobra dla wszystkich. Ale i tacy ludzie też się niestety zdarzali.

### **Lekarcice**

Poza tobołkiem z ubraniami Rodzice nie mieli nic, ani grosza, co bardzo pogarszało ich sytuację. Bywały dni, kiedy Tata wychodził, i myślę, że jechał wtedy do miasta i tam trochę pracował i zarabiał. Pod koniec września przez niebo zaczęły się przetaczać wielkie eskadry samolotów i zewsząd dochodziły wiadomości o porażkach wojsk niemieckich. Zapewne te wiadomości, a także trudna sytuacja Mamy spowodowały, że Rodzice postanowili ruszyć w rodzinne strony Taty – do Lekarcic. Stamtąd było już bliżej do Warszawy, Rodzice liczyli też na nieco lepsze warunki u swoich. Możliwe, że Tata miał już wtedy trochę zarobionych pieniędzy. Mieliśmy przed sobą długą drogę i można ją było pokonać jedynie pieszo. Wyruszyliśmy więc świtem pod koniec września, żegnając naszych miłych gospodarzy.

Nasza wędrówka trwała parę dni. Ile? Nie pamiętam. Szliśmy w dzień, zachodząc na noc do wsi i prosząc o nocleg. Na dworze nie było już tak ciepło jak w sierpniu. Zrobiło się chłodno. Zazwyczaj dostawaliśmy schronienie w stodole na sianie, rano częstowano nas czymś i ruszaliśmy dalej. Spotykaliśmy się z życzliwością, nie mogliśmy narzekać.

Jednak pod koniec wędrówki, kiedy zaszliśmy do jednej chałupy i poprosiliśmy o nocleg, gospodyni, która od razu nas przyjęła, wskazała nam na lewo od sieni niedużą izbę. Pomieszczenie było zupełnie puste, z piecem kaflowym przy drzwiach. Kobieta przyniosła dwa snopki słomy i położyła na podłodze. Była miła. Mogliśmy się umyć i coś zjedliśmy. Zrobiło się ciemno, a w tym pomieszczeniu żadnego światła. Mama na chwilę zapaliła świecę, którą jej dała nasza gospodyni, gdyśmy wychodzili z Rozprzy. Tata rozłożył słomę, rozebraliśmy się i poszliśmy spać.

Późno w nocy Mama przebudziła się, zerwała nas wszystkich i przy zapalanej świecy zobaczyłam wokół pieca i na podłodze roje łązących czarnych karaluchów. Zwijaliśmy w popłochu nasze rzeczy. Mama trzepała nasze ubrania, na wypadek gdyby się tam co dostało, i prędko się ubraliśmy. Wskoczyliśmy na dwór, było jeszcze ciemno, kiedy chyłkiem opuszczaliśmy gospodarstwo, po cichu, nie żegnając się z nikim i nie dziękując. Pamiętam, że szliśmy wtedy całą noc, aż

wreszcie dotarliśmy do Lekarcic.

W domu wujostwa w Lekarcicach zjawiliśmy się wczesnym popołudniem. Ciocia Wala, siostra Taty, była bardzo zaskoczona naszym przyjściem. Nie wiedziała, co się z nami dzieje ani gdzie się podziewamy.

Powitaniom nie było końca, okazało się jednak, że zrobiło się nas trochę za dużo, jak na tak mały dom. U cioci Wali była już ciocia Lucia, siostra Taty z synkiem Andrzejem, i pięcioro domowników. Poza tym po kilku dniach się okazało, że Tata nie znajdzie tutaj pracy. Do najbliższych miasteczek był kawał drogi, kilka, a nawet kilkanaście kilometrów; wokół domy rozrzucone i oddalone od siebie. Zresztą wieś mazowiecka zawsze była biedna. I dodatkowo ten brak możliwości znalezienia pracy jeszcze pogłębiał przygnębienie.

Nie było tu też, jak w Rozprzy, tak fajnej młodzieży.

Nastał początek października. To czas, kiedy zaczynały się na wsi wykopki kartofli. Zbierano je ręcznie. Gospodarze do kopania wynajmowali co biedniejsze gospodynie, dając im w ten sposób okazję do zarobku. Aby pomóc Rodzicom i też zarobić trochę pieniędzy, poprosiłam kuzynkę Taty, ciotkę Władkę, aby i mnie zgłosiła do tego kopania. Ona sama była jedną z takich kopaczek, było jej wtedy nielekkko, nie miała już męża, ziemi było niewiele, a miała na wychowaniu jeszcze małe dzieci. Mama jej dużo pomagała.

O siódmej rano stanęło sześć kobiet i ja przed wielkim polem kartofli i każda z nas dostała do kopania dwie redliny, motykę i kosz, do którego miałyśmy wrzucać bulwy. Gdy kosz się zapełniał, podbiegali do niego mali chłopcy, wymieniali go na pusty, a z pełnego kosza wrzucali kartofle na stojącą obok furmankę. Ruszyłyśmy. Powiedziałabym, że kopanie przebiegało w szalonym galopie. Kopaczki machały motykami aż śmigąło, co jedna, to prędzej. Nie byłam na to przygotowana, ale ta praca od zawsze tak się odbywała, i za to płacono. Trzeba było mieć siłę i wprawę, a ja nie miałam ani jednego, ani drugiego, do tego byłam jeszcze dzieckiem, i to z miasta. Mycie podłogi u Babci w żadnym razie mnie do tego nie przygotowało. Starłam się mimo to jak mogłam, jednak ciągle pozostawałam w tyle, a kochana ciotka Władzia, która tak się ustawiła, żeby kopać obok mojej redliny, stale mi pomagała. Przewidywała widocznie, że będzie mi ciężko i nie dam rady.

Po przerwie szło mi nie lepiej, a nawet gorzej, posuwałam się już nie schyłona, ale na kolanach, i tak też ukończyłam pracę, okopując ostatnie krzaki kartofli. Mogę powiedzieć, że nie ja, ale ciotka – a z drugiej strony jej znajoma – ukończyły moje redliny. Oczywiście dostałam swoją zapłatę. Połowę chciałam oddać ciotce Władce, bo przecież za mnie pracowała, ale odmówiła i tylko mnie pocałowała. Wróciłam do chałupy na chwiejących się nogach. Dałam Mamie pieniądze, umyłam twarz i ręce, i rzuciłam się na łóżko, po czym momentalnie usnęłam, nie jedząc nawet kolacji. Mimo że następnego dnia też się umawiałam na

kopanie ziemniaków, nie poszłam, wiedziałam, że nie dam już rady. Od tamtego czasu wiem jedno: ręczne kopanie kartofli to katorżnicza praca. A te pierwsze zarobione pieniądze pamiętam do dziś.

Tymczasem Rodzice dowiedzieli się, że około 5–6 kilometrów od nas, we wsi Fałęcice znajduje się Babcia. Zabrali ją ze sobą sąsiedzi z Grzybowskiej, państwo Siedleccy z trzeciego piętra, kiedy 10 sierpnia opuszczali Grzybowską i zorientowali się, że jest sama, bez wujka Heńka, który zginął w pierwszych dniach powstania. Rodzice ją odwiedzili i uzgodnili, że zostanie tam, gdzie jest, tak długo, jak to będzie możliwe, bo u nas nie było warunków, żeby ją zabrać, a państwo Siedleccy okazali się bardzo życzliwi i troskliwi wobec Babci. Mieszkali tam zresztą sami, we własnym domu.

### **U Mieńkowskich**

Dłużej u cioci Wali nie mogliśmy zostać. Tata chyba zresztą sam czuł, że sytuacja jest trudna, i postanowił ruszyć do naszej dalszej rodziny, mieszkającej osiem kilometrów od Lekarcic, we wsi Olszew. Mieszkała tam babka Małgorzata Mieńkowska, czyli przybrana siostra Dziadka z wujkiem Romanem, jej synem. Byliśmy u nich wiele razy, jak wcześniej wspominałam. Tata poszedł tam z nadzieją, że może nas przyjmą – mieli duże gospodarstwo – i że tam przetrwamy czas do końca wojny.

Jeszcze tego samego dnia po południu zajechała pod dom cioci Wali furmanka z wujkiem Romanem i Tata. Załadowaliśmy się na nią raz-dwa, bo przecież nic nie mieliśmy, tylko siebie, żadnego dobytku.

Wujek Roman i ciocia Janka, jego żona, oddali nam swój najlepszy pokój, w którym wygodnie się rozlokowaliśmy. Dostaliśmy łóżka ze wspaniałymi poduszkami i pierzynami. Czuliśmy się jak u siebie w domu. Tu Mamę wszyscy kochali, żyliśmy jak rodzina. Mama i ciotka razem gotowały, piekły, wszyscy wspólnie siadaliśmy do stołu. A do tego jeszcze miałam trzy młodsze siostry – Nacię, Krysię i Basię.

W tym domu, odkąd sięgnę pamięcią, zawsze wodziła rej stara ciotka Małgośka, matka wujka Romana. Ona rządziła, ponaglała, wszystkich poprawiała, wtrącała się do tego, co kto robił, wszędzie jej było pełno. Wujostwo mieli też do pomocy Józię – dziewczynę wysoką, silną, zawsze z szerokim uśmiechem na twarzy, gdziekolwiek się pokazała. Nigdy nie narzekała. Była tam alfą i omegą. Wiedziała, gdzie ma zajrzeć i jak zrobić to, co należy. Dbała, by nakarmić krowy, świnię, kury i wszystko, co żyło. Z wujkiem w stodole na maszynie razem przygotowywała sieczkę ze słomy. Doskonale znała się na robocie i wiedziała, że ma w tej rodzinie swoje miejsce.

I tu mała dygresja: po wielu, wielu latach dowiedziałam się, że Józia została przez wujka Romana zabezpieczona, przeżyła wuja i ciotkę i tu, u jego dzieci



troskliwie pielęgnowana, dożyła bardzo sędziwego wieku. Wspaniali byli ci wujostwo Romanowie i ich dzieci.

### **Kasza i łyżeczki**

Tata tymczasem dostał wiadomość, że jego starszy brat, stryj Stach ze stryjenką i synem znajdują się w Ożarowie. Cudem ocaleli. Mieszkali przecież na Woli, a wiadomo, co tam się działo. Tata dostał ich adres i postanowił jak najszybciej się do nich wybrać.

Zapewne ktoś mu też doradził, że przy okazji można tam zahandlować. Pod koniec października Tata kupił więc kaszę gryczaną na sprzedaż. Nie chciał iść sam, ja miałam iść razem z nim. Mama przygotowała nam dwa pakunki kaszy. Duży Tata zarzucił sobie na ramiona, a mniejszy, ważący około pięć, może sześć kilogramów, ulokowano na moich ramionach. Nie mieliśmy plecaków, tylko te tobołki z worków.

Świtem, tak wcześnie jak się dało, wyruszyliśmy z Olszewa, kierując się w stronę stacji, przez którą przejeżdżała wtedy kolejka wąskotorowa do Grójca i dalej w pobliże Warszawy. Nie wiem, jak daleko dojeżdżała kolej, ale wysiedliśmy na stacji Złotokłosa. Dalej już szliśmy pieszo ubitym traktem. Mieliśmy przed sobą około osiemnastu kilometrów. Tata szedł pierwszy, ja za nim. Robiło się coraz ciemniej, bo dni w październiku są dość krótkie, a ciężar na moich plecach z każdą chwilą zdawał się większy.

Gdy szliśmy wzdłuż długiego muru, który – jak mi się wydawało – nie miał końca, w jakimś momencie usnęłam, idąc. Szczęśliwie obsunęłam się na kaszę. Tata odwracając się, spostrzegł, że mnie za nim nie ma. Wrócił i podniósł mnie z ziemi. Wziął mój tobolek i zarzucił sobie na ramiona, po czym chwycił mnie za rękę i ruszyliśmy w dalszą drogę. W oddali widać już było światła w domach. Niedługo zapukaliśmy do stryjostwa.

Potem było już lepiej. Radości mnóstwo, bo też spotkałam się z niewiele młodszym kuzynem Józkiem. Kasza gryczana sprzedała się błyskawicznie. Za namową stryja, który zawsze miał lepszą od innych głowę do interesu, jak mawiała Mama, Tata kupił częściowo spalone stalowe sztucce: łyżki, łyżeczki i widelce. U stryjostwa pokazano Tacie, jak należy je czyścić, żeby móc je sprzedawać po wsiach i przekonywano, że chłopci na pewno chętnie coś takiego kupią.

Jak się domyślali dorośli, te sztucce musiały być z fabryki Henneberga lub Fragetta. Stryjek opowiadał, że w opuszczonej Warszawie krążą całe bandy złodziei, szabrowników plądrujących zburzone fabryki i spalone domy. Okradali piwnice, zabierając wszystko, co im wpadło w ręce. Bandy te zapewne działały we współpracy z okupantem i dzieliły się łupami – inaczej nie mogłyby tak łatwo się tam poruszać.

Powrotna droga do domu wydawała mi się nieco krótsza, ale ciężar był

niestety równie dokuczliwy.

W domu u wujostwa Romanów Mama zaraz wzięła się do czyszczenia łyżek i widelców, a ja jej trochę w tym pomagałam. Wkrótce sztucce wyglądały jak nowe. Po paru dniach ruszyliśmy na okoliczne wsie z ich sprzedażą – ja znów w roli Taty asystentki. Nawet nieźle nam to handlowanie szło. Gospodarze na wsi chętnie kupowali sztucce. Okazało się, że także i u wujostwa te łyżki i widelce bardzo się przydały. Dwie takie łyżki zachowałam do dziś.

Nadchodziło Boże Narodzenie. Szykowano się do świąt. Po cichu, wieczorem w szopie, Józia z wujkiem i z babką Małgorzatą zabili świniaka. W nocy zawiesili go w kuchni na haku i wszyscy się przy nim uwijali. Kroili na części, ze słoniny robił się smalec. Wtedy też zobaczyłam po raz pierwszy, jak się robi kiełbasy, salceson i kiszki kaszane. Wszystko szybko, przy lampie naftowej, bo mimo że się już wtedy nie widywało Niemców, to pozostał strach, że ktoś może donieść i wszystko zarekwirują. Babka Małgorzata, ciocia Janina, Józia i moja Mama – wszystkie zwijały się jak w ukropie. Ja, przyglądając się temu wszystkiemu, starałam się nie przeszkadzać.

Najbardziej frapujące było gotowanie w wielkim garnku kiszek; później do tego garnka ciotka Janka wlała kwaśny zaczyn jak do barszczu białego podawanego na obiad. No i wyszedł z tego nadzwyczajny barszcz na kiszkach. Z utłuczonymi kartoflami został podany następnego dnia na śniadanie. Jego smaku do dziś nie zapomnę, był tak dobry; chyba najlepszy barszcz, jaki jadłam w życiu. No, ale już później nigdy nie miałam okazji jeść barszczu na kiszkach.

W styczniu wybraliśmy się z Tatą znów ze sprzedażą sztucców, bo trochę nam ich jeszcze zostało. Był 13 stycznia 1945 roku. Wyruszyliśmy świtem, jak tylko się rozwidniło, bo mieliśmy iść dalej do wsi po drugiej stronie szosy prowadzącej do Warszawy. Było chyba koło południa, gdy nagle ze wszystkich stron w naszym kierunku zaczęły walić pociski artyleryjskie. Huk był przeogromny. Ruszyliśmy z powrotem biegiem przez odkryte pola i do najbliższej drogi do domu. Szczęśliwie tam dotarliśmy bez szwanku, choć nieładnie zmęczeni. W domu wszyscy na nas czekali z niepokojem, bo te wojenne odgłosy i tu docierały. Między sobą Rodzice i wujostwo mówili, że musiała ruszyć ofensywa wojsk radzieckich, które zatrzymały się nad Pilicą.

Już nad ranem pojawiło się przejeżdżające przez wieś wojsko na koniach dużych, małych i różnej maści. Ciągnęły ogromne tłumy szybko pędzących żołnierzy wyglądających jak horda najeźdźców, wszyscy w filcowych walonkach, w czapkach i z karabinami na ramionach. Nie zatrzymywali się, tylko gnali przed siebie. W okolicy nigdzie nie było umocnień, nie stała też armia niemiecka. We wsiach wokoło panował spokój, a w małych miasteczkach nic się nie działo. Jednak pewnego wczesnego wieczoru przed dom zajechał samochód z kilkoma wojskowymi z gwiazdkami. Poprosili o oddanie im dwóch pomieszczeń. Wszyscy

więc szybko przenieśliśmy się na drugą stronę domu, którą zajmowała babka Małgorzata.

Wojskowi gościli u nas krótko: trzy, może cztery dni. Rozłożyli sprzęt i inny ekwipunek. Zawsze wieczorem na kolację otwierali duże puszki o złotawym kolorze, z których wyjmowali na talerze ich zawartość. Wszystkich częstowali, a najbardziej nas, dzieci. Mięso było bardzo smaczne. Mówili, że to konserwy amerykańskie, bardzo dobre. Była to mielonka, plastry boczku, wszystko bardzo smakowite. Już po kilku dniach zwinęli majdan i wyjechali. Zostaliśmy sami, mogliśmy więc wrócić do swoich pokoi.

### **Powrót do domu**

Mrozy tej zimy dokuczały nam tak jak w poprzednich latach, a może i bardziej, siedzieliśmy więc w domu, bo nie mieliśmy ani ciepłych ubrań, ani butów. Dni były krótkie, a i wokoło nic ciekawego, tylko zaśnieżone pola.

Wczesnym rankiem 18 stycznia 1945 roku przyszła jednak wieść o wyzwoleniu Warszawy i już następnego dnia Tata wyruszył do stolicy. Nie wiem, czy się z kimś zabrał i jechał jakąś udającą się do stolicy furmanką, czy wyruszył pieszo. Najważniejsze było to, że przed wyjściem wyciągnął i pokazał nam klucz od warsztatu, długi na 10–15 cm. Odkąd zamknął warsztat w lipcu 1944 roku, nie rozstawał się z nim ani na chwilę. Cały czas go przy sobie nosił, jak talizman. Jakby wierzył, że któregoś dnia tam wróci. Nawet Mama nic nie wiedziała o tym kluczu, był Taty sekretem.

I rzeczywiście tak się właśnie stało. Tata dotarł do Warszawy i natychmiast przeprawił się na Pragę, gdzie zastał nienaruszony warsztat. Włożył klucz w zamek, otworzył drzwi i rozpoczął pracę tak, jakby wyszedł poprzedniego dnia z warsztatu. I o dziwo, już następnego dnia znów miał pełno klientów. Jakby na niego czekali. I pewnie tak było, bo Tata był tu cenionym rzemieślnikiem, jednym z niewielu kołodziei na Pradze. Miasto po tej stronie Wisły funkcjonowało już w miarę normalnie i wracało do dawnego rytmu i życia. Mama po dwóch tygodniach też pojechała z bratem za Tatą do Warszawy. Zabrała się okazją, wiele furmanek wyruszało wówczas w tym kierunku. Natomiast mnie zostawiono, z czego nie byłam wcale zadowolona, bardzo tęskniłam i chciałam być z nimi. Wiedziałam też, gdzie się zatrzymali, bo tę informację Mama podała rodzinie pierwszą okazją, jaka się nadarzyła. W połowie lutego okazało się, że z naszej wsi jedzie furmanka do Warszawy. Postanowiłam, że jadę, a wujostwo zgodzili się, bym pojechała. Nie zniosłabym sprzeciwu, więc zapakowali mi, co się dało, i ruszyłam w drogę.

Furmanka była po brzegi załadowana różnym towarem, ale dla mnie zrobiono wysoko dobre miejsce, więc jadąc, rozglądałam się na wszystkie strony. Podróż zajęła prawie cały dzień. Gdy dotarliśmy na miejsce, zrobiło się już ciemno. Wysadzono mnie koło placu Unii, bo wiedziałam, że Mama zatrzymała się u

wujka, w jego ocalałym mieszkaniu u zbiegu Mokotowskiej z Wilczą.

Od placu Unii szłam więc zburzoną Marszałkowską, wąską ścieżką, wygrabioną wśród zgliszcz. Dotarłam do placu Zbawiciela i weszłam w Mokotowską. Wokół prawie wszystkie domy stały w ruinie, szłam więc wśród gruzowisk oświetlonych przez księżyc. Tę ścieżkę zdążyli już wydeptać wracający do miasta warszawiacy. Akurat była pełnia; jasno jak w dzień, wszystko oblane tą szczególną, księżycową poświatą, niebo pełne gwiazd. Innych świateł w tym zrujnowanym mieście nie było. Wśród zgliszczy prócz mnie nikogo, ani żywego ducha, miasto wokół wydawało się wyludnione.

Pamiętałam, gdzie mieszkał wujek Mamy, wówczas już mocno starszy pan. Dotarłam na miejsce, na pierwsze piętro, idąc po ciemnych schodach, i zapukałam do drzwi. W mieszkaniu panował zaskakujący tłok. W każdym pokoju – chyba z dziesięć osób krzątających się przy świeczkach. Mama bardzo się zdziwiła, kiedy mnie ujrzała, nie spodziewała się, że mogę się wybrać w podróż sama, a chyba też chciała, żebym pobyła na wsi jeszcze przez jakiś czas, bo miałam tam lepsze warunki. Była jednak bardzo szczęśliwa, że mnie widzi i że znów jesteśmy razem.

1 Wśród nich był m.in. pastor dr Juliusz Bursche, biskup Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce, który zmarł w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen lub w więzieniu gestapo w Berlinie w 1942 roku. Przez ponad rok w obozach koncentracyjnych Sachsenhausen i Oranienburg przebywał także ksiądz Zygmunt Michelis, proboszcz parafii św. Trójcy.



Hanka Gurr w czasie okupacji (1943); Olek, brat Hanki, jako uczeń gimnazjum w wieku 14 lat. Dalej: Natalia Gurr i Ernest Gurr



środku z tamtejszą młodzieżą

Rozprza, wrzesień 1944 roku. Jestem w



córką gospodarzy, u których dostaliśmy schronienie

Rozprza, wrzesień 1944 roku. Ja z



Rozprza, wrzesień 1944. Z Januszem Śmietańskim



Janinka Mięnkowscy

Roman i

### **Część 3. Dojrzewanie w PRL-u**

#### **Pierwsze miesiące 1945 roku**

Rodzice po powrocie do Warszawy niezwłocznie udali się na Ogrodową, do naszego mieszkania, aby sprawdzić, czy cokolwiek ocalało w piwnicy. W podwórku zastali jedynie trzy spalone szkielety budynków. Mimo niebezpieczeństwa dostali się do piwnic. W naszej, oprócz rozrzuconego na boki węgla, nic już nie znaleźli. Wszystko zostało wyszabrowane. Tak więc Rodzice, już po raz trzeci w ciągu 10 lat, zostali całkowicie pozbawieni dobytku.

Mama liczyła się z tym, że lokum u wujka jest tymczasowe, bo do mieszkania przy Mokotowskiej przyjechała także bliższa rodzina wujka. Nad warsztatem Taty przy Targowej w tym czasie stało puste mieszkanie. Mieszkał tam wcześniej kowal, który miał obok Taty swój warsztat. Jego pracownia wciąż była zamknięta, bo jeszcze przed wejściem armii radzieckiej kowal wyjechał z żoną na wieś i do tej pory nie wrócił. Tata po porozumieniu z właścicielem domu postanowił, że na jakiś czas się tam wprowadzimy.

Rodzice postanowili też ściągnąć do siebie Babcię. Był marzec.

Pojechaliśmy na Grzybowską. Wszędzie, cała okolica: Grzybowska, Żelazna, Łucka, Wronia, Złota leżały w gruzach. Wprawdzie już od pierwszych dni widać było ludzi odgruzowujących ulice, ale zniszczenia były ogromne. Podwórko na Grzybowskiej zmieniło się w jedno wielkie rumowisko. Nic nie ocalało. Przebijaliśmy się przez zwały cegieł do ogródka, gdzie Babcia przy pomocy sąsiadów pochowała wujka Heńka jeszcze w czasie powstania. Był lekko przysypany ziemią. Póki był śnieg i mróz, widać było tylko wetknięty w mogiłę mały krzyż, ale gdy ziemia zaczęła odmarzać, wszystko się zapadło i z przerażeniem zobaczyliśmy wystające z ziemi buty. Buty wujka Heńka. Ten straszny obraz pamiętam do dziś. Grób przypominał te małe groby na placu przy kościele Karola Boromeusza przy Chłodnej, które widziałam, kiedy usiłowaliśmy się z Tatą czwartego sierpnia przebić na Grzybowską z Ogrodowej. Wtedy na każdym grobie stał niewielki krzyż, a wokół płonęły domy i wszędzie unosił się dym.

Wkrótce odbył się skromny pogrzeb, wujek Heniek spoczął na cmentarzu ewangelickim przy ulicy Młynarskiej.

W tych pierwszych miesiącach 1945 roku po oswojeniu Warszawy duże grupy ludzi przybywały do stolicy, byli to warszawiacy, ale też i inni, może mieszkający wokół Warszawy albo szukający tu swojego miejsca. Warszawiacy zastawali tylko ruiny, zwłaszcza ci, którzy mieszkali na Woli i Starym Mieście – ci nie mieli praktycznie szans, aby zastać na miejscu swoje domy czy jakikolwiek dobytek.

Ruinami szło się przez Śródmieście, Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, plac Trzech Krzyży. W oddali widać było ocalałe budynki w Alejach Ujazdowskich oraz domy przy alei Szucha, przy Bagatela czy dalej przy ulicy Puławskiej. W tej okolicy w stosunku do reszty Warszawy sporo domów przetrwało, bo tu w czasie okupacji znajdowała się dzielnica niemiecka, zwana dzielnicą policyjną. Jest taka teoria, że Niemcy tę dzielnicę niszczyli z nieco mniejszym zaangażowaniem, bo uważali te domy za swoje. Mimo tych nielicznych ocalałych budynków widok był porażający. Warszawa zmieniła się w morze ruin. Wyżłobionymi w gruzowisku ścieżkami ludzie wędrowali we wszystkich kierunkach i wszędzie wywieszali kartki z wiadomościami dla poszukiwanych bliskich.

Mimo że bardzo dużo ludzi przyjeżdżało do Warszawy, to byłych mieszkańców nie było wśród nich tak wielu. Rodzice wciąż nie mogli odnaleźć bliskiej rodziny, po niektórych słuch wszelki zginął, po jakimś czasie dowiadywano się, że zginęli. Na przykład wujek Józek, brat Taty, zginął podczas rzezi na Woli. Nie spotkaliśmy także sąsiadów, a ja żadnej koleżanki czy kolegi. Nikogo.

Z Mamą bardzo często wyruszałyśmy do naszej Warszawy po lewej stronie Wisły. Brat zostawał w domu z Babcią, a ja wędrowałam z Mamą ulicami. Dowiedziałyśmy się, że uruchomiono już szkoły, w tym moją. Doszłyśmy do ulicy Rozbrat róg Górnośląskiej, gdzie stał majestatyczny niezniszczony budynek mojej szkoły. Z daleka już widać było jego brudnoszarawe mury, wznoszące się od ulicy Józefa Hoene-Wrońskiego do ulicy Rozbrat.

Nie chodziłam oczywiście do niego w czasie okupacji. Niemcy go zajęli i była tam szkoła niemiecka, a później siedziba Wehrmachtu. Budynek ten oglądałam tylko z daleka. Szkoła wróciła jednak na swoje miejsce, otworzyła podwoje dla uczniów już na początku marca i rozpoczęły się lekcje. W budynku znów mieściło się Państwowe Gimnazjum Handlowe dla dziewcząt i Liceum Handlowe. Ten dom zbudowano po odzyskaniu przez Polskę niepodległości po pierwszej wojnie światowej w latach 20. Z historii szkoły przekazanej przez nauczycieli wiedziałam, że zaprojektowano ją specjalnie jako szkołę przeznaczoną dla dziewcząt. Sale szkolne były wysokie i przestronne. Szkoła miała też duże boisko, które sąsiadowało z budynkiem liceum im. Stefana Batorego. Obie szkoły znajdują się blisko pięknych parków – Łazienek i Ujazdowskiego.

Mama zapisała mnie do trzeciej klasy gimnazjum. Miałam dalej się uczyć w tej szkole, w której rozpoczęłam naukę, bo przecież szkoła przy Bagateli stanowiła oddział gimnazjum przy Górnośląskiej.

Do szkoły zaczęłam już chodzić z ulicy Targowej na Pradze, a więc dotarcie do Górnośląskiej zajmowało mi mnóstwo czasu. Transport, jaki wtedy był do dyspozycji, zapamiętam na zawsze. Krążyły niezliczone dorożki, różnego rodzaju



furmanki większe i mniejsze, a także wysokie wozy. Wszystko, co miało koła, zostało od razu przystosowane do przewozu ludzi. W wozach i na furmankach poustawiano ławki – stały, zależnie od wielkości furmanki, wzdłuż lub w poprzek. Samochodów nie było. Tylko od czasu do czasu przemykały ulicami wielkie, ciężkie auta prowadzone przez żołnierzy rosyjskich lub naszych polskich. Cały przewóz ludzi opierał się na transporcie konnym. W związku z tym Tata miał pełne ręce roboty. Pracował w warsztacie od świtu do późnego wieczora. Znow zarabiał i znow mógł zaopatrywać nas w to, co najpotrzebniejsze.

Pierwszą osobą, która miała zamówione buty u szewca, byłam oczywiście ja, żebym mogła pójść do szkoły. Do Warszawy wróciłam w butach, które praktycznie miały tylko wierzchy, bo spód był kombinowany i łatany na różne sposoby. Nowe obuwie było wspaniałe, piękne, w kolorze wiśniowobrazowym, niestety szewc zrobił je trochę za niskie w podbiciu.

W mieszkaniu na Targowej nie zagraliśmy długo miejsca. Tak jak Tata przewidywał, niebawem zjawili się gospodarze: kowal z żoną. Zgodzili się, żebyśmy przez jakiś czas mieszkali razem, póki czegoś nie znajdziemy. Rozumieli Rodziców, widzieli, że są dzieci, a oni ich nie mieli. Tata starał się jak mógł, aby zdobyć jakieś mieszkanie. Mimo że Mama bardzo chciała mieszkać w Warszawie lewobrzeżnej, wiadomo było, że nie ma na to szans, bo ta część miasta uległa niemal całkowitemu zniszczeniu. Z Grzybowskiej, gdzie mieszkała Babcia, zrobiło się jedno wielkie gruzowisko, a na Ogrodowej, gdzie my mieszkaliśmy przed powstaniem, także się wszystko spaliło. Tata był realistą i przypuszczam, że znalazł kogoś, kto już wtedy zajmował się na Pradze pośrednictwem w załatwianiu mieszkań. Przed wojną bardzo rozbudowywał się Grochów. Wzdłuż ulicy Grochowskiej stawiano przeważnie trzypiętrowe kamienice dość dobrze wyposażone, rozwijało się także budownictwo małych kolonii domków. Tam zaproponowano Tacie mieszkanie – dwupokojowe z kuchnią i łazienką na drugim piętrze, z tym, że jeden pokój i kuchnia były do zamieszkania od zaraz, natomiast mały pokój, z oknami wychodzącymi na Zamieniecką, nie nadawał się do zamieszkania, ponieważ wpadł tam szrapnel, burząc balkon i całą ścianę od ulicy. Ale mieszkanie dawało się zasiedlić od ręki, ponieważ jego właściciele emigrowali do Ameryki. Jak sobie przypominam, Rodzice mówili, że byli Żydami. Tata musiał im za mieszkanie zapłacić, nie wiem jednak, jak to się odbyło. Po wprowadzeniu się Rodzice wynajęli robotników, którzy w dość szybkim tempie dobudowali ścianę, postawili nowy balkon i wykonali inne potrzebne prace w środku pokoju, a na koniec go pomalowali. Już wtedy wiadomo było, że prędko się stamtąd nie wyprowadzimy.

Zarówno z Targowej, gdzie na początku mieszkaliśmy, jak i później z Grochowa droga do szkoły była daleka, a przecież trzeba było ją pokonać dwukrotnie w ciągu dnia. Przy czym z Targowej miałam jednak na Górnosłąską

dużo bliżej. Najtrudniej było się przeprowić przez Wisłę, ponieważ Niemcy wysadzili wszystkie mosty w powietrze. Mimo że sporo ludzi ściągało wówczas do stolicy w poszukiwaniu pracy, to o odbudowie mostów jeszcze się nie mówiło. Nie było więc nadziei, że szybko powstaną. Jednak w krótkim czasie zbudowano inne przeprawy przez Wisłę, którymi dostawałam się do szkoły. Jak pamiętam, dość szybko przerzucono most pontonowy na przedłużeniu ulicy Ratuszowej, był też most drewniany w okolicy zburzonego mostu Gdańskiego i najlepszy ze wszystkich drewniany most wysokowodny, którym dojeżdżało się do lewobrzeżnej Warszawy do ulicy Karowej, a od strony praskiej wsiadało koło ulicy Okrzei.

Po obu stronach mostów stały gotowe do przeprawy furmanki. Zapamiętałam, że te przy moście pontonowym były mniejsze. Usadzić się w nich też było łatwiej, bo nie zabierały zbyt dużo osób. Przeprawa przez most trwała jednak dłużej bo, o ile pamiętam, puszczano nim wozy na przemian to w jedną, to w drugą stronę. Jazda jednakowoż była przyjemna, bo zawsze się przyglądałam, jak Wisła toczy powolutku swe wody, a i wozy posuwały się wolno, bo most trochę się chybotał.

Przy moście wysokowodnym wyglądało to już inaczej, furmanki były duże i stosunkowo wysokie, mniej wygodne, jeździły za to w obu kierunkach. To był w moim odczuciu duży most, taki z prawdziwego zdarzenia.

Najczęściej przeprowiałam się na drugą stronę Wisły mostem od ulicy Karowej. Stąd szłam prosto do ulicy Rozbrat, którą dochodziłam do Górnośląskiej i mojej szkoły. Musiałam wychodzić odpowiednio wcześnie, nawet przed godziną siódmą rano. Dobrze, że była wiosna i szybko robiło się ciepło, a dni stawały się dłuższe. Dziwne, ale nie przypominam sobie, bym miała z tej codziennej wędrówki jakieś przykre wspomnienia, wręcz odwrotnie, mam jak najlepsze. Najgorszym doświadczeniem było przechodzenie ulicami za mostem Poniatowskiego i dojście do ulicy Rozbrat. Cały ten teren porastały krzaki, prowadziły wśród nich wąskie ścieżki. Tam też można było spotkać różnych zabijaków, którzy zaczepiali, gonili, a niekiedy zdawali się być całkowicie wypaczeni. Kiedy powiedziałam o tym Mamie, wybrała się ze mną do szkoły kilka razy i ustaliła, jakimi ulicami muszę chodzić, aby uchronić się przed napastowaniem.

Ze wspomnień wędrówki do szkoły pozostały mi na zawsze bolące nogi. Droga była daleka, a jak wspomniałam, buty miałam nie najlepsze, mimo że nowe i piękne. Wciąż mnie uciskały. Do tego musiałam chyba po okresie powstania i późniejszym mieć awitaminozę, bo dostałam jakichś ran na nogach. Na początku maja zrobiło się już trochę lepiej, Mama kupiła mi treпки na drewnianych spodach, tzw. drewniaki. Wszędzie się je spotykało. Po takiej zmudnej wędrówce fajnie było dotrzeć do szkoły.

Przy ulicy Przemysłowej pod numerem 34, tuż przy Górnośląskiej, mieszkali kuzyni Mamy – ciocia Natała i wujek Ernest Gurrowie. Ich dawny dom, właśnie

przy Przemysłowej szczęśliwie ocalał, oni też już wrócili do Warszawy i do własnego mieszkania, które zajmowali do wybuchu wojny. Bardzo często odwiedzałam ich po szkole, zawsze czekał tam na mnie obiad. Może trochę zastępowałam im córkę Hanię, która była w Powstaniu, potem ze Śródmieścia razem z innymi powstańcami wywieziono ją z Warszawy. Trafiła do oflagu w Niemczech, ale już nie wróciła do kraju, wyjechała do Kanady. Tu przy okazji ciekawostka: do naszych księgarń trafiła niedawno napisana przez Hanię (już Jazłowiecką) i jej koleżankę Leokadię Rowińską książka pod tytułem Znad dwóch oceanów, w której Hania opisuje okres sprzed powstania, samo powstanie i swój w nim udział oraz to, co się z nią potem działo. Do obiadu zasiadałam z wujostwem i dużo starszym ode mnie kuzynem Olkiem, bratem Hani.

Zajęcia w szkole rozpoczynały się punktualnie o godzinie ósmej rano. W pokoju nauczycielskim już siedziały panie nauczycielki i o ile dobrze pamiętam, jeden tylko pan nauczyciel. Dyrektorką szkoły była pani profesor Warchałowa, bardzo ruchliwa osoba, wciąż wszystkiego doglądająca. Myślę, że uczyła tam już przed wojną, wróciło też duże grono przedwojennych profesorów – do pań nauczycielek i pana nauczyciela mówiło się „pani profesor” i „panie profesorze”. Myślę dziś, po wielu latach, że w ten sposób wyrażało się szacunek. Taki był obyczaj. Pamiętam z okresu przedwojennego i późniejszego powojennego już czasu, że nauczyciele byli w tamtych latach bardzo poważani i szanowani. Ja o swoich profesorach myślę zresztą z szacunkiem do dziś.

To już były inne lekcje niż te za okupacji. Szkoła miała w latach 1945–46 taki sam program nauczania jak przed wojną. W programie zajęć gimnazjum handlowego mieliśmy więc lekcje polskiego, historii, geografii, fizyki, chemii, matematyki, a z przedmiotów związanych z charakterem szkoły: towaroznawstwo, organizację i technikę handlu, rachunkowość, stenografię. Miałyśmy też w programie dwa języki obce – do wyboru: angielski lub niemiecki i dodatkowo obowiązkowy rosyjski, a także lekcje religii. Do zupełnie wyjątkowych doświadczeń zaliczam lekcje z pisania na maszynie. W małej salce na parterze stało rzędem około dziesięciu maszyn do pisania firmy Remington. Wszystkie bardzo stare, mocno wysłużone, ale ciągle działające. W tej sali rządziła pani profesor Dalkiewicz, mówiłyśmy o niej między sobą „Babcia Dalkiewicz”. Była już wtedy zasłużoną w latach nauczycielką. Maszyn nie starczało dla wszystkich, te więc z nas, które nie załapały się akurat na pisanie, stawały przed „Babcią Dalkiewicz” i były przepytywane (!) z teorii maszynopisania. Początki wspominam jako naprawdę trudne, bo się do tego za bardzo nie przykładałyśmy. Najłatwiej szło mi samo pisanie, ale wkrótce się okazało, że bez tej teoretycznej wiedzy klasówki nie wychodziły mi najlepiej. Musiałyśmy wiedzieć, ile odstępów się robi po przecinku, ile po kropce, ile po myślniku itp., nie mówiąc już o innych zasadach, które obowiązywały przy poprawnym maszynopisaniu. To mi się przydaje do dziś, mimo

że tyle się przecież zmieniło.

Szkoła przy Górnośląskiej dysponowała piękną salą gimnastyczną na ostatnim piętrze. Wyposażona była w drabinki i inne sprzęty do ćwiczeń gimnastycznych, ale miała też zbudowane podium sceniczne, takie jak w teatrze. Kiedy wspominam tę szkołę przy Górnośląskiej, to ze smutkiem stwierdzam, że nie pamiętam niestety zbyt wielu nazwisk osób z grona nauczycielskiego. Wiem jednak, że wszyscy pedagodzy w tej szkole byli wspaniale przygotowani do prowadzenia lekcji, mieli ogromną wiedzę o przedmiotach, których nauczali.

Z wielkim pietyzmem prowadziła swoje lekcje pani ucząca języka polskiego, która przyjechała do naszej szkoły z Łodzi. Była bardzo niziutka, miała garb na plecach. Chodziła wzdłuż ławek w klasie i dyktowała nam niezwykle trudne i zawile teksty, a następnie omawiała je od strony stylistycznej i zwracała uwagę na ortografię. Przy odpowiedzi wymagała poprawnego i ładnego wysławiania się. Robiła nam szalenie trudne klasówki. Już nauczenie się na czwórkę wymagało sporo wysiłku, o piątce to nawet nie marzyliśmy. Wiedza wówczas nabyta pozostała mi na całe życie, właśnie z tego szkolnego okresu najwięcej mi zostało w głowie. Z perspektywy czasu oceniam, że lekcje te miały największy wpływ na moje dalsze zainteresowania, potrzebę czytania. Dotyczy to nie tylko literatury obowiązkowej – choć z klasycznego kanonu lektur, korzystając z dobrze funkcjonujących bibliotek, przeczytałam w latach szkolnych wszystko, co możliwe – ale też powieści. Czytałam wszystko, co mi wpadało w ręce. A już najchętniej to, co według Rodziców było trochę zakazane; wszak w tym wieku człowieka ciekawi wszystko. Tata nieraz zaglądał mi, zaczytanej, przez ramię, po czym robił grymas niezadowolenia, gdy czytałam te swoje powieści.

Potem, już w okresie pracy, na tę niegasnącą potrzebę czytania nałożyło się zainteresowanie polityką. Publicystyka różnie w tamtym okresie wyglądała – wiadomo, że był to czas, gdy co innego pisano w wiadomościach codziennych, a co innego wydawano w tzw. czerwonych biuletynach publikowanych dla wąskiego grona zaufanych obywateli. W reglamentowanych wydawnictwach można było znaleźć trzymające się realiów oceny tego, co się dzieje, jednak uzyskanie dostępu do nich wymagało wielu starań. Do dziś pozostała mi organiczna wręcz potrzeba sięgania po gazety oraz tygodniki.

Na zajęciach z towaroznawstwa uczyliśmy się o wszystkich towarach, z jakimi jako przyszli handlowcy mogliśmy się zetknąć. Chodziło o to, byśmy miały o nich pełną wiedzę. Poznawałyśmy więc wszystko – od artykułów spożywczych po produkty drogeryjne. Ucząc się o artykułach spożywczych, dowiedziałam się nie tylko o rozmaitych gatunkach masła, serów i wędlin, ale również o ich jakości, przechowywaniu oraz, co najciekawsze – nauczyłam się, jak rozpoznawać ich fałszowanie. Pozostała mi na długo wiedza o różnorodności śledzi, wiem, że najlepsze to uliki, a te mogą być z dziennej lub nocnej dostawy, matjasy, które

dzielią się na full i spend (o ile pamiętam), a przy tym mogą być wędzone, solone lub świeże. Dziś na pewno odróżniam tylko uliki, których i tak zresztą nie można u nas kupić, bo wszystkie śledzie dostępne w tej chwili w sklepach są jednakowe: à la matjas.

W czasie lekcji o tekstyliach zapoznawaliśmy się z materiałami, którymi wtedy handlowano, a więc z szyfonami, atłasami, koronkami, batystami, muślinami, adamaszkami i innymi tkaninami pościelowymi i mnogością wełen dla pań i panów. Prowadziłyśmy przy tym albumy z próbkami tkanin: maleńkie ich kawałki przyklepiało się, a pod nimi opisywało, jaki to rodzaj materiału. W takim albumie miałam, jak myślę, ze sto dwadzieścia różnych próbek materiałów, ale nie tylko, bo umieszczało się tam także próbki nici – muliny, atłaski czy jedwabie naturalne do szycia. Znane były nici niemieckiej firmy Gutermanna, ale także polskie z Milanówka. Po tym albumie pozostało mi niestety tylko wspomnienie, zaginął gdzieś i nawet nie wiem, w jakich okolicznościach.

Muszę jeszcze wspomnieć o lekcjach stenografii. Prowadziła je pani profesor Urbanowicz. Był to na tamte czasy jeden z ważniejszych przedmiotów, bo stenografowie byli bardzo poszukiwanymi pracownikami. Te lekcje okazały się niezwykle ciekawe, a nauka od skrótów sylab przechodziła do słów. Po czterech latach nauki miałam dobrze opanowaną umiejętność stenografowania, swobodnie stenografowałam, a następnie odczytywałam tekst. Stenografia przydała mi się na studiach na wykładach, na których bez tej umiejętności nie nadążyłabym z notowaniem. W domu te notatki uzupełniałam.

Pani Urbanowicz prowadziła też lekcje przysposobienia wojskowego – bo chyba tak się wtedy ten przedmiot nazywał. To była jej pasja, sama była porucznikiem. Uczyła nas udzielania pierwszej pomocy, a także innych potrzebnych w czasie wojny rzeczy. Te lekcje miały nas nauczyć, jak sobie radzić, gdyby znów wybuchła wojna. Pani Urbanowicz urządziła nam nawet wyjazd szkoleniowy poza Warszawę na ćwiczenia wojskowe. Sama pojawiła się wtedy w mundurze i butach wojskowych. Pamiętam, że pojechaliśmy z plecakami pod Warszawę, zatrzymaaliśmy się w jakimś opuszczonym pałacyku. Pewnej nocy urządziła nam pobudkę, musieliśmy szybko wstać i stawić się na zbiórce w pełnym rynsztunku. Wyszliśmy nocą z dworku i udaliśmy się do pobliskiego zagajnika. Okazało się, że nasze zadanie to przedostanie się na drugą jego stronę. Wciąż mam upamiętniające ten wyjazd zdjęcie, na którym siedzimy z koleżankami w rowie, odpoczywając. Nosiło się wtedy berety, a na plecach dźwigało plecaki. Dziś coś takiego wydaje się zupełnie nieprawdopodobne.

Pierwszy rok szkolny na Górnśląskiej minął mi bardzo szybko, bo zaczął się dopiero w marcu, a wkrótce zrobił się czerwiec i koniec roku szkolnego. Przeszłam z dobrymi ocenami do IV klasy gimnazjalnej. Jeszcze w trzeciej klasie na samym początku kwietnia dołączyli do nas czterej koledzy z męskiego

gimnazjum handlowego, które jeszcze nie rozpoczęło działalności w wolnej Warszawie, toteż skierowano jego uczniów do nas na Górnośląską. Od następnego roku szkolnego ich szkołę już uruchomiono i chłopcy wrócili do swego gimnazjum. Niektórych z nich spotkałam później na studiach w Szkole Głównej Planowania i Statystyki. Na początku czwartej klasy pani dyrektor zjawiła się u nas z nową uczennicą. Wróciła do Polski z Kazachstanu, dokąd jej rodzice zostali wywiezieni ze wschodnich rejonów Polski w 1939 roku. Miała piękne czarne warkocze. Opowiadała nam, jak tam żyli, w lepiankach oraz budowanych w ziemi jamach, tzw. ziemiankach. Jak bardzo cierpieli z ran po odmrożeniach i jak sobie radzili w lecie przy ogromnych upałach. Ta koleżanka została potem z nami w klasie aż do matury.

Jeszcze w IV klasie gimnazjalnej, na początku roku szkolnego pojawiła się nowa nauczycielka, uczyła nas tańca. Zapewne musiała przed wojną prowadzić własną szkołę tańca lub wykładać w szkole baletowej. To były wspaniałe zajęcia. Uczyłyśmy się wszystkich tańców: od poloneza, przez polkę, kujawiaka i oberka, aż po tańce nowoczesne. Z kilkunastu dziewcząt stworzyła zespół taneczny zdolny do występowania na różnych uroczystościach, zwłaszcza szkolnych. Zdarzyło się, że nasz zespół został zaproszony do teatru Roma na występy. Pamiętam salę po brzegi wypełnioną publicznością. Pani nauczycielka zorganizowała nam piękne stroje, przygotowała na ten wieczór swój ukochany taniec: mazur Moniuszki z opery Straszny Dwór. Wśród nas trafiła się jedna koleżanka bardzo utalentowana, która przepięknie tańczyła. Zabrzmiały pierwsze takty mazura i właśnie ta koleżanka rozpoczęła nasz występ. Nie popełniłyśmy najmniejszego błędu, mogę się więc pochwalić, że byłam przez chwilę baletnicą na prawdziwej scenie teatralnej.

W czasie wakacji 22 lipca 1946 roku oddano do użytku odbudowany most Józefa Poniatowskiego, przywrócono też komunikację tramwajową. Od tej chwili jeździłam do liceum już tramwajem, który mostem przejeżdżał z jednej strony Wisły na drugą. Prosto z Grochowa.

Do liceum handlowego mieszczącego się w tym samym budynku, a będącego przedłużeniem nauki w gimnazjum, dostałam się bez żadnych egzaminów. I gimnazjum, i liceum miały tych samych nauczycieli, dyrektorką obu szkół była pani Warchałowa. Lekcje prowadziły te same nauczycielki, lekcje z organizacji i techniki handlu prowadził pan profesor, który chyba nazywał się Wiaderny. Zawsze nieskazitelnie ubrany, spokojny, z momentem jego wejścia do sali natychmiast robiła się cisza. Nigdy nie zwracał się do nas po imieniu, zawsze „proszę pani”. Miał zwyczaj rozpoczynania lekcji od dyktowania tematu, a następnie skrupulatnego, metodycznego, bardzo uporządkowanego przekazywania omawianych zagadnień. Na koniec raz jeszcze podsumowywał najważniejsze punkty wykładu. Na klasówce trzeba było wykazać się w podobny sposób, pisząc

zadanie. Bardzo często też przepytował nas ustnie, chodziło zwykle o podciągnięcie się w ocenie, wszystkim nam zależało, by mieć jak najlepsze stopnie na świadectwie. Pan profesor Wiaderny to była pełna dystynkcja.

W liceum doszły nam jeszcze lekcje reklamy, na których uczyliśmy się przeróżnych technik pisania, w tym kaligrafii, grafiki oraz opracowywania reklam służących różnym potrzebom. Tu trzeba było mieć sporo zdolności artystycznych, co dla wielu z nas, a i dla mnie nie było wcale łatwe. Ale nauczycielka brała to pod uwagę.

Wśród zajęć szkolnych mieliśmy też lekcję wychowania. Prowadziła ją pani Kartasińska. Wiedzieliśmy, że ma poglądy lewicowe, w przeciwieństwie do innych nauczycieli. Na tych lekcjach rozmawialiśmy nie tylko o naszym zachowaniu i o tym, na czym właściwie polega dobre wychowanie, ale i o roli kobiet w świecie, o bronienu własnego zdania i tym podobnych kwestiach. Z perspektywy czasu oceniam, że te lekcje okazały się dla wielu z nas bardzo przydatne – przede wszystkim pomogły nam w ukształtowaniu własnych poglądów.

W tej szkole zrodziło się wiele przyjaźni na całe życie. Moją koleżanką z ławki była Basia Wyrzykowska. Nasza przyjaźń nie ograniczała się tylko do szkoły, często odwiedzałyśmy się po lekcjach. Mama Basi, pani Agata, prowadziła przed wojną drukarnię, jednak po wojnie nie mogła już tego robić. Jej tato był bardzo wesoły i dość rubaszny. Zawsze, gdy Basię odwiedzałam, kręcił się pod nogami jej młodszy brat. Miał niespotykane imię – Telesfor, ojciec Basi też nosił to imię, podobnie jak jej dziadek. Na szczęście chłopiec miał też drugie imię Maciej i tym imieniem go nazywano. Był wesoły jak jego tata i wciąż nas rozśmieszał.

Moje wspomnienia szkolne – zarówno przedwojenne, jak i powojenne – silnie się wiążą z przygodami z nauką religii. Jak wspominałam, od pierwszej do trzeciej klasy szkoły powszechnej chodziłam do szkoły dla ewangeliczek. Wybuch wojny to zmienił, szkoła legła w gruzach i odtąd lekcje prowadzone były przez księży w salach budynku przy ulicy Kredytowej. Zawsze na nie chodziłam, ale już w godzinach pozaszkolnych. Mało co z tego pamiętam. Ten pierwszy wojenny okres szkolny widzę jak przez mgłę. W pamięci zostały mi jedynie pewne epizody.

Za to bardzo dobrze zachowały się w mojej głowie szkolne wspomnienia od chwili, gdy zaczęłam chodzić do gimnazjum przy Bagateli oraz czas, gdy uczęszczałam do liceum przy Górnośląskiej. W gimnazjum nauka religii odbywała się tak samo jak nauka innych przedmiotów. Ewangeliczką w klasie byłam jednak jedyną. Kiedy ksiądz się o tym dowiedział, był mocno zaskoczony i przez pierwsze lekcje nic się nie działo. Ale na którejś kolejnej powiedział, że nie powinnam w czasie lekcji być w klasie, bo to nie jest lekcja przeznaczona dla mnie. Ta szkoła znajdowała się w budynku mieszkalnym. Z klatki schodowej wchodziło się do przedpokoju-korytarza, a stamtąd prowadziły drzwi do dwóch lub trzech pokoi, w których odbywały się lekcje. Gdy zaczynała się religia, po prostu wychodziłam z

klasy na korytarz i siadałam na stole, który tam stał. Oszklone drzwi mojej klasy wychodziły na tenże korytarz. Biedny ksiądz od czasu do czasu zerkał na mnie, a ja patrzyłam na niego, przez przezroczyste drzwi do sali. Chyba musiałam być dla niego wyrzutem sumienia. W październiku, kiedy przyszły chłody, a na korytarzu zrobiło się zimno, bo od klatki schodowej wiało chłodem, któregoś dnia ksiądz mnie poprosił i powiedział, żeby Mama napisała do niego list z prośbą, bym mogła uczestniczyć w lekcjach religii. Mama rzeczywiście ten list napisała i odtąd siadałam w ostatniej ławce i pilnie przerabiałam lekcje z religii katolickiej prowadzone przez księdza. Nawet dobrze odpowiadałam, co skłaniało księdza do łagodnego nakłaniania mnie do zmiany wyznania. Tak rozpoczęła się moja wszechstronna jak na mój wiek edukacja religijna – ewangelicko-katolicka.

Kontynuowałam ją w gimnazjum i liceum przy Górnośląskiej. Tu już uczęszczałam systematycznie na lekcje religii rzymskokatolickiej i równocześnie chodziłam na lekcje religii dla ewangeliczek. W mojej klasie byłam jedyną osobą wyznania ewangelickiego, a lekcje religii katolickiej prowadził ksiądz Mieczysław Jabłonka, wspaniały katecheta, mądry, delikatny, szanujący poglądy i uczucia innych. Byłam jego bardzo pilną uczennicą, no i dodatkowo mającą sporą wiedzę, której nabywałam na lekcjach religii w naszym kościele. A te lekcje nie były łatwe, bo łączyły się z poznawaniem Starego i Nowego Testamentu, Listów apostołów św. Piotra, św. Pawła i innych. Wiedza opierała się w znacznym stopniu na zapamiętywaniu, a klasówki były bardzo trudne. Religii uczył mnie sędziwy pastor Rüger, który nauczał też jeszcze, i dobrze pamiętał, wujka Heńka i Mamę. Wspominał ją jako wspaniałą uczennicę. Uczył mnie też pastor Krenz. Do szkoły przy Górnośląskiej przychodził natomiast pastor Feliks Gloeh. Był duchownym wojskowym, ale dodatkowo zajmował się uczeniem religii w szkołach średnich. Kiedy przychodził do nas w pięknym mundurze pułkownika, bardzo przystojny, wysoki, z bródką, wyprostowany, czekały na niego panie nauczycielki i zawsze trochę czasu spędzał w pokoju nauczycielskim na pogawędce przy herbatce. Myślę, że miał wiele do opowiadania, bo był żołnierzem jeszcze podczas pierwszej wojny światowej, a ponadto w 1920 roku zaangażował się w walkę o przyłączenie do Polski Mazur (wiele, wiele lat później dowiedziałam się, że za pomoc Żydom w czasie wojny został odznaczony medalem „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”).

### **Konfirmacja**

W szkole przy Górnośląskiej lekcje miałyśmy wspólne z kilkoma jeszcze uczennicami ewangeliczkami z innych klas. Dodatkowo w I klasie licealnej, począwszy od 1946 roku, uczęszczałam na lekcje religii przygotowujące do pierwszej komunii, która w Kościele ewangelickim odbywa się około piętnastego – szesnastego roku życia. Ja z uwagi na okres wojny i powstanie zaczęłam się



przygotowywać do tego ważnego wydarzenia trochę później. Zabierało mi to sporo czasu, bo lekcje odbywały się dwa razy w tygodniu przy ulicy Kredytowej w parafii ewangelickiej. A przygotowywał nas proboszcz, pastor Zygmunt Michelis. Ten sam, który dawał ślub moim Rodzicom, ten sam, który mnie chrzczył. Lekcje przez niego prowadzone były jeszcze trudniejsze niż te szkolne, a wymagania – naprawdę wysokie. Zgłębialiśmy Pięcioksiąg ze Starego Testamentu, a następnie przechodziliśmy przez nauki wielkich proroków i to było naprawdę skomplikowane. Dużo łatwiejsze wydawało się przyswajanie nauk z Nowego Testamentu, które znałam dzięki kazaniom w kościele. Jednak zdecydowanie najtrudniej było zrozumieć i zapamiętać nauki wynikające z Listów apostołów, a szczególnie Pawła Apostoła. Trzeba jednak przy tym zaznaczyć, że lekcje księdza Michelisa, choć niekiedy trudne, wydawały mi się zawsze ciekawe. Był znakomitym kaznodzieją.

Uczęszczanie na lekcje religii w szkole dla ewangeliczek i dla katoliczek, a do tego na lekcje przygotowujące do confirmacji sprawiło, że dużo się nauczyłam. Odtąd zainteresowanie religiami, a także ogólnie naukami filozoficznymi, stało się moją pasją, co mi do dziś pozostało.

Warszawska społeczność ewangelicka po wojnie znalazła się w bardzo trudnym położeniu. Nasz kościół na placu Małachowskiego został przez Niemców 16 września 1939 roku zbombardowany, przez co doszczętnie spłonął. Pozostały tylko grube, sterczące mury. Większość księży wraz z biskupem Burschem została już w pierwszych dniach października aresztowana przez gestapo. Na cały okres wojny nabożeństwa przeniesiono więc do kościoła ewangelicko-reformowanego przy ulicy Leszno. Przez te wojenne lata parafię prowadził proboszcz Michelis, prócz niego pracowało także nieliczne grono duchownych, pastor Hławiczka, Rüger, Krenz, Gloeh. Ich kazania podtrzymywały nas na duchu – co było ważne zwłaszcza w kontekście naszego pochodzenia. Polscy ewangelicy byli narażeni na szczególne szykany, bo nasze korzenie w większości wywodziły się z Niemiec – najeźdźca uważał więc, że zdradziliśmy ojczyznę.

Data mojej confirmacji została ustalona na 1 czerwca 1947 roku, rzecz się miała odbyć w murach zburzonego, wypalonego kościoła. Zdołano uprzętnąć gruzy, ustawiono też ołtarz i ławki dla wiernych. Pod gołym niebem, w obrębie stojących wciąż murów świątyni.

W domu przygotowania do tej uroczystości trwały od marca. Mimo że prawie wszystkie moje koleżanki szykowały sobie tradycyjnie długie białe sukienki, ja chciałam mieć krótką. Już wtedy ujawniło się moje zawsze praktyczne do wszystkiego podejście. Mama po radzie z krawcową kupiła bardzo cieniutką wełnianą żorzetę w kolorze egret, czyli prawie białym. Uszyto mi modną w tym czasie garsonkę, miałam do niej odpowiednią bluzeczkę, cieniuteńkie pończoszki i pantofelki. Bardzo podobał mi się ten dorosły strój. Zdobily mnie jeszcze włosy

uczesane w upięte warkocze.

Do kościoła pełnego ludzi weszliśmy długim szeregiem, najpierw my, dziewczęta, a za nami chłopcy. Prowadził pastor Michelis. Była nas duża grupa, około 50 konfirmantów. Dziewczęta usiadły na ławkach po lewej stronie ołtarza, a chłopcy po prawej. Szczęśliwie dzień był piękny, nad nami błękit nieba bez jednej chmurki, słońce, ciepło. A wokół mury kościoła i wielkie puste wyrwy po spalonych witrażach. To nabożeństwo pełne konfirmantów, w tych spalonych murach kościoła, miało swoją wymowę i nastrój. Dla mnie był to bardzo uroczysty dzień, wokół cała rodzina z Mamą, Tata, Babcią i innymi bliskimi. Kulminacyjnym momentem było wywoływanie każdego z osobna konfirmanta. Duchowny podawał każdemu rękę, a następnie błogosławił i wręczał świadectwo konfirmacyjne, cytując werset z Pisma Świętego przeznaczony specjalnie dla niego. Kiedy przyszła moja kolej, bardzo skupiona uklęknęłam, a pastor błogosławiąc mnie, wypowiedział wybrany dla mnie werset. Były to słowa z Psalmu 32: „Dam ci rozum i nauczę cię drogi, po której masz chodzić, dam ci radę, obróciwszy na cię oko moje”. Byłam bardzo wzruszona, słowa te towarzyszą mi do dziś jako symboliczne w moim życiu. Myślę o nich zarówno w dniach trudnych, jak i w tych radosnych.

Po nabożeństwie znów szeregiem wśród szpaleru wiernych i rodzin wychodziliśmy jedno za drugim z kościoła, aby przed frontem całą grupą dać się uwiecznić na zdjęciu. Po chwili odbierałam już życzenia od całej rodziny, która zasypała mnie z tej okazji kwiatami. Po uroczystościach rodzice, przed przyjęciem w domu pojechali jeszcze ze mną do fotografa, bo taki ważny moment musiał być przecież utrwalony na zdjęciu.

Lato 1947 roku przyniosło mi jeszcze jedną niespodziankę. Funkcjonujące przy parafii Koło Młodzieży Ewangelickiej zorganizowało wycieczkę na Mazury. Celem tej wycieczki miały być spotkania z mazurską młodzieżą, mieszkańcami z dawien dawna tej ziemi, którzy żyjąc tam, przechodzili różne koleje losu, w tym wielu z nich walczyło o polskość Warmii i Mazur. Zebrało się grono około czternastu, może szesnastu osób. Ja prawdopodobnie byłam jedną z najmłodszych uczestniczek tego niezwykłego rajdu. Jego trasa wiodła od Olsztyna przez wybrane parafie ewangelickie. Do Olsztyna pojechaliśmy pociągiem, dalej to już była piesza wędrówka. Po gościnnym przyjęciu w parafii w Olsztynie zostaliśmy zaopatrzeni w mały wózek, taki jakich używali Niemcy w gospodarstwach. Wózek miał dyszel, za który się go ciągnęło. Biorąc pod uwagę trudną sytuację zaopatrzeniową w tamtym czasie, przezorny pastor obdarował nas dużą ilością płatków owsianych, dostaliśmy także puszki z tłuszczem i mlekiem skondensowanym z darów UNRRY1, które wtedy do Polski napływały. Tylko doraźnie korzystaliśmy ze środków komunikacji, zdecydowaliśmy się na nie tylko wtedy, gdy trzeba było pokonać naprawdę dużą odległość. Uważaliśmy to zresztą za dość kłopotliwe i czasochłonne, bo jakiegokolwiek pojazdy na drogach Warmii i Mazur pokazywały się

z rzadka, a chcieliśmy korzystać tylko z tzw. okazji, nie mieliśmy za dużo pieniędzy. Wędrowaliśmy więc głównie pieszo, ciągnąc za sobą polnymi drogami nasz kochany wózek pełen płatków, często jedyne nasze pożywienie. Jedliśmy je na śniadanie, obiad i kolację raz z mlekiem, raz z cukrem, innym razem jeszcze inaczej – na wszystkie sposoby. Trzeba przy tym powiedzieć, że smakowały nam znakomicie. Humory też dopisywały, byliśmy wszyscy bardzo zadowoleni z tej wycieczki, tym bardziej, że z tego, co pamiętam, przez cały czas świeciło słońce. Nasza radość rosła, gdy docieraliśmy wreszcie do celu, do kościołów i parafii, ku którym zmierzaliśmy. Byliśmy tam zwykle oczekiwanymi gośćmi, a każda pastorkowa raczyła nas czym tylko mogła. Odpoczywaliśmy też przed dalszą drogą. Spaliśmy na ogół w stodołach wypełnionych sianem. Ale raz zdarzyło się, że stodoła wypełniona była czymś innym, nie bardzo wiem czym, ale musiało to być coś miękkiego, bo każdy z nas, kładąc się, zagłębiał się momentalnie w jakimś dole. Po tak przespanej nocy z trudem udało się nam wydostać z tego dziwnego legowiska. Nastroje mieliśmy mimo to radosne, i jak zwykle poszliśmy umyć się pod studnię, a zaraz potem ruszyliśmy w drogę. Tak przewędrowaliśmy, odwiedzając po Olsztynie Pasym, Nidzicę, Szczytno, Mikołajki, Sorkwity, Mrągowo, a może dotarliśmy jeszcze do innych parafii, które zatarły się już w mojej pamięci.

Rzecz, o której chcę opowiedzieć, dzieła się w parafii w Sorkwicach, na ostatnim lub prawie ostatnim przystanku naszej wędrówki. Podczas pożegnalnego spotkania pastorkowa postanowiła nas uraczyć plackami kartoflanymi. Usiedliśmy wszyscy wokół okrągłego stołu nakrytego bieluteńkim obrusem. Pastor zasiadł między nami. Pastorkowa z pomocnicą wniosły zaraz na stół ogromny półmisek placków kartoflanych, a do tego wielki dzban herbaty. Jak było nas kilkanaście osób, rzuciliśmy się na te placki. Smakowały wybornie, znikły z półmiska w błyskawicznym tempie, mimo że był ich wielki stos. Zaraz ich zabrakło. Kolejne placki w kuchni już się smażyły. Okazało się, że i ta dokładka znikła w oka mgnieniu, a za nią druga i trzecia. Tak więc ze śmiechem ustaliliśmy, że na koniec każdy z nas dostanie jeszcze po trzy placki i na tym naprawdę będzie koniec tej wspaniałej uczy. Po tej pysznej kolacji wszyscy mieliśmy doskonałe humory, ale i odczuwaliśmy żal, że ta cudowna wycieczka dobiega końca i trzeba wracać do domu.

W tamtym okresie, co obserwowaliśmy podczas naszej wędrówki, na tereny Warmii i Mazur przybywało mnóstwo repatriantów ze wschodu. Była to przeważnie ludność wiejska, którą lokowano w domach opuszczonych przez Niemców. Wraz z przesiedleńcami szły dary z UNRRY dla gospodarstw, w tym bydło i konie. Zauważyłam, mimo że byłam uczennicą, widoczną, a nawet znaczącą różnicę w kulturze, mentalności i sposobie bycia między osiadłymi tu Mazurami a nowymi przybyszami. To potwierdziła historia i przyszłość.

## **Panna maturzystka**

Czas, gdy chodziłam do szkoły przy ulicy Górnośląskiej, zarówno ten spędzony w gimnazjum, jak i ten w liceum wspominam jako jeden z najlepszych okresów mego życia. Szkoła była naprawdę wspaniała, nauczycielki znakomite i świetnie wykwalifikowane, a stosunki między nauczycielami i uczennicami bardzo przyjazne. Ta żeńska szkoła wspaniale przygotowywała nas do dalszego życia. Kształcenie odbywało się na wielu płaszczyznach, było wszechstronne, dobrze uczono zawodu, przekazując przy tym rozległą teoretyczną wiedzę. To była jedna z najlepszych szkół zawodowych dla dziewcząt, jakie istniały w owym czasie w Warszawie. Szkoła przygotowywała nas do podjęcia pracy po jej ukończeniu, ale jeśli ktoś miał inne plany, to otwierała mu drogę do dalszych studiów.

Zdarzyło się, że nasza klasa miała zorganizowane przez szkołę wspólnie z rodzicami miesięczne wakacje. Wynajęta została w Wiśle Głębcie willa na niewielkim wzgórzu. Jechały z nami dwie panie nauczycielki i do pomocy w sprawach gospodarczych moja Mama. Wtedy po raz pierwszy wyruszyliśmy na liczne wycieczki. Źródła Wisły, Czarnej i Białej Wisłki szukałyśmy na szczytach Babiej Góry, zwiedzałyśmy Cieszyn z jego zabytkami, Ustroń, ale też samą Wisłę i pobudowany tu pałacyk prezydencki – dar ziemi cieszyńskiej. Z tych wakacji pozostało mi zdjęcie z Mamą i bliską mi koleżanką Basią Wyrzykowską. Tu też zjawił się Tata. Nie pisał listów, bo nie lubił tego robić, natomiast zrobił nam niespodziankę i przyjechał. Pamiętam tę sobotę, jak patrzyłam na drogę wiodącą przy torach kolejowych i raptem jego maszerującą postać. Byłam bardzo zdziwiona, ale i szczęśliwa.

Pamiętam okres przygotowywania się do matury. Przedmioty, z których miałyśmy zdawać egzamin dojrzałości, były powtarzane, ale bez atmosfery strachu. Całe grono nauczycielskie, począwszy od tych profesorów, z których przedmiotów zdawało się maturę, a skończywszy na tych, którzy wykładali przedmioty niewystępujące na maturze, odnosili się do nas z nadzwyczajną serdecznością.

Przyszła wreszcie ten wyczekiwany dzień matury. Piękny słoneczny dzień majowy 1948 roku. Na wielkiej sali gimnastycznej ładnie przystrojonej poustawiane zostały ławki, w niewielkiej od siebie odległości. Były ich cztery rzędy, a między nimi spore odstępy. Na podium u szczytu sali stanął długi stół dla grona egzaminacyjnego, za nim powieszono dużą tablicę. My, uczennice z dwóch klas licealnych A i B, wszystkie w białych bluzkach i granatowych spódniczkach, weszłyśmy razem na salę. Pierwszego dnia pisałyśmy egzamin z języka polskiego, a drugiego z matematyki. Pragnęłam, aby temat egzaminacyjny z języka polskiego dotyczył znanej mi literatury. Nie pamiętam już o czym pisałam, a jedynie moment wręczenia mojej wychowawczyni 6 stron właśnie napisanego wypracowania. Przy egzaminie z polskiego okazało się, że nasza nauczycielka języka ojczystego była

uczestniczką ruchów wolnościowych 1905 roku. Ta wielce zasłużona pedagog, a przy tym częściowo niesprawna przekazała nam ogromną wiedzę. Zarówno pod względem wymagań ortograficznych i stylistycznych, jak i pod względem wiedzy o literaturze matura z języka polskiego nie okazała się dla nas trudna. Później ta świetna znajomość języka polskiego pomagała mi dobrze dawać sobie radę w pracy. Przydawała się w początkowym okresie zatrudnienia w banku i później, w pracy zawodowej. Styl i ortografia szczególnie niezbędne są w przygotowywaniu różnego rodzaju analiz i korespondencji.

Wracając do samego egzaminu – z niecierpliwością oczekiwałam na wyniki z egzaminów pisemnych. Gdy zostały ogłoszone, okazało się, że poszło mi na tyle dobrze, że z tych przedmiotów, czyli z polskiego i matematyki, zostałam zwolniona i nie musiałam już zdawać egzaminu ustnego. Po kilku dniach zdawałyśmy wszystkie egzaminy ustne z pozostałych przedmiotów. O ile pamiętam, zdawałam je z geografii i z języka obcego.

Nadszedł wreszcie moment uroczystego wręczenia nam świadectw maturalnych. W sali gimnastycznej zebrali się wszyscy zaproszeni: rodzice, no i my – uczennice. Świadectwo dojrzałości w tamtym czasie miało wysoką rangę. Nie bez powodu. Potem okazało się, że i tak najważniejsze było nie samo świadectwo, ale to, że wiedza, którą zdobyłyśmy, znakomicie przygotowała nas do życia zawodowego. Choć oczywiście nie każda z nas wybierała się do pracy. Wiele koleżanek szykowało się do zdawania na wyższą uczelnię, ja wśród nich. Niektóre zamierzały po prostu iść jak najszybciej do pracy, o którą, co warto wspomnieć, w tamtych czasach nie było tak trudno jak dziś.

### **Wróżba**

Po wręczeniu świadectw maturalnych cztery koleżanki i mnie jako piątą zaprosiła do swego gabinetu pani dyrektor Warchałowa. Byłam tym trochę zaskoczona. W gabinecie powiedziała nam, że jesteśmy jej ulubienicami, bo miałyśmy znakomite wyniki z geografii, której uczyła nas w pierwszej i drugiej klasie licealnej. Wyjawiła, że zamierza nam powróżyć – przepowiedzieć przyszłość z linii papilarnych lewej ręki. Każda z nas ze zdziwieniem, ale i z wielkim zainteresowaniem czekała, co też może pani dyrektor powiedzieć. Gdy przyszła moja kolej, pokazałam jej lewą rękę i usłyszałam, że mam dłonie o licznych liniach, co oznacza, że czeka mnie długie życie, ale też pełne niespodzianek i że będę miała dwoje dzieci. A potem oznajmiła, że czekają mnie w przyszłości liczne, długie podróże, że będę w ciągłym ruchu. Byłam tym trochę zaskoczona, a ten moment był tak niezwykły, że pamiętam go do dziś. Prosto z gabinetu poleciałam do Mamy i wszystko jej opowiedziałam. Mama się tylko uśmiechnęła.

W życiu nigdy nie lubiłam słuchać żadnych wrózek, unikałam wszelkich cyganek proponujących, że mi przepowiedzą przyszłość, nigdy nie stawiałam sobie

żadnych kart, ale ta przepowiednia pani dyrektor została jednak w mojej pamięci. Wtedy zastanawiałam się wielokrotnie „czy się sprawdzi, czy się sprawdzi”. Wybiegając w przyszłość, poza ramy czasowe tych wspomnień, muszę przyznać: sprawdziło się. Urodziłam dwoje dzieci i podróżowałam. Ale o podróżach później...

### **Pierwsza porażka**

Skończyłam szkołę średnią, ale pragnieniem zarówno moich rodziców, jak i moim własnym była dalsza nauka i studia w Szkole Głównej Handlowej. Po wojnie wznowiła ona działalność tak szybko, jak to było możliwe i od jesieni 1945 roku znów przyjmowała studentów. Jej budynki mieszczące się przy ulicy Rakowieckiej na szczęście ocalały. Szkoła Główna Handlowa przed wojną uznawana była za jedną z najlepszych wyższych uczelni w Warszawie, ponieważ bardzo wszechstronnie przygotowywała do pracy. Moi Rodzice, zwłaszcza Mama, która kierowała wtedy moim życiem, patrzyli na świat pragmatycznie: uczelnia ta dawała dobre wykształcenie – teoretyczne i praktyczne. Znając mnie, uważali, że przy moich zdolnościach najlepiej się nadaję do kontynuowania nauki w tej właśnie szkole. Na SGH studiowała już zresztą moja kuzynka Jadzia Bronicka. Szykowałam się do egzaminów. Złożyłam w sekretariacie uczelni świadectwo dojrzałości i wypełniłam inne dokumenty. Tata był rzemieślnikiem, prowadził warsztat kołodziejski, a więc nie miałam zaświadczenia o jego pracy. W tamtym czasie zaczęło się już mówić o ludziach pracujących na własne konto, że są tak zwaną inicjatywą prywatną. I nie było to niestety określenie pozytywne, doceniające ich ciężką pracę. Nie przewidywałam jednak, że może mieć jakiegokolwiek znaczenie dla mojej dalszej edukacji. Jednak już w 1948 roku zaczęło się wdrażanie różnych dyrektyw ustrojowych w urzędach, a tym samym i na wyższych uczelniach.

W lipcu przystąpiłam do egzaminu pisemnego, a następnie przesłam jeszcze dwa sprawdziany ustne. Uważałam, że wszystko poszło mi jak najlepiej, bo byłam przecież znakomicie przygotowana. W dniu wywieszenia listy przyjętych na pierwszy rok studiów panowała piękna, słoneczna pogoda. Niestety, to słońce świeciło nie dla mnie, bo ten dzień okazał się moją pierwszą ważną, życiową porażką. Nie było mnie na liście przyjętych na studia.

Właściwie nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Wszystkie koleżanki z mojej klasy, które zdawały egzaminy, dostały się na uczelnię, tylko ja jedna nie. Co powiem Rodzicom, którzy byli tacy pewni, że wszystko pójdzie dobrze? Rodzice mnie pocieszali jak mogli, miałam w nich zawsze niezawodne oparcie. Jednocześnie chyba wtedy dopiero zdobyłam prawdziwe „świadectwo dojrzałości”, bo zrozumiałam, ile niewiadomych może mieć wpływ na przyszły bieg zdarzeń. Szczególnie mocno dotarło do mnie, jak groźna zaczyna być sytuacja tej grupy

ludzi, rzemieślników, których zaczyna się nazywać „inicjatywą prywatną”.

### **Idę do pracy**

Porażka związana z egzaminem na studia była końcem mojego wspaniałego dzieciństwa. Rozpoczął się w moim życiu nowy rozdział. Zmieniłam się, zdałam sobie sprawę, że jestem dorosła, stałam się samodzielna. Ale – sierpień minął, a ja spędziłam go, siedząc w domu, bo nie wiedziałam, co mam dalej z sobą począć. Nadchodził wrzesień i zaczęła mi dokuczać świadomość, że jestem bezużyteczna. Nie podobało mi się, że nic nie robię, a z drugiej strony nie potrafiłam sama poszukać sobie pracy. Mimo wszystko byłam jeszcze trochę dziecinna. W połowie września Rodzice oznajmili mi, że znajomy Taty zaproponował mi, iż może się wstawić za przyjęciem mnie do pracy w Banku Handlowym w Warszawie. Był to znany, jeszcze przedwojenny bank, który reaktywował swą działalność, a zajmował się obsługą finansową firm prowadzących interesy z zagranicą. Po otrzymaniu tej wiadomości złożyłam natychmiast do banku swoje świadectwo maturalne oraz podanie o przyjęcie do pracy.

Po jakimś czasie dostałam zawiadomienie, by stawić się do banku, zjawiłam się więc w pokoju, w którym przyjmowano nowych pracowników – w dziale personalnym. Tu mi powiedziano, że zostanę zatrudniona w dziale księgowości.

Pytałam sama siebie w duchu: „Boże, jak to będzie?”. Wydawało mi się, że ta moja pierwsza praca to wielka niewiadoma. Bałam się, że nie dam sobie rady. Bardzo szybko się jednak okazało, że do tej właśnie pracy byłam bardzo dobrze przygotowana, bo uczyłam się przecież i bankowości, i księgowości, tak samo jak organizacji i maszynopisania. Miałam też dobre wykształcenie ogólne – to również okazało się niezwykle cenne. Pamiętam jak dziś ten pierwszy dzień pracy w banku, było to dla mnie wielkie przeżycie. Nie wiedziałam przecież, jakiego typu pracę dostanę do wykonania, kogo spotkam, jacy będą współpracownicy, jakie koleżanki i kto mnie będzie otaczał. 1 października 1948 roku z bijącym sercem, ubrana w granatową sukienkę, wchodziłam do gmachu banku na rogu ulic Traugutta i Czackiego. Tam zostałam zaprowadzona do działu personalnego, gdzie po niedługim czasie zjawiała się pani, która miała być moją bezpośrednią kierowniczką i z którą miałam pracować. Szerokimi schodami poszłyśmy na górę, bo tam właśnie znajdował się dział księgowości. Dotarłyśmy na trzecie piętro. Za wysokimi drzwiami ciągnął się długi korytarz. Po jego lewej i prawej stronie znajdowały się wielkie sale, których przeznaczenia jeszcze nie znałam, a na końcu korytarza – jeszcze jedna. Weszłam tam i przyjął mnie sam pan Naczelnik, bardzo miłe zresztą witając. Wielka sala o wysokich oknach wychodzących na południową stronę była widna. Podzielona na trzy części: dwa małe pomieszczenia na obu końcach sali, a pośrodku duża hala. W niej z jednej strony poustawiane były elektryczne maszyny księgujące, z drugiej strony stały stoły i biurka do pracy.

Jedna maszyna była bardzo nowoczesna, dwie starszego typu. W tej małej salce przy końcu korytarza pracował pan naczelnik Woszczyk, a w drugim końcu w podobnej salce siedziała moja kierowniczką pani Maria Brudnicka. Na drugim końcu długiego korytarza był gabinet, urzędowała w nim pani prokurent. Nie pamiętam jej nazwiska, ale zawsze zastanawiałam się, czym ona się właściwie zajmuje, zwłaszcza gdy widziałam ją wracającą ze spotkania w zarządzie banku.

Budynek Banku Handlowego zbudowany jeszcze przed wojną był wspaniały, piętra wysokie, sale obszerne, o pięknym wyglądzie, a położone na pierwszym piętrze gabinety prezesa banku oraz jego zastępców – bardzo eleganckie. Wszystko to robiło na mnie ogromne wrażenie.

Pani Brudnicka już pierwszego dnia zapoznała mnie z obsługą maszyny, i to tej nowoczesnej, a także z dokumentacją do księgowania. Jednym słowem wypuściła mnie na głęboką wodę. Duże arkusze cienkiego kartonu wkładało się do maszyny i na podstawie dokumentów dokonywało na nich księgowania. Księgowałam pod okiem pani Brudnickiej rachunki loro, tj. banku korespondenta, i nostro – naszego banku. Każdego dnia przed rozpoczęciem księgowania do maszyny wprowadzało się duży arkusz nazywany dziennikiem, na którym przez kalkę odbijały się wszystkie zapisy księgowe prowadzone na kontach, jakich dokonywano tego dnia. Wtedy po raz pierwszy praktycznie spotkałam się z dokumentacją, jaka powstaje przy tego typu transakcjach, dowiedziałam się też, jak dokumenty przekazuje się między działami. Pojęłam wszystko bardzo szybko, bo nauka maszynopisania u „Babci Dalkiewicz” nie poszła przecież w las, a i rachunkowość zupełnie nieźle znałam. Radziłam sobie na tyle dobrze, że po niedługim czasie powierzono mi analizę kont, ważną z punktu rozliczeń finansowych transakcji. W dziale byłam najmłodszą pracowniczką, nazywano mnie Hańcią. Na naszej sali panował swobodny, przyjacielski nastrój, nawet niewielki gwar, ale od czasu do czasu wszyscy milkli, bo zza swojego biurka za oszkloną szybą podnosił się pan naczelnik Woszczyk i rozglądał po sali, patrząc, jak pracujemy. Nie tylko zapadała wtedy cisza, ale też wszystkie głowy pochylały się pilnie nad stołami lub maszynami. Już po niedługiej chwili wszystko wracało do normy. Kiedy już oswoiłam się z funkcjonowaniem banku, pani Brudnicka zaczęła mnie zabierać na parter, gdzie była sala operacyjna banku. Robiła ona zawsze na mnie wielkie wrażenie. Ogromne pomieszczenie o pięknych marmurowych pulpitych, przy których pracownice banku przyjmowały i obsługiwały klientów, często zagranicznych. A z drugiej strony znajdowały się kasy banku. Tam przy jednym ze stanowisk pracowała bliska koleżanka pani Brudnickiej. Miałam wrażenie, że praca jest tam ciekawsza niż u nas, spotykało się interesantów, zawsze działo się coś nowego.

W pewnych okresach pracy było znacznie więcej i trzeba było wtedy pozostawać dłużej po godzinach pracy, nawet do 20 lub 21 wieczorem. Wtedy



właśnie okazało się, że księguję bardzo szybko i sprawnie. Nie robiłam błędów, wykazywałam się już dużymi umiejętnościami i dokładnością w analizie rozliczeń. Dzięki temu zostałam zauważona przez kierownictwo. Warto przy tym wspomnieć, że moja pierwsza pensja, którą otrzymałam po miesiącu pracy, wynosiła 10 tysięcy zł. Po uzgodnieniu z Mamą przeznaczyłam ją na zakup nowej torebki. Wybrałam ją z Mamą. Była skórzana, brązowa, no i najmodniejsza, jaka wtedy mogła być. Do zakupu trochę dołożyła mi Mama, bo ta torebka kosztowała więcej niż 10 tysięcy zł. Takie były realia, że ceny i pensje w tamtym czasie nie miały ze sobą wiele wspólnego.

Nowy rok 1949 przywitał mnie dwiema niespodziankami. Moja pensja wzrosła o całe trzy grupy i wynosiła od tej pory 18 600 zł. Bardzo mnie to zaskoczyło, bo oznaczało, że dobrze mnie oceniono i uznano za samodzielną pracownicę.

Drugą niespodziankę w styczniu zrobiły mi koleżanki na imieniny. W tym dniu 19 stycznia nie tylko składano mi życzenia, ale też wręczono wspaniały prezent. Komplet do herbaty z cienkiej, bawarskiej porcelany firmy H & C Selb, sygnowany numerem 3810 w kolorze mlecznym z pięknym czerwonym i złotym wzorem. Do dziś od czasu do czasu uwielbiam pić z tej filiżanki dobrą herbatkę i wspominam zawsze te dobre czasy w banku, z mojej pierwszej pracy – koleżanki, pana Woszczyka i panią Marię Brudnicką.

Praca w banku kojarzy mi się także z innymi wydarzeniami, zupełnie przypadkowymi, które okazały się dla mnie bardzo szczęśliwe. Przy parafii ewangelickiej działało kółko młodzieżowe, w czasie spotkań odbywały się tam ciekawe prelekcje i dyskusje. Na jedno z takich spotkań został zaproszony dr Broda, który wrócił – jak mi powiedziano – z Ameryki i wspominał różne wydarzenia, z jakimi się stykał, będąc za granicą. Kiedy go nam przedstawiano, dowiedziałam się ku mojemu zaskoczeniu, że jest wiceprezesem Banku Handlowego. Po prelekcji do niego podeszłam i oświadczyłam, że pracuję w tym samym banku co on. Po upływie jakiegoś czasu pan Woszczyk powiedział mi, że prezes Broda zaprasza mnie do siebie. Z bijącym sercem zapukałam do drzwi jego gabinetu, a już po chwili pani sekretarka wprowadziła mnie do prezesa. Weszłam i zaczęliśmy rozmawiać. Była to pogawędka o wszystkim, prezes Broda pytał, jaką szkołę skończyłam, jak się znalazłam w banku, co zamierzam dalej. O to, jak pracuję, nie pytał, bo zapewne był o tym dobrze poinformowany, powiedział, że praca najmłodszych pracowników była niedawno omawiana na zarządzie i moja też. Wyjawiał, że kierownictwo banku zamierza skierować mnie na organizowane przez bank szkolenia, na których będę mogła pogłębiać swoje kwalifikacje. O ile pamiętam, byłam na dwóch szkoleniach, jedno z nich odbywało się w Szklarskiej Porębie w willi Banku Handlowego. Szkolenie takie trwało około 2 lub 3 tygodnie, byłam tam najmłodszą uczestniczką. W kursie brali udział pracownicy ze

wszystkich oddziałów w kraju. Podczas tych wyjazdów zdobyłam dużo praktycznych informacji i nową praktyczną wiedzę.

Na jakimś kolejnym przypadkowym spotkaniu w gabinecie prezesa, kiedy wspomniałam, że zawsze się denerwuję, stając przed szefem, pan Broda powiedział mi tak: „Pamiętaj moje dziecko, że aby zrobić karierę i piąć się w górę, zawsze trzeba być dobrze przygotowanym i zawsze wiedzieć, co się chce powiedzieć. Trzeba umieć sformułować wnioski na temat swojej pracy. I nie należy denerwować się, przedstawiając swoje racje, bo pamiętaj, każdy dyrektor też w kapciach chodzi, bo jest normalnym człowiekiem”. Innymi słowy nie ma strachu, byle tylko zawsze być dobrze przygotowanym. Tę rozmowę często przypomielałam sobie podczas późniejszej kariery zawodowej i zawsze starałam się stosować do wskazówek prezesa. A kiedy później sama przez wiele lat byłam dyrektorem, kiedy to do mnie przychodzili młodzi pracownicy, podejmujący pracę i byli bardzo zdenerwowani, to im opowiadałam, co prezes Broda mi wtedy powiedział.

Nowa praca oznaczała zetknięcie z nową wiedzą – na przykład o tym, jak obsługiwać maszyny do liczenia. Ale też zetknięcie z technologią, której istnienie dziś wydaje się najoczywistsze na świecie. Weźmy choćby telefon. W naszym domu przy Grzybowskiej, a potem Ogrodowej nie było w ogóle takich urządzeń. Pamiętajmy, że w tamtych latach – mojego dzieciństwa – miasto zmagало się dopiero z zakładaniem wodociągów i kanalizacji, z doprowadzaniem elektryczności do kolejnych domów. Telefony być może były już zakładane w lepszych dzielnicach, ale znałam je tylko z filmów. Nie zastanawiałam się jako dziecko, dlaczego w naszym domu, przy naszej ulicy ich nie ma. Może po prostu w tamtych czasach aspiracje społeczeństwa nie były jeszcze tak rozwinięte? Przed wojną skrajności w poziomie zamożności były w Warszawie wielkie, ale z tego zdawali sobie sprawę być może moi Rodzice – ale na pewno nie ja, dziecko.

A bez możliwości szybkiego kontaktowania się po prostu inaczej się żyło. Gdy trzeba było wezwać lekarza, Mama bądź Tata po prostu biegli po niego. A już najlepiej w roli przekazicielki wiadomości odnajdywała się Babcia. Jeśli zachodziła taka potrzeba, momentalnie była gotowa do wyjścia. Inne sprawy załatwiała się za pomocą zwyczaju; imieniny stanowiły oczywisty powód, by spodziewać się gości. Nie trzeba się było z nikim umawiać. W mojej pamięci zapisał się ten gwar towarzyszący wizytom gości; nas, dzieci, sadowiono przy osobnym stole.

Po powojennym wyniszczeniu kraju zamożność postępowała bardzo powoli, znów były ważniejsze sprawy do zrobienia, takie jak odbudowa domów. Były jednak miejsca, do których technika zaglądała pierwsza. Należał do nich bank. Okres pracy w banku dał mi bardzo dużo w różnych dziedzinach – przede wszystkim nauczył mnie szacunku do pracy na całe życie, organizacji i dyscypliny pracy, konieczności wykonywania pracy w terminie i nieodkładania niczego na później.

## Studia na SGPiS

Praca pracą, ale moim celem było przecież kontynuowanie nauki na wyższej uczelni. Powiedziałam sobie, że nie będę przez całe życie siedziała przy maszynie, stać mnie na dużo więcej, nie będę byle kim. Wiedziałam, że muszę kiedyś dojść do tego, żeby też w takim gabinecie jak pani prokurent siedzieć, innymi słowy dojść do lepszego stanowiska. Niestety, wciąż nie byłam pewna, czy mam w ogóle szanse dostać się na studia. Tata nadal prowadził swój prywatny warsztat, a wtedy pierwszeństwo na egzaminach miały dzieci robotników i chłopów. Za namową kolegów w banku zapisałam się więc do Związku Młodzieży Polskiej. W czerwcu 1949 roku ponownie złożyłam papiery do Szkoły Głównej Handlowej. Miałam ze sobą zaświadczenie, że jestem pracownikiem Banku Handlowego, a także zaświadczenie, że jestem członkinią Związku Młodzieży Polskiej. Tym razem nie napisałam już w podaniu, że mój Tata jest rzemieślnikiem i prowadzi warsztat, tylko, że jest kołodziejem, co było przecież szczerą prawdą. Tak skomponowane papiery sama złożyłam w sekretariacie Szkoły Głównej Handlowej. W lipcu zdawałam ponownie egzamin i tym razem znalazłam się na liście przyjętych. Nie zostałam jednak studentką Szkoły Głównej Handlowej, ponieważ 1 października 1949 roku uczelnia przekształciła się w Szkołę Główną Planowania i Statystyki. Jej celem miało być teraz przygotowanie przyszłych ekonomistów-marksistów do pracy w nowych warunkach ustrojowych. Ja byłam jednak po prostu szczęśliwa, że wreszcie dostałam się na wyższe studia. We wrześniu jeszcze pracowałam normalnie w banku. Od października moja sytuacja bardzo się pogorszyła, bo nie było wtedy studiów zaocznych, tylko dzienne, i równoległe z pracą w banku musiałam uczestniczyć we wszystkich wykładach i ćwiczeniach. W początkowym okresie wykorzystywałam należną mi część urlopów, troszeczkę mnie po cichu zwalniali pani Maria Brudnicka i naczelnik Woszczyk. W grudniu okazało się jednak, że tak dalej być nie może i złożyłam podanie z prośbą o zwolnienie z pracy w związku z tym, że podjęłam studia. Wykorzystałam też częściowo urlop za 1950 rok i od połowy stycznia przestałam pracować. Warsztat funkcjonował, więc Tata mnie zapewniał, że nie muszę pracować, bardzo chciał mnie wykształcić i uznawał, że są ku temu warunki. Okres pracy w Banku Handlowym nauczył mnie nie tylko podstaw rzetelnej pracy, terminowości, obowiązkowości i poważnego stosunku do pracy. Nauczył też obcowania z pracownikami, tego, że trzeba okazywać im szacunek, że warto sobie nawzajem pomagać. Wyszłam stamtąd z dobrym nastawieniem do przełożonych, bo zawsze spotykałam się z życzliwością ze strony szefów: prezesa banku, wiceprezesa pana doktora Brody, pana Woszczyka, pani Brudnickiej. To oni nauczyli mnie, jakie stosunki powinny panować między przełożonym a pracownikiem. Praca w Banku Handlowym dawała mi wielką satysfakcję, gdyż kierownictwo rzetelnie, ale i z

wielką sympatią potrafiło ocenić moją pracę – awansując mnie i nagradzając, a przy tym nie wykorzystując. Uświadomiło mi to – co dobrze zapamiętałam – że pracowników należy odpowiednio wynagradzać i że jest to obowiązek pracodawcy. Taki był wtedy stosunek kierownictwa banku do pracowników. To są wartości, które zawsze przyświecały mi w życiu, w całej karierze zawodowej, bardzo jak na kobietę ciekawej, zwłaszcza zaś jak na czasy, okoliczności i wybory, jakich dokonywałam. Moim zdaniem Bank Handlowy cechował przedwojenny stosunek dobrej firmy do pracownika, był to związek między pracodawcą i pracownikiem, nie istniał system politycznego nacisku, wrogich działań i komórek personalnych, które potem się wytworzyły w socjalistycznych przedsiębiorstwach. Nawet jeżeli pracownik się spóźnił, to wszystko się wyjaśniało kierownikowi, który następnie informował dział personalny. Nigdy się nie spotkałam z arogancją i nie miałam przykrości z tego powodu. To wszystko potem bardzo się zmieniło na niekorzyść. A jak jest dziś?

Okres moich studiów jest trudny do opisania, bo są to już czasy nam bliskie. Tyle będzie opinii o szkolnictwie wyższym tamtych czasów, ile nas wówczas studiowało, działało. Zważaj na tej ocenie fakt, skąd na uczelnię trafiliśmy – z miasta czy ze wsi.

To, co chciałabym przekazać, stanowi jedynie mój osobisty punkt widzenia, być może bardzo subiektywny – i tak ten obraz należy przyjąć. Nie prowadziłam dziennika, nic też nie zapisywałam, w pamięci utrwały mi się jedynie fragmenty zdarzeń. Ale niektóre – wymowne, nawet symboliczne dla tamtych czasów.

Szkoła Główna Planowania i Statystyki (SGPiS) w Warszawie od 1949 roku formalnie była kontynuacją swojej przedwojennej poprzedniczki, Szkoły Głównej Handlowej. Jak się jednak wkrótce przekonałam, program studiów został zasadniczo zmieniony i nie była to już taka sama uczelnia.

Już na pierwszym roku studiów dało się zauważyć, że duża część studentów pochodziła ze środowisk chłopskich i robotniczych. Poznawaliśmy się bliżej dopiero na zajęciach w grupach, poza wykładami. Tak weszłam w nowe środowisko koleżanek i kolegów, zostawiając za sobą stare.

Okres studiów podzielono na dwa stopnie, pierwszy, który kończyło się po trzech latach, i drugi – po którym uzyskiwało się dopiero stopień magistra; trochę później, na wiele lat, wprowadzono jednoetapową, pięcioletnią edukację. Zapisując się na studia, określało się kierunek, na którym chce się studiować. Prowadzono trzy wydziały: przemysłu, handlu i finansów; ja wybrałam tę ostatnią dziedzinę, bo ten kierunek był mi najbliższy.

Celem nowo powstałej uczelni stało się przede wszystkim kształcenie na wyższym poziomie kadr dla powstałych instytucji rządowych i przedsiębiorstw upaństwowionych na gruncie marksizmu-leninizmu. Programy studiów dla poszczególnych wydziałów były w niewielkim stopniu zróżnicowane. W

większości wykładów uczestniczyliśmy wspólnie my, studenci różnych kierunków; cały pierwszy rok ledwo się mieścił w wypełnionej po brzegi auli przy ulicy Rakowieckiej. Z dawnych, przedwojennych profesorów Szkoły Głównej Handlowej wciąż prowadzili wykłady profesor Grodek (z historii gospodarczej) i profesor Dzięgielewski (z rachunkowości handlowej). Geografii gospodarczej już nie wykładał niestety profesor Loth. Z pierwszego roku w pamięci szczególnie mocno utkwiły mi wykłady z filozofii prowadzone z pasją przez profesora Hochfelda, znanego działacza Polskiej Partii Socjalistycznej, a z ekonomii kapitalizmu wykłady profesora Żurawickiego.

Dla nowej roli uczelni w powojennej rzeczywistości przedmiotem o randze wręcz symbolicznej były wykłady z historii Wielkiej Komunistycznej Partii (bolszewików – w skrócie WKPb); w praktyce przez przedmiot ten przechodziło się, wkuwając strona po stronie setki kartek z wielomilionowego wydania książkowego historii partii komunistycznej w Związku Radzieckim. Takich kuriozalnych, zaangażowanych światopoglądowo przedmiotów było w planie zajęć na finansach jeszcze kilka, ale czyż można je było spamiętać, skoro w swym charakterze miały li tylko nas indoktrynować?

Już na początku pierwszego roku studiów zauważyłam duże upolitycznienie studentów – szczególnie wysokie na wydziale przemysłu, stosunkowo najmniejsze na naszym wydziale, finansów. Uczelnia sprzyjała takiemu upolitycznieniu – po wykładach organizowano dla nas spotkania propagandowe, studenci będący sekretarzami Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w komórkach wydziałowych byli bardzo znani i w różnych okolicznościach bardzo aktywni. Natomiast organizacje młodzieżowe, w tym Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej i inne pozostawały trochę w cieniu, ale oczywiście też aktywnie działały.

Jednym z ciekawszych – patrząc z dzisiejszej perspektywy – zjawisk były tak zwane czyny społeczne, organizowane przez uczelnię przy różnych okazjach, najczęściej – z inicjatywy i siłami partii. Nie ominęło to naszej uczelni. Pamiętam jak dziś wysłanie nas w grupie kilku osób na wieś, z zadaniem rozpowszechniania znaczenia roli elektryfikacji oraz przekonania mieszkańców do różnych planów państwa wobec wsi. Była już wczesna zima. Wiózł nas rozklekotany, nieogrzewany autobus. Wymarznięci dotarliśmy do wioski i zapewne do chałupy sołtysa lub wójta. W chałupie szybko umieściłam się na lepcy, czyli części pieca, na której można usiąść – bo przecież wiedziałam, które miejsce jest najlepsze w domu na wsi. Choć też, niestety, nie tylko ja wpadłam na ten pomysł. Tak samo chcieli usadowić się inni z koleżanek czy kolegów, bo ze wsi pochodzili. Miejsc na szczęście było kilka. Zebrało się kilku lub kilkunastu gospodarzy, wypełniając całą izbę. Pomieszczenie nie było za wielkie, siedzieliśmy więc jeden obok drugiego. No i przewodniczący temu kolega zaczął swój wykład; wywody, jak to należy w gospodarstwie po nowemu stosować metody gospodarowania, jak to będzie z

elektryfikacją, gdy lada moment dotrze ona do zagród na wsi itd. Panowała cisza. Chłopów było trochę więcej niż nas i tylko słuchali. My swoje, a chłopci zapewne wiedzieli swoje. I tak, w tej absolutnej ciszy – bo nikt się nie odzywał – spotkanie dobiegało już końca, gdy nagle w izbie słabo oświetlonej lampą naftową z kąta padło pytanie jednego z gospodarzy: „Panie, a niech pan nam powie, gdzie to można kupić gwoździe, bo tu u nas nie można nigdzie dostać, a w gospodarstwie są potrzebne. Bez nich ani rusz”. Konsternacja. Cisza jeszcze większa niż poprzednio. Nikt z nas nie wiedział, gdzie można kupić gwoździe. No i posypało się. Kolejne, podobne pytania, a my, bez szans, by na jakiegokolwiek z nich odpowiedzieć. Wyjeżdżaliśmy w popłochu. Wróciliśmy do Warszawy w marnych nastrojach, w milczeniu. W domu byłam około północy. Ten wyjazd wydał mi się trafną metaforą rzeczywistości, w której zaczynało się życie.

Drugi z czynów społecznych, w którym uczestniczyłam na pierwszym roku studiów, zorganizowano tuż po zdaniu egzaminów letnich. W ramach pomocy dla państwowych gospodarstw rolnych w województwie szczecińskim. Była połowa sierpnia, lato bardzo upalne. Na polach leżało ścięte zboże. Kazano nam je wiązać w snopki i układać w kopy czy styki, jak nazywano na Mazowszu snopki zebrane po kilkanaście sztuk. Praca zapewne poszłaby mi nieźle, bo przecież znałam ją, jeżdżąc do wujostwa, gdzie w polu większość robót wykonywało się ręcznie. Podobnie było z pochodzącymi ze wsi koleżankami i kolegami. Jednak tego lata na pola wkraczały już mechaniczne kosiarki. Tu, w państwowych gospodarstwach, na ogromnych polach też pracowały pierwsze maszyny. Pozostawiały za sobą wysokie rżysko – wysoko ścięte zboże. By się w nim poruszać za maszyną, trzeba było mieć wysokie buty, a ja ich nie miałam. Koleżanki i koledzy – także nie. Rżysko pokaleczyło mi nogi, które już po chwili całe były zakrwawione. Praca okazała się niezdolna i bolesna. Starłam się szukać dla siebie innych zajęć, takich, które nie wymagały chodzenia po rżysku, a potem, wyjeżdżając, patrzyłam na te ogromne pola skoszonego, a jeszcze nie zebranego zboża i myślałam – kogóż zaciągną do pracy, skoro wokół ani żywego ducha. Tej jesieni zewsząd dochodziły wieści, że w państwowych gospodarstwach zbiory po deszczach, nie zebrane, zgniły na polach.

Drugi i trzeci rok studiów to już był okres ciekawszy pod względem naukowym. Liczba wykładanych przedmiotów też była znaczna. Dziś trudno mi je nawet wyliczyć. Przede wszystkim – przedmioty z dziedziny finansów i bankowości. Pozostały mi w pamięci wykłady z ekonomii politycznej socjalizmu prowadzone przez profesora Brusa. Nadawał on swoim wykładom, a zwłaszcza egzaminom, szczególny splendor. Oczywiście na wykładach panowała cisza, chociażby z uwagi na rangę, jaką temu przedmiotowi nadawano. Notowania profesora też były wysokie z racji jego miejsca w życiu politycznym i naukowym w kraju. (Po wielu latach dowiedziałam się, że był mężem słynnej komunistycznej prokurator Heleny Wolińskiej, która skazała na śmierć generała Fieldorfa).

Egzaminował zawsze osobiście. Pod salą egzaminacyjną kłębiliśmy się jeden obok drugiego. Odpytywał jednocześnie sześciu studentów. Między sobą uzgadnialiśmy, kto z kim wejdzie – kto w pierwszej szóstce, kto w następnej i tak dalej, i tak dalej. Pierwsza szóstka zdała nam sprawozdanie, co i jak. Już nie pamiętam, z kim weszłam do sali. Usiedliśmy przy długim stole, po trzy osoby obok siebie, w dwu szeregach. Egzamin polegał na tym, że profesor zadawał pytanie pierwszej osobie, która zaczynała temat, a następnie przerywał jej i kazał następnej osobie go rozwijać. I kolejnej. Udało się, zdaliśmy.

Innym przedmiotem, do którego wszyscy mieli awersję, była wykładana przez profesora Owoca historia ruchu robotniczego. Przedmiot, któremu wykładowca nadał rangę najwyższą, choć wykładane przez niego treści, nadmiernie uszczegóławiane, traktowane z pietyzmem wręcz, nie były porywające, delikatnie mówiąc. Wszystko rozpisane na prawie 600 stronach skryptu. Okropna cegła. Co więcej, profesor egzaminował osobiście i dokładał wszelkich starań, by w odpowiedziach nie zapominać o szczegółach. Gdy próbowałam jakoś przebrnąć przez ten przedmiot, wszyscy w domu musieli przez ten czas żyć w drugim pokoju.

Trzeci rok studiów to przede wszystkim wykłady z seniorem ekonomistów polskich, profesorem Edwardem Lipińskim. Z tych wielkich pozostał na uczelni jako jedyny i wykładał na naszym wydziale historię doktryn ekonomicznych. Jakże inne były to wykłady. Zawsze pełen swady i świadom, że nie starczy sił ani czasu, aby wszystko, co by chciał, zdołał nam przekazać. Nauczył nas za to, jak do ekonomii podchodzić, jak ją rozumieć. Jak dobrze, że mogłam w życiu spotkać i słuchać wykładów tego znanego ekonomisty i człowieka.

W okresie studiów miałam wiele koleżanek i kolegów, ale pozostały mi tylko trzy przyjaciółki: Urszula Wojciechowska, Basia Zbrzyzna i Lilka Billewicz. Urszula Wojciechowska pozostała na uczelni i była cenioną profesora z dziedziny finansów. Z nimi trzema spotykałyśmy się przez całe lata – podobnie, na stałe, zostały mi kontakty z Basią Wyrzykowską, serdeczną koleżanką ze szkoły średniej.

Studiując, nie wzięłam pod uwagę jednej bardzo ważnej rzeczy: że uczelnia, a także nasz wydział pełen był kolegów, a może i koleżanek, którzy donosili o wszystkim, co w ich odczuciu odbiegało od poprawności ideologicznej. Spotykając się prywatnie, nie braliśmy tego naiwnie pod uwagę. Pamiętam jedną sytuację, która zdarzyła się u mnie w domu. Zebraliśmy się w kilka osób, by powtórzyć materiał do egzaminu. Mama zorganizowała mały obiad. Dom nasz był zawsze otwarty i życzliwy dla wszystkich. Dołączył do nas Tata. I w którymś momencie niefrasobliwie – bo nie zdawał sobie sprawy z możliwych konsekwencji – powiedział do nas: „Ale takiego zakłamania jak jest teraz, to jeszcze nie było”. Zapanowała cisza, a mnie krew uciekła z głowy do nóg i pomyślałam, że nie jest dobrze. Wróciliśmy do zajęć. Miałam przecucie, a po latach nawet pewność, że ten epizod nie pozostał bez konsekwencji.

Trzeci rok studiów kończyłam w dobrym nastroju. Po drugim i trzecim roku miałam w indeksie większość ocen bardzo dobrych, nawet nie myślałam o nieszczęsnej wypowiedzi Taty i oczywiście przygotowywałam się do studiów magisterskich. Złożyłam więc w dziekanacie odpowiednie podanie i byłam pewna, że nic mi nie zagraża. Dlatego wielkie było moje zdziwienie, gdy mi oznajmiono, że nie zostałam zakwalifikowana przez władze uczelni i komitet partyjny na studia magisterskie. To musiało mieć związek z tamtym zajściem w domu. Znow nadszedł ciężki dla mnie okres, drugi cios w moim życiu, nagły i niespodziewany, nie miałam jednak ani żalu, ani pretensji do Taty. To były jego poglądy – uczciwe i rzetelne. Tak myślał, a przeżył wiele jako rzemieślnik, stale nękanym przez władze, nieufne wobec wszelkich nierobotniczych zawodów.

Tymczasem miałam w perspektywie komisję wydającą nakazy pracy. Stałam przed nią w lutym. Zaproponowano mi angaż do Komisji Planowania, kierowanej przez Bronisława Minca. Z tej propozycji zrezygnowałam, bo uważałam, że dalej będzie za mną szła ocena z uczelni i nie zdołam tego zmienić. Wybrałam pracę w nowo powstałym Zjednoczeniu Przemysłu Torfowego. Jak się okazało, była to nowa organizacja powołana do życia z zamysłem stworzenia w Polsce wielkiego przemysłu torfowego. Tak zwane torfowiska niskie, czyli położone np. w dolinach rzek, miały dostarczać surowca do energetyki, a torfowiska nizinne – nawozów do rolnictwa. Był to czas, gdy wszystkie wzorce dotyczące przemysłu i budów szły już do nas ze Związku Radzieckiego. To miało być przedsięwzięcie na ogromną skalę. Zaplanowano sprowadzenie do Polski wielkich maszyn – takich, jakich używano na torfowiskach syberyjskich oraz sieć melioracji – nie bacząc, jak owa skala ma się do warunków polskich. A i znalazło się w owym czasie wielu ludzi, którzy widzieli w tym wszystkim jakąś szansę dla siebie – ale i dla sprawy. Ku mojemu zdziwieniu zaproponowano mi uczestnictwo w organizowanym właśnie kształceniu zawodowym w kierunku melioracji; uzyskałabym tytuł inżyniera – melioranta. Na taką propozycję nie byłam jednak wówczas gotowa. Wydała mi się niepoważna, beztrąsko więc odmówiłam. A kto wie, czy ta wiedza nie przydałaby mi się w życiu? Potoczyłoby się wówczas pewnie zupełnie inaczej. Ale bardziej prawdopodobne jest, że zostałabym z dodatkowym wykształceniem: oryginalnym, za to nieprzystającym do realiów – zważywszy, że gdy przyszły lata 1956 oraz 1957 i wielkie zmiany polityczne i gospodarcze, przysła magia budowania wielkiego przemysłu torfowego, a biedne Zjednoczenie padło. Wszyscy pracownicy musieli poszukać sobie nowego zajęcia. Dla mnie nie było już przydziału pracy. Choć akurat praca, inaczej niż dziś, stała w tamtych czasach przed ludźmi otworem.

### **Odwiedziny**

Niespodziewanie w 1957 roku, w marcu przyjechała do Polski z Niemiec



ciocia Mila, kuzynka Mamy. Starła się o ten przyjazd zarówno ona, jak i jej najbliższa rodzina. W tamtym czasie Mama cały czas utrzymywała z nią kontakt listowny. Była to dla nas niespodzianka i szczególna radość dla mojej Mamy, bo były sobie jak wspominałam, bardzo bliskie. Szczegółowo opowiadała nam, jak przeżyli ciężkie czasy wojny, bombardowania. Bolesne zwłaszcza były jej wspomnienia z pracy na poczcie, gdzie skierowano ją do działu polskiego, przez który przechodziły listy Polaków z obozów, adresowane do miejscowości położonych w Generalnej Guberni. Listy pełne bólu, ale i siły. Opowiadała, że okres powojenny w amerykańskiej strefie okupacyjnej też był ciężki. Mieli racje żywnościowe, ale były spore trudności z zakupem czegokolwiek innego, a handel pokątny mocno zwalczano. Amerykanie byli przy tym bardzo restrykcyjni. Ale przynajmniej ich nie mordowali i nie torturowali, jak Niemcy nas, mówiliśmy jej na to i opowiadaliśmy, co robili okupanci w Warszawie podczas wojny. Ciocia dobrze to wiedziała, bo to przecież jej własną siostrę spotkała ogromna tragedia – to jej dzieci zginęły od wybuchu czołgu-pułapki na Starówce w czasie Powstania Warszawskiego. Kiedy tak siedzieliśmy przy stole i każde z nas opowiadało o własnych przeżyciach i koszmarach wojny, zdawaliśmy sobie sprawę, jak trudne są to czasy. Wiedzieliśmy przy tym, że małe mamy szansę, aby znów się spotkać. Nasze kraje dzieliły ogromne polityczne różnice, wiadomo było, że trudno będzie o jakiegokolwiek jeszcze spotkanie w przyszłości. Sądzieliśmy, że jest to już raczej niemożliwe. Stąd pożegnanie Mamy i cioci było pełne smutku. Obie płakały.

W tamtych czasach dla przeciętnego człowieka wyjazd na Zachód był czymś niewyobrażalnie trudnym. Mimo to wiosną 1965 roku wujostwo zaczęli czynić starania o to, abyśmy jednak do nich przyjechali – Mama i ja. Wysłali do nas oficjalne zaproszenie. Załatwili wszystkie niezbędne dokumenty w Niemczech i przesłali je nam do Warszawy, a my z kolei wystąpiłyśmy o pozwolenie na wyjazd do władz w Polsce. Miałyśmy świadomość, że takie starania najczęściej kończyły się odmową. Uważałam, że zwłaszcza ja mam małe szanse na dostanie paszportu i zgody na wyjazd, bo Mama była już prawie w wieku emerytalnym i to mogło sprawę ułatwić. Na początku października przyszło jednak powiadomienie, że ja otrzymałam zgodę, a Mama – odmowę. Sytuacja się skomplikowała, bo chodziło nam przecież o wyjazd Mamy, ja miałam być jedynie osobą towarzyszącą, Mama sama nie chciała jechać. Zaczęły się więc nowe starania, wysyłanie kolejnych pism i ich uzasadnień. Dalsze czekanie. Na początku listopada przyszło zawiadomienie, że i dla niej jest zgoda. Zaczęło się przygotowanie do wyjazdu, a czasu miałyśmy mało. W dodatku jesienne dni były krótkie, zrobiło się chłodno, załatwienie czegokolwiek na czas graniczyło z cudem, a tu okres wykorzystania wiz już się kończył. Kupiłyśmy jednak bilety. Pozostało przygotowanie do wyjazdu, zakup upominków dla wszystkich. Sprawdzaliśmy, co można wywieźć i za ile, i co z tego, co można w Polsce kupić, może być atrakcyjne. A już szczególnie

zastanawialiśmy się w domu, jak przewieźć pieniądze, aby nie liczyć tylko na to, co dostaniemy od rodziny, ale mieć jakiś własny grosz. Myśleliśmy oczywiście o przewiezieniu dolarów, bo na to nigdy nie było zgody. Celnicy na granicy nie tylko szperali i przewracali wszystko w bagażu do góry nogami, w poszukiwaniu tego, co nielegalne, ale też bardzo często przeprowadzali rewizje osobiste, każąc ludziom rozbierać się do rosołu. Wśród prezentów dla rodziny postanowiliśmy zabrać butelki z naszą wódką wyborową. Uznawano ją za jedną z naszych wizytówek, tak się powszechnie sądziło, że jadąc za granicę, zawsze należy zabrać wódkę. Oprócz tego miałyśmy wziąć szynkę Krakus, wody toaletowe i perfumy, takie zwyczajowe upominki. Wydaje mi się, że Mama kupiła też trochę grzybów suszonych. Ale w sumie nie miałyśmy tego wszystkiego zbyt wiele. W zaproszeniu było napisane, że wszystko mamy zapewnione przez rodzinę, to jest wikt, mieszkanie, leczenie. Po wielu naradach, przymiarkach i dociekaniach, w jaki sposób przewieźć dolary, nasi mężczyźni wpadli na pomysł, żeby schować w korkach butelek z alkoholem. Mama nie była w to wtajemniczona ze względów wiadomych, z pewnością nie wytrzymałaby takiej operacji nerwowo. Sztuka zwinięcia banknotu pod korkiem butelki, a jednocześnie pozostawienia całej nakrętki bez żadnego uszczerbku, tak aby wyglądało, że zamknięcie jest oryginalne, była tak wielka, że osobiście sądziłam, iż to się nie może udać. Ale tak właśnie zrobiono, a wszystkie prezenty (w tym butelki z wódką i dodatkowym „nadzieniem”) zostały rozłokowane w trzech bagażach między ubraniami.

W dniu wyjazdu w pośpiechu jechaliśmy na Dworzec Gdański, bo już po wyjściu z domu, zaglądając do torebki, stwierdziłam, że wszystkie dokumenty zostawiłam na stole. Szybki powrót do domu, skok po papiery i jazda powrotna, a wszystko w ostatnich minutach. Wpadliśmy na peron, gdy kierownik pociągu dawał już znak do odjazdu. W ostatniej chwili wskoczyliśmy do ostatniego wagonu ruszającego pociągu, a bagaże w biegu wrzucano za nami. Zgrzane, zmęczone zaczęłyśmy szukać naszych miejsc, które były w zupełnie innym wagonie. Był to pociąg pospieszny przejeżdżający tylko przez Warszawę, a jechał z Moskwy do Paryża przez Berlin i Niemcy Zachodnie. W pociągu było ciepło. Rozłokowałyśmy się, pasażerów w wagonach było niewielu. W naszym przedziale też byłyśmy same. Zapadł już zmierzch, kiedy pociąg wolno zatrzymał się na granicy. Zdaje się, że w Zebrzydowicach. Zaczęły się kontrole. Przeglądano przygotowane dokumenty, żołnierze patrzyli nam w oczy i na fotografie w tych dokumentach, sprawdzając dokładnie, czy aby na pewno jesteśmy tymi osobami ze zdjęć, potem przerzucili strony i podstemplowali te właściwe. Nastąpił koniec kontroli i dalsze czekanie. Nikt na granicy się specjalnie nie spieszył. Wszystkie walizki i torbę przygotowaliśmy do kontroli, czekały otwarte. Weszło dwoje celników: celniczka i celnik. Zaczęło się od pytań, co mamy, więc wymieniłam wszystko bardzo szczegółowo. Rozpoczęło się przewracanie, grzebanie, a

celniczka poprosiła nawet Mamę, by rozpięła bluzkę. Po krótkiej osobistej kontroli zostawili nas z rozwalonymi bagażami, a ja odetchnęłam z ulgą. Po długim postoju pociąg wolno ruszył i po niedługim czasie wjeżdżałyśmy już na teren NRD. Zaczęła się nowa kontrola celna, ale szczęśliwie już powierzchowna. Bagaże miałyśmy kompletnie rozgrzebane i na wszelki wypadek otwarte. Zatrzymaliśmy się krótko na smutnym dworcu w Berlinie Wschodnim, prawie pustym, kilku pasażerów weszło do przedziałów za lokomotywą. Pociąg stał tam krótko i zaraz ruszył dalej. Nie spałyśmy, po kilku minutach przed naszymi oczami ukazały się jasno oświetlone domy i ulice Berlina Zachodniego. Kontrola paszportowa była bardzo krótka, celnej nie było wcale. Na dworcu w Berlinie Zachodnim też miałyśmy jedynie krótki postój, wsiadło i wysiadło kilku pasażerów i pociąg ruszył dalej. Zapakowałyśmy z powrotem nasze rozgrzebane przez polskich celników rzeczy. Walizki ułożyłyśmy na półkach i postanowiłyśmy się zdrzemnąć. Pociąg sunął po szynach, a za oknami panowała ciemność. Pociąg przejeżdżał przez całe NRD bez zatrzymania. Stanęliśmy dopiero na granicy już między wschodnimi a zachodnimi Niemcami. Tam też odbyły się tylko kontrole paszportowe, innych już nie miałyśmy.

Otworzyłam oczy przed szóstą raną, pociąg przejeżdżał właśnie przez najbardziej uprzemysłowiony okręg Niemiec Zachodnich Nadrenię Północną-Westfalię. Stanęłam w korytarzu i patrzyłam przez okno wagonu na ulokowane wzdłuż trasy kolejowej, tętniące życiem wielkie zakłady przemysłowe. Przed moimi oczami przesuwaly się setki aut mknących po jasno oświetlonych drogach i przecinających je autostradach. Wszędzie było jasno, bo gdzie się tylko dało, instalowano latarnie uliczne. Czegoś takiego nie oczekiwałam. Wiedziałam, że jest tam „lepiej” niż u nas, ale takiego rozmachu i takiego poziomu rozwoju się nie spodziewałam. Po prostu nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Widok ten był dla mnie szokiem pod każdym względem.

Nasza podróż kończyła się w Essen. Gdy pociąg się zatrzymał, zobaczyłyśmy wujka, który się uśmiechał i machał do nas, biegnąc przez peron. Zapakował nas natychmiast do swego małego, ale dość pojemnego samochodu i wśród gęstniejącego ruchu samochodów, ruszyliśmy do Gladbeck. Znow to wrażenie jasności. Na autostradach i drogach, którymi jechaliśmy, było widno, mimo że dzień był szary i nie świeciło słońce. Gdy zapytałam, skąd tu tyle samochodów, odpowiedział, że to ludzie zdążający do fabryk i biur. I już po drodze widziałam, że witryny sklepów pełne były wystawionych towarów.

Wreszcie wjechaliśmy do Gladbeck, niedużego, typowo górniczego miasta, trochę przypominającego miejscowości na Śląsku. Zajechaliśmy pod dom na ulicy Mozartstrasse 18, w którym mieszkali wujostwo. Czekala tam na nas ciotka Mila i stół zastawiony wszystkim, co tylko mogło być. Pierwsze powitania, przy których oczywiście i ciocia, i Mama znow się popłakały. Po chwili przerwy na odświeżenie

po długiej podróży nastąpiły kolejne powitania, ściskania, aż wreszcie usiedliśmy przy stole. Byłyśmy jednak bardziej zmęczone niż głodne. Mieszkanie wujostwa nie było zbyt wielkie, ale dla nich dwojga (nie mieli dzieci) zupełnie wystarczające. Na dole znajdowały się pokój i kuchnia z małym zapleczem, a na górze obszerna sypialnia. Ta ostatnia, jak się zorientowałam, a przed tym trochę czytałam o panujących tam zwyczajach, była zimna, nieopalana, zdrowa i przez cały czas wietrzona. Od razu powiedziałam, że ja tu spać nie mogę, bo dla mnie będzie za zimno. Z miejsca więc ustalono, że będę miała zrobione specjalnie spanie na dole w dużym pokoju. Mama zgodziła się spać na górze pod pierzynami i mówiła potem, że było jej tam dobrze. Myślę, że dla niej trochę tę sypialnię podgrzewali elektrycznością. Oczywiście to był wyjazd zaplanowany dla Mamy, więc obydwie z ciotką prowadziły niekończące się rozmowy, bo wspominały czasy przedwojenne – dla nich najlepsze. Muszę jednak przyznać, że słuchając ciotki, doszłam do wniosku, że cały czas żyje wspomnieniami tego okresu, kiedy mieszkała w Polsce; w sumie trudno się dziwić, bo to była większa część jej życia. Ja natomiast dużo czasu spędzałam z wujkiem. Był już wtedy na emeryturze lub rencie, ale wciąż jeszcze tryskał energią i humorem, odznaczał się też nadzwyczajną pomysłowością. Miał sporo znajomych. Wpadł na pomysł, by zaopatrywać w podstawowe artykuły osoby niesprawne, a przy tym samotne. Okazało się, że takich osób wokół było sporo. Wykorzystywał swoje auto, jeżdżąc do magazynów hurtowych i robił zakupy według wcześniejszych zamówień. Płacił ceny hurtowe, a zwracali mu według detalicznych. Na tej różnicy nawet nieźle zarabiał. Wszystko to oczywiście oficjalnie zarejestrował. Miał tylko z magistratu ograniczenie finansowe, którego nie mógł przekroczyć, by nie stracić renty. Ze wszystkiego się musiał rozliczać. To, co zarabiał, i renta, którą otrzymywał, pozwalało mu na posiadanie i utrzymanie samochodu i w ogóle na to, by im się dobrze z ciotką żyło. Właśnie z nim, by nie siedzieć w domu, wyruszałam na wycieczki, wujek pracował, a ja oglądałam, co tylko mogłam. Byliśmy w dużych miastach, w których poblizu mieściły się wielkie hale zaopatrujące sklepy detaliczne. Zwiedziłam w ten sposób Düsseldorf, Gelsenkirchen, Essen i wiele miejscowości położonych wzdłuż Renu. Należy pamiętać, że po przyjeździe zobowiązane byłyśmy w ciągu trzech dni zameldować się w miejscowym magistracie. Okazało się, że tam na nas czekano. Po zameldowaniu poprosił nas do siebie pan kierownik i uroczyście oświadczył, że jest dla nas przewidziana pomoc pieniężna, bezzwrotna.

Miało to być 300 albo 500 marek na każdą z nas. Dochodziło do mnie już w Warszawie, że z taką propozycją mogę się spotkać. Bardzo uprzejmie podziękowałam w imieniu Mamy i swoim, ale wyjaśniłam, że dostałyśmy już w prezencie trochę pieniędzy od rodziny, mamy też swoje z Warszawy i to nam w zupełności wystarczy. Urzędnik nalegał, ale zdecydowanie odmówiłyśmy. Wujek tego nie mógł zrozumieć, uważał, że nam się to należy i że nasza decyzja jest

niemądra – wielokrotnie to powtarzał. Nawet nie przypuszczałam, że nasza wizyta wzbudza w tym małym mieście taką sensację i że została bardzo nagłośniona, jeszcze zanim się zjawiliśmy. Przekonałam się o tym, gdy pod koniec pierwszego tygodnia naszego pobytu do drzwi zapukali dziennikarze miejscowej gazety z prośbą o udzielenie im wywiadu. Nasz przyjazd do miasta wzbudzał sensację, przede wszystkim dlatego, że to miało być spotkanie dwóch rodzonych sióstr, które nie miały ze sobą kontaktu przez 50 lat. Nawiąsem mówiąc, nasz pobyt w Niemczech był wynikiem starań kuzynów, a nie siostry mamy, mieszkającej w Gladbeck. Przez kolejne dwa dni odmawiałam dziennikarzom, bałam się, że mogą napisać nie wiadomo co. Sytuacja jednak wydawała się bez wyjścia, ponieważ oni bez mała koczowali pod domem wujostwa. Cały ten wywiad odbył się właśnie u nich, a nie u Mamy siostry. Praktycznie była to rozmowa ze mną, cały czas uważałam, by koncentrować się na rzeczach, którymi w Polsce mogliśmy się pochwalić. Pytali o pracę, zainteresowanie kulturą, o to, co przywozimy jako prezenty. Następnego dnia zobaczyłyśmy siebie na szpaltach gazety Westdeutsche Allgemeine Zeitung. Odetchnęłam. Mówiąc o przywiezionych upominkach zapomniałam wspomnieć, jak to się odbyło. Wyjęłyśmy z Mamą wszystko, a w tym buteleczki wódki wyborowej. Przeprosiliśmy, że musimy je odkręcić i – ku wielkiemu ich zaskoczeniu – spod czterech korków wyciągnęłyśmy poutykane tam dolary. Towar tak pożądany i tak szczęśliwie przemycony. Muszę powiedzieć, że nie było tam wcale tak łatwo wymienić te dolary na marki, musiałam to zrobić w banku, bo o czarnym rynku, jaki działał w Polsce, nie miałyśmy co marzyć.

Oczekiwałam, że spotkanie Mamy z siostrą, ciotką Miłą będzie najradośniejszym momentem tego wyjazdu. Jechałyśmy z wujostwem starannie wyszykowane. Mama była bardzo zdenerwowana. Stanęliśmy przed ładnym domkiem na ulicy Tunnelstrasse 17, wokół wszystko wypielegnowane. W domu czekała już Miła z bliskimi. Obie siostry stały naprzeciw siebie, od wczesnego dzieciństwa nigdy się nie widziały, nie rozmawiały ze sobą, nie pisały listów. I nie były w stanie się porozumieć. To powitanie okazało się ich osobistą tragedią. Nakładały się na to Mamy przeżycia wojenne i ciotki dzieciństwo bez matki. Łzy, które wówczas popłynęły, nie były przejawem radości, ale niewyrażonego smutku i tragedii. Rozmawiały długo z pomocą kuzynki Mili i wujka. Życie pokazało, że ich drogi na dobre się rozeszły. Myślę, że ciotce było trudniej. Nie było mowy o dalszych spotkaniach.

W czasie pobytu u wujostwa byliśmy proszeni do wielu ich znajomych. Co zwróciło moją szczególną uwagę? U większości rodzin ściany obwieszane były rodzinnymi zdjęciami, także zdjęciami dziadków. A na tych fotografiach byli głównie mężczyźni w polskich mundurach. Większość tych rodzin to byli Polacy, którzy przed pierwszą wojną, a potem w latach 20. i 30. znaleźli pracę na tych terenach. Jedni sprowadzali żony, inni żenili się na miejscu i nie wracali już do

kraju. Ci żyjący jeszcze dziadkowie dobrze mówili po polsku, ale dzieci rozumiały już bardzo mało, a wnuki zupełnie nic. Mimo to czułam się wśród tych ludzi, jakbym była w polskim domu, bo też wiele zwyczajów jeszcze pielęgnowali.

Po trzech tygodniach wracałyśmy do domu do Warszawy. Zbliżało się Boże Narodzenie. W Niemczech żegnały nas pięknie przystrojone miasta, migocące świecidełkami i lampkami choinek ustawianych na placach. I te pięknie udekorowane wystawy sklepowe! W pociągu, który nas wiozł, znów nie widziałyśmy zbyt wielu pasażerów. Nie pamiętam też, aby kontrole celne jakoś specjalnie nam dokuczały. Już w NRD było szaro i smutno, nie czuło się nadchodzących świąt. Tylko Berlin Zachodni – rozświetlony – migotał tysiącami lamp świątecznych. Warszawa grudniowym rankiem także nie powitała blaskiem świateł. Dzień był pochmurny i zimny. Wracałam do rzeczywistości. W oczach stale mam widok i wspomnienie, jak to było tam już w 1965 roku, a jak u nas.

1 Skrót od United Nations Relief and Rehabilitation Administration – Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy. Założona w 1943 roku, miała na celu niesienie pomocy na obszarach wyzwolonych spod okupacji niemieckiej w Europie i japońskiej w Azji. Główna działalność UNRRA polegała na dostarczaniu do zrujnowanych krajów artykułów pierwszej potrzeby, takich jak żywność i leki. Większość darów pochodziła ze Stanów Zjednoczonych; głównymi ich odbiorcami były Polska i Chiny.



Na ćwiczeniach przysposobienia obronnego (jestem druga od prawej)

Na



Moje zdjęcia

do legitymacji szkolnych z gimnazjum i liceum



Konfirmacja

– w murach kościoła św. Trójcy przy pl. Małachowskiego, 1 czerwca 1947 roku



Konfirmacja, 1 czerwca 1947 roku



Konfirmacja, 1 czerwca 1947 roku





Wisła Głębcze. Z Mamą



Matura. Maj

1948 roku. Siedzę pod drabinkami w drugim rzędzie



Tata na początku lat 60. na jednej z uroczystości w cechu rzemiosł drzewnych



Mama w tych latach



Wisła Głębcze. Z Basią Wyrzykowską



Szkoła Główna Planowania i Statystyki, pierwszy rok studiów. Po prawej: Urszula Wojciechowska

# Die Schwestern sprechen nicht die gleiche Sprache

## Ein Wiedersehen nach fünfzig Jahren — Der Cousin spielt den Dolmetscher

Emilie Schulte, Tinseltstraße 17, und Anna Milewska, Warschau sind Schwestern. Trotzdem sprechen sie verschiedene Sprachen, und in ihren Pässen stehen unterschiedliche Einreisegestattungen. Vor fünfzig Jahren haben sich die beiden Frauen — sie sind heute 55 und 59 Jahre alt — zum letzten Mal in Warschau gesehen. Jetzt taufen sie sich in Gladbeck wieder.

Unterschieden können sich die beiden Frauen nur, wenn Cousin Michael Rieske, Münsterstraße 16, oder seine Frau die Rolle des Dolmetschers übernehmen. Das ist für die Schwestern zwar traurig und kompliziert, bringt aber auch lustige Anecdotes und viele Überraschungen mit sich.

**ERSTER EINDRUCK**  
Das erste Bild, das Anna Milewska und ihre Tochter, die sie auf dieser Wiedersehensreise begleitet, von Deutschland bekamen, vor ausgeprochen kühl. Nicht, weil damals der Schnee fiel — in Warschau lagern bei ihrer Abreise bereits 20 Zentimeter Neuschnee — sondern weil die Heizung des

D-Zuges Mooka-Warschau-Paris versetzt. Hier gefroren Kletterer, die heute am Dienstag gegen 8 Uhr in Essen aus ihrem Abteil. Inhaberg hatten die beiden Schwestern Briefe gewechselt. Dabei bestanden die glühenden Verständigungsversuche wie jetzt im persönlichen Gespräch, die eine beherrschte die polnische Sprache, die andere kann kein Deutsch.

**INITIATIVE DES COUSINS**  
Als achtzehnjährige Mädchen reiste Emilie Schulte mit ihrem Cousin und ihrer Cousine, Emilie und Michael Rieske, einmal nach Gladbeck. Jetzt regte der Cousin den, daß die Schwester zu einem Be-

such nach Gladbeck kommen konnte. Er schickte 300 DM Fahrpreis, die Frau in seiner Wohnung auf.

Schon lange war ein solches Wiedersehen geplant, aber weder Emilie Schulte noch Michael Rieske hatten das notwendige Geld. So wurden Fäße, geschneidert, verworfen, wieder aufgeweckt in all der Zeit blieb es bei Dilemma und Fatale.

Wie lange die letzte Begegnung mit der Schwester zurückliegt, merkte Emilie Schulte an beiden an ihrer Nadel, die inzwischen schon mit einem polnischen Juwelier verarbeitete ist.

**DIE NICHT STIMMEN**  
Henryka Chalupa, die noch in Warschau studiert, um eines Tages Doktorin einer Baufirma zu werden, spricht Englisch und Englisch, aber kein Deutsch. Vielleicht kann sie es — nicht wörtlich — aber dem Sinn nach.

Emilie und Michael Rieske haben sich in Warschau kennengelernt. Lange Zeit lebten sie als Deutsche in Polen, wurden dann nach Holland und Deutschland verschifft, kehrten nach Polen zurück und blieben schließlich bei ihrem Bruch 1940 in Gladbeck.



Topfüber kann Emilie Schulte nicht bei (von links) Anna Milewska, Emilie Rieske, Henryka Chalupa und Michael Rieske sein, weil sie berufstätig ist. (WAZ-Bild: Heesmann)

# Zehn Bäume für das Stadtgebiet

## Tannen aus dem Sauerland — Mit elektrischen Kränen

Alle Jahre wieder bereitet sich der Stadliche Gartenamt auf das Weihnachtsfest vor. In diesem Jahr werden zehn große Christbäume im Stadtgebiet Gladbecks aufgestellt.

Die Bäume, die zusammen 600 DM kosten, sind bereits Sonntag zum zweiten Adventsonntag verteidigt — zwei am Hauptplatz und je ein Baum am Obertor, am Bahnhof West, vor der Sporthalle in Zwickel, an der Kreuzung Höhe- und Kirchhofweg, Straße „am Gemeindefeld“ am Markt-

**Unerwartete Ausgaben**  
Nehmen Sie eine **KLEIN KREDIT** bis zu 2000,- DM  
Wenn's um Geld geht



**Zu wenig Pferde**  
Als Ministerpräsident Dr. Meyer Gladbeck besuchte, wie Politzinspektor Hennes darauf hin, daß die

Artykuł z 26

listopada 1965 r. opublikowany na lokalnych stronach Westdeutsche Allgemeine Zeitung. Od lewej: moja Mama - Anna Milewska, ciocia Emilia Rieske, ja i mąż cioci, wuj Michał Rieske

===AGEKfw9mCWcIKF9/L0M2RSpJM0+WzdZMB4+dzMTJBwqEyoSIQ===

## Część 4. Podróże, czyli jak sprawdziła się wróżba

\* \* \*

Dopiero z perspektywy czasu uświadamiamy sobie, jak szybko mijają lata. Po szkole rok za rokiem upływały prędko. Czasy były różne. Raz lepsze, raz gorsze. Szczególnie bolesne były wydarzenia związane z niepokojami społecznymi. Publicystyka historyczna i polityczna dotycząca tego okresu jest bardzo szeroka. Jednak życie toczyło się swoim rytmem: praca, dom.

Jako dorosła kobieta nie wracałam myślami do dnia matury i wróżby pani dyrektor mojej szkoły. O dalekich podróżach nawet mi się nie śniło. Mogły mieć miejsce jedynie sporadyczne wyjazdy. Nawet wiele lat po wojnie daleki świat był dla nas, Polaków, niedostępny. Wyjazdy do krajów ościennych zaczęły się dopiero od lat 70. ubiegłego wieku, kiedy to w ramach zwiększenia swobód wprowadzono tak zwane wkładki paszportowe i książeczki walutowe, służące do rejestrowania przyznanych walut. Z tymi dokumentami wyjeżdżaliśmy do krajów socjalistycznych, tzw. demoludów. Co ciekawe, dzieci w owych czasach były przypisane do matki i razem z nią figurowały na zdjęciu we wkładce paszportowej. Wyjazdy naszej rodziny ograniczały się do wypoczynku w krajach bloku socjalistycznego: Bułgarii i Rumunii, czy bliżej w Czechosłowacji i na Węgrzech. Większe emocje towarzyszyły wyjazdom do Jugosławii i – bardzo jak na te czasy egzotycznym – wyjazdom do Algierii. Nie kojarzyłam ich wówczas z naturalną przepowiednią.

A jednak wróżba się sprawdziła. Do dziś odwiedziłam blisko 50 krajów na prawie wszystkich kontynentach. Do wielu wracałam kilkakrotnie, a w Niemczech i Iraku spędziłam 15 lat życia.

Patrząc wstecz, wojaże z Polski do innych krajów bloku socjalistycznego wspominam z rozbawieniem i rozrzewnieniem, bo w owym czasie warunki zmuszały turystów do podejmowania zdumiewających wysiłków i działań. Nie będę przy tej okazji pisać o zabytkach, muzeach, krajobrazach i innych wspaniałościach cieszących oko zwiedzających. Opowiem o tym, co zabawnego mnie spotkało i co zaskoczyło; jaki urok miały te podróże. Wspomnienia ograniczę do czterech epizodów związanych z tymi wyjazdami.

### **Handel w Bułgarii**

Epizod pierwszy łączy się z Bułgarią. Oczywiście pieniędzy na książeczkę walutową było mało, za mało. Wystarczało zaledwie na pokrycie kosztów paliwa. A co z drobnymi zakupami czy przyjemnościami? Co z pójściem do kawiarni, na lody, a nawet – z napojami na plaży? A przecież marzyło się też o wycieczkach do najciekawszych miejsc w danym kraju. Kwitło więc w owych

czasach doradztwo najbliższych – jak by się tu urządzić, żeby tych pieniędzy na wyjeździe starczyło. Zrobiliśmy, jak nam doradzono. A więc: bagażnik trabanta wypchaliśmy różnoraką bielizną, ręcznikami, ścierkami tudzież – za namową znajomych – dwiema złocistymi welurowymi kapami. Idea była oczywista: po przyjeździe na miejsce trzeba zamienić kapy, ręczniki i ścierki na gotówkę, i tym sposobem spędzić wakacje w rozsądnych warunkach. Tak zapakowani minęliśmy przyjazną Słowację. Droga przez Węgry okazała się męką, bo zła mieszanka paliwowa wlana do dwusuwowego trabanta sprawiała, że co kilkadziesiąt kilometrów na naszym gaźniku osiadał tzw. kagan i samochód nie ciągnął. Po jakimś czasie mąż mój nabrał takiej wprawy w naprawianiu gaźnika (czyszczeniu), że gaźnik zaskakiwał i ruszaliśmy dalej. Przejazd przez Rumunię w tych czasach też dawał sporo emocji, zwłaszcza w nocy. Na szosach w wielu miejscach – i to nie tylko na poboczu – stały wozy koczujących tam Romów, którzy w owych czasach takie właśnie mieli zwyczaje, żyli bardzo swobodnie. Wrażen nie brakowało też, gdy zostaliśmy zmuszeni do zatrzymania się w pewnym małym miasteczku, bo zaczęły się kłopoty z chłodnicą. Zaraz zgromadziło się kilkunastu mieszkańców, w tym liczne grono dzieci. Znalazł się i majster do naprawy. Towarzyszył temu wielki gwar zebranych wokół nas i gromkie wołanie aqua destilata, aqua destilata. I po chwili zobaczyłam chłopca taszczącego w wielkim słoju ową aquę destilatę. Po naprawieniu chłodnicy i jej napełnieniu szczęśliwie ruszyliśmy, a leżące w bagażniku, zabrane z Warszawy upominki, bardzo się przydały jako podziękowanie za okazaną nam pomoc.

Docieramy na miejsce. Mamy Złote Piaski, piękne plaże i wspaniałe słońce. Wypoczynek wymarzony. Lecz po kilku dniach zaczęliśmy się niepokoić – bo jakoś nikt nie pytał, czy mamy coś do sprzedania – a przecież bez tego handlu zabrakłoby nam pieniędzy na podróż. Okazało się też, że żyłki do handlu żadne z nas nie ma – ani ja, ani mąż. Źle. Aż tu nagle na plaży spotykamy przyjaciół ze Słowacji, Joża i Perlę Bzochów. Radość wielka, powitania, a po jakimś czasie Perla chwali się swoimi sukcesami handlowymi. Natychmiast korzystam z tej wiadomości i błagam ją, by mi pomogła w tej sprawie. I tak, dzięki talentom Perli, zdobywamy cudowne lewa na wydatki. Jednak, ku naszemu strapieniu, w bagażniku wciąż leżą te nieszczęsne złote, welurowe kapy. A więc: Neseber. To miało być to zaczarowane miejsce, w którym, wedle porad znajomych, mieliśmy sprzedać ten złoty zakup – rzekomo każdy miał tu czekać na pojawienie się samochodu z towarem. Rankiem wyruszamy. Upał ogromny. Neseber – cichy, śpiący, na ulicach ani żywej duszy. Chodzimy tu i tam. Nic. Zwiedzamy miasteczko, które kryje wiele pamiątek po dawnych czasach, unikatowe stare budynki, budynki cerkwi. W nielicznych otwartych kafejkach nie ma gości. Na skrzyżowaniu ulic spotykamy rybaka, który obwiesił drzewo rybami z rannego połowu i zachwala do kupna. Odmawiamy. Nikt nas o nic nie pyta, a sami jakoś nie

umiemy nikogo zaczepić. Trudno. Wracamy do domu wczasowego. Złote kapy wciąż tkwią w bagażniku.

W tym czasie moim najulubiejszym miejscem, gdzie każdego dnia spędzałam chociaż godzinę, był wyjazd pod tak zwaną rurę, do pobliskiej Drużby. Było tam wzniesienie, pagórek, z umieszczonej w nim rury tryskała gorąca źródłana woda o leczniczych właściwościach. Miejsce to musiało być znane okolicznym mieszkańcom, a od nich też zapewne rozeszły się wici do turystów. Każdego dnia wokół rury z leczniczą wodą gromadziło się wielu mieszkańców i wielu z nas turystów, którzy już wiedzieli o tym miejscu. Spadająca z góry źródłana woda jak cudowny wodospad tworzyła na dole liczne źródelka, wokół których rozsiadali się ludzie, trzymając nogi w wodzie, a dzieciaki pluskały się. Ale najrozkoszniejsze było dostać się po kamieniach w górę, skąd z rury waliła w dół woda. Ja wpychałam się tam zawsze, a woda smagała jak bicz. Wspaniała, superciepła, orzeźwiająca od góry po stopy. Pod tym naturalnym prysznicem mogłabym stać bez przerwy. Uwielbiałam korzystać z tego naturalnego źródła leczniczego, a przy tym patrzeć na kłębiący się tłum przeciskających się, ciągle wymieniających się ludzi. Niestety, kiedy po kilku latach zawitałam do Drużby i chciałam wrócić pod moją rurę, już jej nie zastałam – w niedalekiej odległości zbudowano tam basen, do którego trafiała teraz cała woda z rury. Wejście za opłatą. Zostało nudne moczenie lub powolne pływanie w gorącej wodzie basenu. Z jego dobrodziejstw korzystali już tylko turyści, z miejscowej ludności – nikt. Znikła rura, a z nią urok tamtego miejsca, cudowne biczowanie całego ciała i niespotykana atmosfera. Miejsca pełnego ludzi: starszych, młodych, cała mozaika miejscowych mieszkańców. Szkoda.

No cóż, w tamtym czasie nawet tłok pod moją ulubioną rurą nie sprawił, że pozbyliśmy się złotych kap. Nadszedł czas powrotu do domu, tymczasem nasze kapy wciąż zajmowały poczesne miejsce w bagażniku. Zmierzając ku granicy, zboczyliśmy nieopatrznie z trasy i wjechaliśmy do małego miasteczka położonego wśród piętrzących się wokół gór. Stanęliśmy na chwilę, aby odpocząć i spytać o dalszą drogę. A tu niespodzianka. Momentalnie otaczają nas przyjaźnie nastawieni mieszkańcy; mężczyźni pytają, czy mamy kłopot z samochodem, a kobiety zaglądną do środka i pytają, czy mamy coś do sprzedania. Otwieramy bagażnik. Złote kapy w sekundę trafiają do rąk pań, które już je rozciągają, oglądają i przynoszą pieniądze. Chce i ta, i tamta. Kłopot i szczęście. Wyjeżdżamy po sutym posiłku, w portfelu mając dużo lewów na zakupy. W sklepie przed granicą wydajemy resztę pieniędzy. Tym razem bagażnik wiezie pliskę, wino i różne suveniry dla przyjaciół.

### **Peregrynacje jugosłowiańskie**

Epizod drugi wiąże się z Jugosławią. Należała ona wówczas do

najatrakcyjniejszych wakacyjnych destynacji. By tam wyjechać, potrzebne były dolary, gdyż tylko one mogły zostać wymienione na jugosłowiańskie dinary. Przydział po wielu staraniach był niewielki, ale uważaliśmy, że na krótki pobyt nam wystarczy. Aby przetrwać zaplanowany urlop, wypełniliśmy bagażnik słoikami z gulaszem i innymi potrawami z mięsem. Do tego – zgodnie z poradami, zapakowaliśmy kaszę gryczaną i ryż. W bagażniku swoje miejsce musiał znaleźć namiot, butla z gazem, kuchenka, a także mały komplet naczyń. O spaniu w motelach nawet nie marzyliśmy. Trochę dolarów mieliśmy schowanych i wieźliśmy w zakamarkach ubrań dla ewentualnego zabezpieczenia się w trudnej sytuacji.

Po przekroczeniu granicy jugosłowiańskiej zdawało nam się, że wjeżdżamy do innego świata. Mając pełen bak benzyny, nie zatrzymywaliśmy się nigdzie. Mijaliśmy po drodze wsie i małe miasteczka. Dopiero w Nowym Sadzie skończyło nam się paliwo. Pojechaliśmy więc na stację zatankować. Gdy weszliśmy do sklepu przy stacji naszą uwagę przykuł sznur butelek ustawionych na półkach. Coca-cola – napój niedostępny w naszym kraju. Od razu kupiliśmy i wypiliśmy, zachwycając się jej orzeźwiającym smakiem. Ach, jaki wspaniały! Mocno schłodzony napój gasił pragnienie i dodawał energii. Kupiliśmy kolejną butelkę, by wypić więcej i ugasić pragnienie. Zaczęliśmy się zastanawiać, dlaczego u nas stworzono taki fetysz tego napoju i czemu jest zabroniony, jak wiele innych rzeczy. Dalej w sklepie spostrzegliśmy automat z lodami. Podobno to lody „włoskie”. Przyglądaliśmy się jak z automatu wychodziły wielkie kręcone kolorowe lody o różnym smaku. I też oczywiście kupiliśmy. U nas jeszcze takich nie było. Pełni wrażeń ruszyliśmy dalej, kierując się ku Belgradowi.

Przejeżdżając przez centrum Belgradu, minęliśmy parlament i kościół św. Marka. Na ulicach tłumy mieszkańców. Piękne sklepy. Nie zatrzymując się, mknęliśmy dalej. By dojechać do Sarajewa, musieliśmy przebić się przez masywy górskie. Nagle przed nami wyłoniła się spora polana, a na niej niewielkie zabudowania. Dalej ognisko i rozwieszona nad nim piekąca się jagnięcina. Zatrzymaliśmy się, pozdrowiliśmy gospodarza, a ten zaprosił nas do siebie. Skorzystaliśmy z możliwości umycia się. Ale też otrzymaliśmy zaproszenie do skosztowania dopiekającego się już jagniętka. Smakowało wybornie. Pierwszy raz kosztowałam takiego przysmaku. Wokół panowała cisza i spokój. Pamiętam, że było bardzo gorąco. Niestety, czas naglił. Musieliśmy ruszać, by przed wieczorem dotrzeć do Sarajewa, gdzie mieliśmy zaplanowany postój.

Znaleźliśmy kemping, a że było późno, zdecydowaliśmy się wynająć jednak bungalow. Wspaniale, że nie potrzebowaliśmy tej nocy rozbijać namiotu! W bungalowu było wszystko, co potrzeba, a po nocy wstaliśmy doskonale wypoczęci. Było to pierwsze większe miasto, w którym zatrzymaliśmy się na zwiedzanie. Ruszyliśmy na ruchliwe uliczki Sarajewa. Zajrzeliśmy na tamtejszy bazar. W



Sarajewie większość mieszkańców to wyznawcy islamu. Dlatego naszą uwagę skierowaliśmy na zabytkowe meczety. Zapamiętałam mały cmentarzyk z oryginalnymi nagrobkami ulemów przy jednym z nich.

Następnego dnia wsiedliśmy do auta i skierowaliśmy się ku Adriatykowi, który był celem naszej podróży. Przed zmierzchem dojechaliśmy do Makarski, gdzie znaleźliśmy polecany nam wcześniej kemping. Gdy tylko wjechaliśmy, dostrzegliśmy zatrzęsienie namiotów. Było niezwykle tłoczno! Usłyszeliśmy, między innymi, głosy wypoczywających tu Polaków. W budynku, gdzie znajdował się bar, wszystkie stoliki były zajęte. Harmider był niebywały. Gdziekolwiek spojrzeć – przy barze, przy stolikach, wszyscy smakowali tutejszej rakiji. Doszliśmy do wniosku, że trudno tu będzie znaleźć dogodne miejsce na rozłożenie namiotu, zwłaszcza, że podróżowaliśmy z małym dzieckiem. Wyjechaliśmy więc dalej, w kierunku Splitu, i w niedalekiej odległości, w miejscowości Baška Voda natrafiliśmy na hotel, a przy nim wielką reklamę, informującą o kempingu. Tym razem namiotów było niewiele. Prędko się rozstawiliśmy. Okazało się, że nasz kemping miał piękne zaplecze: kuchnie, w których stały kuchenki elektryczne, sanitariaty, a także liczne prysznice i umywalki. Trafiliśmy znakomicie. Nie było jednak baru! Aby cokolwiek kupić, trzeba było iść do sklepu w hotelu. Za to dostęp do morza i plaży był znakomity, z czego korzystaliśmy każdego dnia. Na kempingu było bardzo bezpiecznie, bo był pilnie strzeżony. Robiliśmy stąd wypadki do Dubrownika, Splitu, Szybeniku. Miasta urokliwe, pełne starych budowli. A ich urok potęgował jeszcze widok na przepiękny Adriatyk pełen przepływających nim statków i łodzi. Wszystko skąpane w słońcu.

Już sama jazda Autostradą Adriatycką, zwaną Autostradą Słońca, była wielką przyjemnością. Bo takich dróg u nas w Polsce nie było.

Był wrzesień, piękna pogoda, ale nadszedł w końcu dzień jej zmiany. Gdy nagle z Gór Dynarskich dotarł do nas huragan, całą noc musieliśmy trzymać podpory namiotu, by się nie wywrócił. Rano lało jak z cebra. Postanowiliśmy więc, podobnie jak i inni wycieczkowicze, że czas wracać. I tak nadszedł czas powrotu do domu po wyjeździe pełnym wrażeń, a szczególnie tych, związanych z pierwszym w życiu łykiem coca-coli.

### **Niezwykła Algieria**

Epizod trzeci dotyczy Algierii. W tamtych czasach wyjazd do Algierii stanowił wielką atrakcję. Należałoby przypomnieć, że w latach 70. ubiegłego wieku Algieria utrzymywała z Polską nie tylko bliskie kontakty polityczne, ale współpracowała na wielu płaszczyznach – między innymi w budownictwie. Tak zrodził się pomysł zorganizowania wyjazdów wypoczynkowych dla pracowników tego sektora: algierskich – do Polski, polskich – do Algierii. W 1979 roku zgłosiłam się na taki wyjazd. Warszawskie przedsiębiorstwa budowlane postawiły

do dyspozycji Algierczyków swoje ośrodki nad jeziorami mazurskimi, w górach i nad morzem. My mieliśmy wypoczywać w ich ośrodkach. Samolot pełen gości z Algierii wylądował na lotnisku w Warszawie. Stąd rozjechali się po całym kraju. Nasza grupa wyruszyła późnym latem, we wrześniu. Samolot wypełniony po brzegi wylądował w stolicy kraju, Algierze. Z lotniska autobusami przewieziono nas do ich kurortu – Tipasy nad Morzem Śródziemnym. Już od pierwszego momentu ośrodek nas zachwyił. Okazało się, że jest to ogromny kompleks turystyczny Tipasa Village. Część gości ulokowano w hotelu, a innych w bungalowach w niedalekiej odległości od niego. To, co od razu rzucało się w oczy, to biel budynków i piękno architektury. Tipasa, położona kilkadziesiąt kilometrów od Algieru, to idealna miejscowość wypoczynkowa.

Dostaliśmy pokój w hotelu, bo o taki prosiliśmy. Okazało się, że był wyposażony we wszystko, co niezbędne, a przede wszystkim w urządzenia klimatyzacyjne, tak przydatne w tym kraju. Niezwłocznie, mimo zmęczenia, rozpakowaliśmy nasze walizki i poukładaliśmy na półkach wszystkie rzeczy, aby jeszcze przed kolacją przejść się po rozległym terenie, na którym stały budynki hotelowe i szeregi bungalowów.

I tu mała dygresja. Przed wyjazdem zebrano uczestników wycieczki, by poinformować wszystkich, gdzie będziemy, jakie czekają nas warunki, o przewidywanych imprezach itd. W końcowej części spotkania, ku rozbawieniu wszystkich, zalecono nam, abyśmy zaopatrzyli się w różne artykuły, takie jak: żelazka, suszarki do włosów, golarki, młynki do kawy i inne drobiazgi, niezbędne w powszechnym użytkowaniu. Oczywiście musiał to być sprzęt elektryczny. Na koniec zaznaczono delikatnie i tak jakby mimochodem, że nie musimy tego przecież przywozić z powrotem do Polski, bo na miejscu znajdą się chętni, by te rzeczy od nas odkupić. Była to dyskretna wskazówka, jak zdobyć dodatkowe dinary ponad przydzielone nam dewizy. Trzeba zaznaczyć, że brak środków finansowych zawsze był frustrujący, a nawet upokarzający, podczas zagranicznych wypraw, jako że przydzielane dewizy okazywały się zbyt skromne, nawet przy niewielkich potrzebach. Ukrywanie wywożonych pieniędzy stanowiło natomiast wielki stres, bo mogło powodować różne kłopoty. Oczywiście z zaleceń dla wycieczkowiczów skorzystaliśmy w pełni.

Po małym spacerze wróciliśmy do pokoju, gdzie spotkała nas niespodzianka. Na obu naszych łóżkach leżały poukładane równiutko rzeczy, które wcześniej włożyliśmy do szafy. Po chwili zjawily się dwie panie i oświadczyły, że wszystko to chcą od nas kupić, podając jednocześnie, ile mogą nam za to zapłacić dinarów. I że wezmą te produkty, jak tylko damy im zielone światło. Cała transakcja odbywała się za pomocą gestów, wśród uśmiechów i w dobrej atmosferze. Prawda jest taka, że zgodziliśmy się na wszystko, bo cóż mieliśmy zrobić. A przy tym od razu dostaliśmy mały zadatek.

Wieczorami spotykaliśmy się z innymi turystami przy suto zastawionym długim stole. Każdego dnia czekały tam na nas znakomite potrawy miejscowej kuchni i po butelce czerwonego algierskiego wina. Wymienialiśmy się wrażeniami, informacjami o gościach i transakcjach prowadzonych w pokojach itd. Nie musieliśmy się o nic martwić. Tak w socjalistycznym obozie kwitł kapitalistyczny rynek...

Pobyt w tym kraju pozostał mi w pamięci na zawsze. Dlaczego? Bo po raz pierwszy zetknęłam się z życiem i obyczajami kraju arabskiego, jego architekturą. Zrozumiałam, jak różne są warunki życia na kontynencie afrykańskim. A ponadto miałam okazję przyjrzeć się, jakie piętno odcisnęła tu Francja, gdy kraj ten był od niej politycznie uzależniony, i co z tego pozostało. Był to rok 1979, a więc minęło zaledwie 17 lat od uzyskania przez Algierię niepodległości.

Pierwsze zetknięcie ze stolicą kraju – Algierem – było wielkim zaskoczeniem. Z okalających go wzniesień podziwialiśmy miasto i biel budynków, a także rozległe tereny parkowe z najpiękniejszym parkiem Jordan. Z dala, wzdłuż wybrzeża, widać było rozciągające się tereny portowe. Nasz podziw wzrósł, gdy zaczęliśmy przechadzać się ulicami miasta. Centrum zdominowane było przez europejską zabudowę. Wydawało się bardzo przyjazne, a dodatkowo zachwycało różnorodnością. Wśród wysokich palm piętrzyły się białe budynki rządowe, a wielki meczet lśnił w słońcu bielą. Nowoczesne budynki mieszkalne dobrze komponowały się z tymi w dzielnicach o starej zabudowie. Na rozległych placach i w wielu miejscach stały liczne pomniki. A wszystko to położone na wzgórzach... Oglądaliśmy też dzielnice z nowym budownictwem mieszkaniowym, ale te wyraźnie kontrastowały z centrum. A budynki były szare i o monotonnej architekturze.

Ulicami przelewały się tłumy mieszkańców. Tłok panował niebywały. Pierwszy raz, wmieszana w przeciskający się gęszcz mieszkańców, zetknęłam się z kobietami, szczególnie rzucającymi się w oczy, bo ubranymi w białe abaje. To tradycyjny strój wyjściowy kobiet. Robi wrażenie, zwłaszcza jeśli porówna się go do czarnych okryć kobiet w innych krajach arabskich.

W samym centrum intrygowała stara dzielnica, Kasba. Tu też było tłoczno. Przez bramę weszliśmy w wąskie uliczki. Idąc, posuwaliśmy się wzdłuż otwartych sklepów, w których zaopatrzyć się można było we wszystko, co tylko możliwe: w szczególności w tradycyjne rękodzieła mieszkańców. Zwiedzając możliwie dużo, co dało się zobaczyć, ze smutkiem konstatowaliśmy jednak, że tutejsze piękne chrześcijańskie świątynie popadają w ruinę. Ich drzwi były zabijane deskami i nie było możliwości odprawiania w nich nabożeństw ani nawet zwiedzania. Rodziło się pytanie: co czeka je dalej?

Tipasa to nie tylko kompleks turystyczny, ale też miejsce naznaczone panowaniem rzymskim. Od brzegu morza w głąb lądu po pagórkowatym terenie

ciągną się dawne ulice, ruiny obwarowań, kolumny po dawnych pałacach i zgłiszcza domów mieszkalnych. Z uwagi na bliskie położenie, było to częste miejsce naszych spacerów. Jadąc z Algieru do Tipasy zatrzymaliśmy się przed Grobowcem Królów Numidyjskich.

Ten kraj to dla mnie także pierwsza styczność z pustynią saharyjską. Na jej skraju – jakby u jej stóp – w Bu Sa'adzie, zbudowano (zapewne w okresie panowania francuskiego) przepiękny nowoczesny hotel, nawiązujący w stylu do architektury arabskiej. Pełna zieleni oaza, położona jest wśród kotlin pustyni, wypełnionych wodami podskórnymi. Na okolicznych wzgórzach witały nas całe rodziny małp, zaczepiających każdego, kto tylko obok nich przechodził. W miasteczku stale pozdrawiały nas dzieci: chciały rozmawiać, śmiały się. Mili byli także inni mieszkańcy. A gdy stało się na obrzeżach oazy, stało się tak naprawdę na wielkiej, rozciągającej się po horyzont, pustyni z mlecznym, drobnusieńkim piaskiem. Każda mała roślinka, która tu rośnie, ma wielometrowe korzenie. Żar płynący z nieba daje złudzenie fatamorgany. Wszystko w oddali jakby drga i faluje nam przed oczami...

Jak odmienne okazało się spotkanie z przyrodą w górach Kabylii. Droga była bardzo urozmaicona. Przejeżdżając przez park narodowy podziwialiśmy różnorodną roślinność i zwierzęta. Największym zaskoczeniem były małe żółwie, które spotykaliśmy przy drodze. Zatrzymaliśmy się na górskim bazarze, gdzie mieliśmy możliwość spotkania się z mieszkańcami okolicznych wiosek. Byli to Kabylowie berberyjscy, którzy przyjeżdżali na rynek sprzedawać swoje towary. Panował gwar. Każdy zachwalał swoje produkty. Mieszkańcy, naprawdę zainteresowani, pytali skąd jesteśmy. To spotkanie było dla nas wszystkich nie lada atrakcją. Tłumacz miał ręce pełne roboty. Każdy chciał skorzystać z jego pomocy.

Spotykaliśmy się z niesłychaną życzliwością, a jednocześnie każdy namawiał nas do tego, byśmy coś kupili. Więc kupiliśmy: figi oraz różne wyroby miejscowej ludności – małe dywaniki i charakterystyczne produkty garncarskie.

Tak dziwnie się składa, że podczas podróży, zawsze spotykały mnie jakieś niespodzianki. Tak było i w Algierii. W pewne piękne słoneczne popołudnie, w czasie wolnym, kiedy każdy odpoczywał we własnym zakresie, wyszłam na spacer. Przez rozległy teren przepływał wąski strumień, w owym czasie bardzo płytki. Prowadził przez niego mostek z poręczami. Stałam na tym mostku i patrzyłam na wolno płynącą wodę. Po chwili podszedł do mnie nieznajomy i zagaił po polsku. Powiedział, że jest na kontrakcie i trenuje drużynę piłkarską. Jego zespół rozegrał właśnie mecz towarzyski z jedną z drużyn algierskich. Był zaskoczony tak liczną grupą turystów z Polski. Wypytywał co w kraju, jakie mamy plany wycieczkowe oraz jak długo zostajemy w ośrodku. Żałował, że już za chwilę wyjeżdża. A na pożegnanie poprosił mnie, żebym przyjęła od niego talony, które pozwolą mi na zakupy w barze hotelowym. Prosił, bym nie odmawiała, bo on i tak już ich nie

wykorzysta, a szkoda, by się zmarnowały. Był to cały bloczek, jak się później okazało, sporej wartości. Podarunek zachowałam w tajemnicy. Nie powiedziałam nawet mężowi! Postanowiłam z niego skorzystać, zapraszając znajomych do baru na małego drinka. Oczywiście skorzystaliśmy z dostępnych tam lepszych napojów. Nastroje były znakomite. W barze zapłacałam talonami. Nie miałam z tym żadnych problemów. W pokoju padło pytanie: ile wydałaś? Odpowiedź była prosta. Spotkanie z nieznanym i prezent od niego przyniósł mi świetną zabawę.

W ostatnim dniu pobytu, gospodarze zorganizowali dla całej grupy spotkanie. Wprowadzono nas do sali, gdzie na długim stole pięknie przybranym, poustawiane były przysmaki kuchni algierskiej opartej na tradycji arabskiej. Przeróżne sałatki, jagnięcina, nadziewane wielorakim farszem pomidory, papryka i kabaczki wyglądały smakowicie. Do tego czerwone wino i przemyślane, nadzwyczaj słodkie desery. Był to wieczór wielkiej serdeczności i gościnności. Tak żegnali nas gospodarze.

Do kraju wróciliśmy pełni wrażeń, obładowani między innymi ogromną, tradycyjną, ręcznie robioną miedzianą tacą, zakupami z Kabylii, no i czerwonym winem. Na szyi miałam sznur złotej wielkiej słodkiej cebuli, z którą po raz pierwszy spotkałam się w Algierii, a której powszechnie używa się tu w kuchni. Nie mogłam sobie odmówić kupienia jej i przywiezienia do kraju.

### **Dramat Czechosłowacji**

Ale to epizod czwarty jest we wspomnieniach najważniejszy. I właściwie nie wiem, czy nie powinien być opisany jako pierwszy, ale zdecydowałam się go opisać na końcu. A zatem: późne lata 60. XX wieku obfitowały w Europie w ważne wydarzenia społeczno-polityczne. Rok 1968. W Polsce, w Warszawie przetaczają się w marcu wielkie manifestacje protestujących studentów. Na Krakowskim Przedmieściu ze schodów kościoła Świętego Krzyża widać tłumy młodzieży. Każdy zadaje sobie pytanie, co będzie dalej.

W 1968 roku dochodzi w Czechosłowacji do dramatycznych wydarzeń. Pamiętamy tragiczną interwencję rozpoczętą 29 lipca 1968 roku, ulice Pragi z czołgami, a później obraz z lotniska w Moskwie i prezydenta Czechosłowacji, Ludwika Svobodę, z siwiejącymi włosami targanymi przez wiatr. Nie boi się, jest wyprostowany. Wówczas nasza telewizja wiele pokazywała z tych wydarzeń. My w domu przeżywaliśmy to podwójnie z uwagi na więzy rodzinne, jakie mieliśmy ze Słowacją. Od bliskich nie dochodziły żadne wiadomości. Pod koniec września uprzytomniliśmy sobie, że na podstawie wkładki paszportowej i niewykorzystanych w pełni środków walutowych moglibyśmy wjechać do Czechosłowacji. Minęły już prawie dwa miesiące od interwencji radzieckiej (i polskiej) w Czechosłowacji. Zapakowaliśmy, co się dało, w naszego trabanta i ruszyliśmy ku granicy w Chyżnem. Przepuszczą czy nie przepuszczą –

zastanawialiśmy się? Na granicy straż graniczna wzięła przepustki, na chwilę zniknęła w budynku, ale przepuszczono nas i powoli ruszyliśmy szosą przed siebie.

Począwszy od Trsteny i dalej w głąb kraju, na wszystkich przydrożnych drzewach widzieliśmy przyklejone lub przywiązane plakaty, a na nich narysowane strzałki skierowane na wschód z napisem MOSKWA i dodatkowo „hod'te domov”, i wszędzie zamazane farbą napisy na tablicach: „so soveckym zviadom po večně časy”. Wisiały w tym kraju na wszystkich latarniach, a nawet na słupach przy drogach. Wiele z tych tablic zostało całkowicie zniszczonych.

Przy znacznym ruchu pojazdów, jaki tu zazwyczaj panował, teraz drogi były zupełnie puste. W mijanych miasteczkach żadnego życia, atmosfera jak po wielkiej bitwie, niemal katastrofie. Uświadomiliśmy sobie, jak bardzo w tym kraju wypadki interwencji radzieckiej odbiły się na życiu jego mieszkańców nie tylko w wielkich miastach, ale i w małych miastach i wioskach.

### **Irak – lata w oddaleniu**

Aż wreszcie przyszedł dzień 10 listopada 1983 roku. Najważniejsza podróż mojego życia, z pewnością – nie epizodyczna. Tego dnia wylądowałam na lotnisku w Bagdadzie, w Iraku, kraju, który na kilka lat miał się stać moim domem.

Podróż zaczęła się 10 listopada 1983 roku. Wsiadłam do wypełnionego po brzegi samolotu PLL LOT. Lecieli w nim głównie Polacy, którzy pracowali w Iraku na budowach. Było ciasno i duszno. Po kilku godzinach samolot miał międzylądowanie w Bułgarii. O ile dobrze pamiętam, w Burgas. Wszyscy musieliśmy wysiąść i udać się do terminalu, który wyglądał jak mały hangar. Zimno tam było okrutnie. Po mniej więcej dwóch godzinach zajęliśmy ponownie miejsca w samolocie, który nabrał już paliwa na dalszą drogę.

W Bagdadzie wylądowaliśmy o północy. W hali przylotów odbywała się kontrola celna i paszportowa. Bez kłopotów i dość szybko znalazłam się w hali, gdzie czekali już na mnie koledzy z biura Budimexu. W hali kłębił się tłum ludzi: Irakijczyków kobiet i mężczyzn, ale także Polaków z różnych kontraktów. Z uwagi na stan wojny z Iranem, wszystkie samoloty dalekiego zasięgu lądowały i startowały w godzinach nocnych. W każdy piątek, z małą różnicą, lądowały dwa samoloty: pierwszy irackich linii lotniczych, a potem nasz, z Warszawy. Irakijczycy, a w tym bardzo wiele kobiet, oczekiwali na samolot z Londynu, którym przylatywało wielu młodych ludzi. Zarówno bogate rodziny, jak i te mniej zamożne, wysyłały dzieci na zagraniczne studia. Na nasz samolot z Warszawy Polacy zjeżdżali na lotnisko ze wszystkich zakątków, w których pracowali. Drogą lotniczą przychodziły bowiem listy, na które wszyscy bardzo czekali. Ponadto samolotem tym wielu przylatywało do pracy, nieliczni w odwiedziny, a inni jeszcze wracali do kraju. W hali przylotów był taki gwar, że ledwo można było usłyszeć siebie.

Po niedługim czasie ruszyliśmy do hotelu, w którym miałam zamieszkać, póki nie znajdę mieszkania. Tę pierwszą drogę pamiętam do dziś, choć byłam potwornie zmęczona. Samochód sunął szeroką, równiutką autostradą. Dopiero po jakimś czasie w dali pojawiły się światła, wjechaliśmy do miasta i niebawem stanęliśmy przed hotelem. Nie powiem, by zrobił na mnie dobre wrażenie. Spodziewałam się zdecydowanie czegoś lepszego. Jednak limity obowiązujące polskie firmy pozwalały tylko na taki przybytek, z którego nasze biuro korzystało. Może nie pomyśleli, że przy małym wysiłku można było znaleźć coś lepszego. Miałam być pierwszą kobietą, która zajmie stanowisko kierownicze w biurze. I to stanowisko finansowe. A pieniądź w Iraku miał dużo większe znaczenie niż u nas, gdzie specjalnie nie liczone są koszty.

Byłam w Iraku, w kraju, którego niemal nie znałam, ale o którym wiedziałam tak wiele z lekcji historii i literatury. Byłam jego kulturą i obyczajowością zafascynowana, bo przylatywałam tu już wcześniej kilkakrotnie na krótkie delegacje. Teraz jednak miałam okazję poznać ten kraj od podszewki, poczuć jego klimat i duszę.

Pierwsze dni i tygodnie to była przede wszystkim praca. Przejmowanie obowiązków, zapoznawanie się z pracownikami i szczegółami kontraktów Budimexu. Od czasu do czasu wybierałam się na krótkie spacerunki nad pobliski Tygrys, okalający cały Bagdad. Chodziłam więc jego brzegiem, stały wzdłuż niego, przy pięknej alei, piękne, majestatyczne, patrzące na Bagdad figury wielkich myślicieli minionych czasów. Zrobiło się już chłodno, bo pod koniec listopada i na początku grudnia także w Iraku zaczynała się zima. Oczywiście nie tak mroźna jak w Polsce, ale chłód, wilgoć i wiatry były dość przejmujące i dokuczliwe. W tym czasie miałam już mieszkanie. Zdecydowałam, że zajmę domek na campie kontraktu o nazwie „100 inżynierów”. Uważałam, że będę tam bezpieczna. Bezpieczniejsza niż gdybym zamieszkała w jakimś wynajętym domu, w mieście, na które od czasu do czasu spadały pociski. Był to okres wojny między Irakiem a Iranem. Nie takiej wprawdzie, jakiej doświadczyłam w Europie w latach 1939–1945, ale też dającej o sobie znać. Dla pracowników tego kontraktu przewieziono z Polski kilkadziesiąt drewnianych domków wykonanych przez firmę Stolbud. Camp znajdował się na peryferiach miasta przy drodze prowadzącej do Bakuby na wschód od centrum Bagdadu. W domkach zamieszkali pracownicy, którzy mieli przez kilka lat obsługiwać sieć wodną stolicy Iraku.

Ten pierwszy okres to nie tylko fascynacja tym krajem, ale też dość trudne przeżycia. Wtedy po raz pierwszy doświadczyłam, jak ciężko jest być samej na obczyźnie, bez rodziny w czasie Bożego Narodzenia. Na dodatek do Polski wyjechali prawie wszyscy pracownicy mieszkający na campie, poza obsługą, a także koledzy z biura, licząc na to, że tym razem to ja będę prowadziła sprawy w okresie poświątecznym. Listopad i grudzień upłynęły mi na wyczerpanej pracy,

musiałam się zapoznać ze szczegółami zupełnie nowego dla mnie rynku i jak najszybciej wykorzystać wiedzę kolegi, na którego miejsce przyjechałam. To sprawiło, że nie tylko nie poznałam bliżej wielu pracowników, ale nawet nie zdążyłam zorientować się, kto w czasie świąt pozostaje w Bagdadzie. I tak przyszła wigilia, a ja zostałam sama. Nie miałam choinki, więc jako jej namiastkę postawiłam sobie w salonie tamaryszek. Według mnie wyglądał tak samo smutno jak i ja, choć go przystroiłam pięknie różnymi ozdobami kupionymi w sklepie i na suku (czyli targu) w Bagdadzie. Najpiękniejsze były lampki choinkowe wyglądające jak ptaszki. Wtedy właśnie się zorientowałam, że wielu mieszkańców Bagdadu to chrześcijanie, którzy również ubierają swoje bożonarodzeniowe drzewka. Tę samotną wigilię 1983 roku pamiętam do dziś. Był to najbardziej pamiętny dzień w moim życiu w tamtym czasie. Pierwszy i drugi dzień świąt upłynęły mi już trochę milej, bo wykorzystałam je na zwiedzanie miasta. Tu nie odczuwało się świąt Bożego Narodzenia, miasto tętniło innym rytmem – rytmem życia swoich mieszkańców w większości wyznających islam. Objechałam różne zakątki i zapoznałam się z drogami wyjazdowymi z miasta na północ, południe i zachód. W Iraku w tym czasie panował chłód, w te świąteczne dni pogoda niezbyt dopisywała. Jak się okazało, te dwa dni zwiedzania bardzo mi się później przydały.

Z początkiem marca przyszła wiosna. Piękna, ciepła, słoneczna. A zaraz po niej lato – gorące i upalne. Takie też były wszystkie kolejne wiosny i lata. Każdą wolną chwilę wykorzystywałam na zwiedzanie kraju i odkrywanie śladów jego fascynującej historii. Tutaj, w Iraku w każdym niemal miejscu można się natknąć na ślady starożytnych cywilizacji i poczuć, jak w dawnych państwach-miastach tętniło życie.

Niezwykłym miejscem jest Babilon<sup>1</sup>. To miasto w naszej wyobraźni pełne jest wiszących ogrodów i wspaniałych budynków, tymczasem powitało mnie obrazami przywodzącymi na myśl zburzoną Warszawę w lutym 1945 roku. A nawet gorszym. Brama Ishtar<sup>2</sup>, czy raczej zbudowana na jej wzór replika.

Przechodząc przez nią, wchodziłam do ruin starożytnego miasta. Tuż obok ślady drogi procesyjnej, którą według przekazów historycznych ciągnęły procesje podczas świąt religijnych. Teraz pozostałości tej drogi sprzed tysięcy lat to tylko resztki asfaltu, który wydobywano już w starożytności. To, co zostało z dawnej drogi procesyjnej wiodącej w głąb miasta, jest oczywiście zabezpieczone i nie wolno tym dawnym szlakiem chodzić.

Ta droga, podobnie jak i cały Babilon to miejsca zabytkowe. Ilekroć tu jestem, chodzę wąskimi uliczkami wśród ruin pozostałości budynków i oglądam je, jakbym była tu po raz pierwszy. Wiele tu pozostało po tym pięknym państwie-mieście. Na niektórych ścianach wyryto niegdyś wizerunki zwierząt. Ale to, co kiedyś pokrywała piękna niebieska ceramika, dziś nosi tylko ślady dawnej świetności. Zdobiące niegdyś mury postacie zwierząt czas odarł z piękna. W całym



mieście trwały zresztą prace konserwatorskie i rekonstrukcyjne. W oddali na niewielkim wzgórzu widać było, jak wznoszony jest pałac Nabuchodonozora II. Miał być odbudowany w całej swej świetności, ale wciąż jeszcze nie lśni piękną babilońską ceramiką. Naokoło więcej jest zwałów gruzu po zniszczonym mieście niż tego, co się z niego zachowało. Pozostało nam jedynie oglądać cegły, z których wybudowano te nieistniejące już domy.

Pośrodku miasta znajduje się niewielki plac, na którym stoi rekonstrukcja Iwa babilońskiego. Jest równie szarobrazowy jak otaczające go ruiny domów. Dopiero kiedy ogląda się prawdziwą bramę Ishtar w muzeum w Berlinie, można wyobrazić sobie prawdziwe piękno budowli tego miasta. Mam jednak czas, chodzę więc wąskimi uliczkami, dotykam murów i głaszczę widniejące na nich płaskorzeźby zwierząt. Dalej droga wiedzie prosto do Eufratu. Wokół brzegi pełne zieleni, wśród nich spokojnie płynie rzeka. Czas też leniwie płynie, tak jak ta rzeka – tyle tysięcy lat. A przecież wiele się tu wydarzyło. Wody Eufratu są błękitne, czyste i piękne. Widziały tyle historycznych zdarzeń, tułaczkę Żydów po wygnaniu z Jerozolimy, śmierć Aleksandra Macedońskiego. Tu też powstało tak wiele dzieł, których świetność nigdy nie minęła.

Siedząc samotnie nad rzeką, w pewien piątkowy piękny czerwcowy dzień przypominałam sobie podobny czerwcowy dzień 1948 roku i chwilę, kiedy to pani dyrektor Warchałowa wywróżyła mi, że przyjdzie czas, gdy będę podróżowała i wiele zobaczę. Pomyślałam, że jej słowa sprawdziły się co do joty. Bo komu w tych czasach dane było zwiedzać ten kraj, sławną Mezopotamię? Naprawdę niewielu. Wspomnienia lat szkolnych i wróżby mojej pani dyrektor wróciły do mnie nie tylko z powodu wyjątkowego uroku tego miejsca, ale też z pewnością dlatego, że otoczenie oraz moja samotność, fakt, że byłam oddalona od rodziny i kraju, sprzyjały przypominaniu sobie wielu zdarzeń z życia. Te z lat szkolnych akurat najdłużej się pamięta. Siedząc, rozmyślałam więc, a wody Eufratu płynęły spokojnie. Od tego czasu wszystkie moje przyszłe (i przeszłe) podróże wiążę z tą piękną wróżbą, którą usłyszałam w dniu mojej matury.

Wędrując po Babilonie, trafiłam na niewielki budynek, w którym spotkałam pracownika. Ku mojemu zaskoczeniu okazał się archeologiem nadzorującym prace wykopaliskowe i zabiegi rekonstrukcyjne w imieniu rządu. Moje zdumienie wzmożło się, gdy zrozumiałam, że ów człowiek świetnie mówi po polsku. Nic dziwnego – ukończył archeologię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Podczas spotkań z nim zawsze się czegoś ciekawego dowiadywałam. Dzięki niemu zobaczyłam oryginalną cegłę zdobioną niebieską majoliką, którą pokrywano pałace i budynki. Najcenniejsze znaleziska znajdowały się w muzeum w Bagdadzie. Często też zabierałam od niego listy, które pisywał do swoich przyjaciół w Polsce i naszą pocztą przekazywałam do kraju.

Bagdad i Babilon leżą w samym centrum starożytnej Mezopotamii. Słowo to

w starożytnej grece oznacza „międzyrzecze”. Nic dziwnego, płyną tu blisko siebie jedne z największych rzek Bliskiego Wschodu: Tygrys i Eufrat. Od tysięcy lat nawadniały one i wciąż nawadniają okoliczne tereny poprzez rozległe systemy irygacyjne. Przy nowych pracach melioracyjnych odkryto pozostałości starożytnych systemów nawadniania. Oglądam więc pobudowane przed tysiącami lat ceglane kanały i rowy prowadzone między rzekami. Nazwisko wielkiego budowniczego, który w tych odległych czasach budował system nawadniający, brzmi Iszaki i jest tu powszechnie znane. System ten od niepamiętnych czasów działa tak samo. Zmieniają się tylko materiały do jego budowy.

Wody Eufratu kanałami nawadniają pola, a zasolone wody odprowadzane są do Tygrysu, dzięki czemu ziemia może dawać tak obfite plony. Dla ochrony rzeki przed zasoleniem budowane są dodatkowo kanały odprowadzające zasolone wody. Latem można zobaczyć, że między rzekami ścielą się piękną zielenią wielkie pola uprawne zbóż, a także gaje palmowe, wśród których rosną pomarańcze, grejpfruty, mandarynki i granaty. Przechadzając się nad rzeką w ich pobliżu, napotkać można stare wielkie koła służące do nawadniania. Wprawiane były w ruch ręcznie, a umieszczone na nich naczynia wylewały wodę na pola i gaje, zaopatrując je w tak potrzebną w tym klimacie wodę. Do dziś robią wrażenie swoim ogromem. Stanowią piękny zabytek minionego czasu. Wciąż świecące słońce i woda dają rosnącym tu grejpfrutom i granatom słodycz, soczystość i niebywały smak. Okres lata przynosi też wspaniałe, ogromne, prawie dziesięciokilogramowe arbuzy. Ich nieprawdopodobny smak i czerwony kolor sprawia, że jada je się tu w dużych ilościach. Nie tylko zresztą owoce rodzi w wielkiej obfitości ta urodzajna ziemia. Na targu warzywnym w Bagdadzie można buszować między straganami całymi godzinami. Wielkie główki sałaty różnego rodzaju, wspaniała różnorodność pietruszki, słodkie jak miód pomidory i inne warzywa, których nie spotkałam w Polsce ani nigdzie indziej poza Irakiem, stanowią o bogactwie bagdadzkiej kuchni. Smak tych owoców i warzyw pozostał niepowtarzalnym wspomnieniem do dziś.

Hatra<sup>4</sup> wita nas pozostałościami swoich wspaniałych budynków. Wszystkie lśnią w słońcu. Po budowlach można poznać niegdysiejsze bogactwo tego miasta-państwa. Wśród kolumn widać pozostałości zabudowań: bramy północnej i zupełnie jeszcze dobrze zachowanych fragmentów murów świątyni. Większość postaci ludzi i zwierząt na murach budynków nie ma głów, jednak napotkać można zachowaną w całości statuetkę króla. Wokół jest pusto i cicho, a prażące słońce dobrze oświetla to, co jeszcze po tym imponującym mieście pozostało. Wystarczy sobie wyobrazić, jak tu mogło być parę tysięcy lat temu.

Resztki ruin podziwiać możemy także w miejscu, gdzie niegdyś stał pałac Aszura II w Nimrud, czyli Kalhu<sup>5</sup>. Wielkie postacie byków o ludzkich twarzach są tylko kopiami oryginalnych płaskorzeźb i posągów. Teraz tchnie tu pustką.

Tętniąca życiem Samarra<sup>6</sup> fascynuje i uwodzi. Pełno w niej dawnej historii,

ale też współczesności. Na placu dominuje piękny meczet ze złotą kopułą, wokół niego jest mnóstwo wiernych, mamy piątek, dzień świąteczny. W pobliżu wznosi się minaret. Okala go bardzo wąska krawędź, toteż śmiałków wspinających na jego szczyt nie ma zbyt wielu.

W niedalekiej odległości od miasta pozostały ruiny murów okalających ogromny meczet, w pobliżu stoi maleńki minaret. To już pozostałości po budowach z pierwszego okresu islamu. Wokół puste pola, czasem skupiska starych cegieł. Okres, w którym tętniło tu życie i ściągali wierni, minął przed wiekami.

Któregoś roku wczesną jesienią wybrałam się do Kurdystanu. Po drodze zatrzymałam się w Kirkuku, gdzie obsługą wybudowanej przez Japończyków cementowni zajmowali się Polacy. Praca była znakomicie zorganizowana. To, co mnie tam interesowało, to sprawy finansowe tego kontraktu. Korzystając z wolnego, świątecznego czasu, wybrałam się dalej na północ – do Erbilu i Mosulu. Po drodze zatrzymałam się na nocleg w miejscowości i hotelu o tej samej nazwie: Shaqlawa. Rankiem wyruszyłam w dalszą podróż. To, co rzucało się w oczy, to stroje mieszkańców mijanych przeze mnie miasteczek<sup>7</sup>, zwłaszcza mężczyzn. Ich spodnie, dosyć luźne w kroku, zwisały prawie po kolana, a dalej zwężyły się ku dołowi. Tu też łatwiej niż w innych miastach nawiązywało się kontakt z przechodniami. Kurdystan i jego mieszkańcy stanowią odrębną społeczność, walczącą o niepodległość. Ich kraj zadziwia urodą – cudownymi górzystymi terenami i doskonałym klimatem. Z racji stale panującego tu niepokoju i zamieszek, bezwzględnie tłumionych przez władze w Bagdadzie, poruszanie się po tej części Iraku nie zawsze było możliwe. Mimo to udało mi się tutaj dostać i trochę pozwiedzać. Chciałam zwłaszcza wybrać się w góry, na tyle daleko, na ile było to możliwe. Krajobraz jest tu też inny niż w Mezopotamii. Latem ciepło, a zimą pada nawet śnieg i można jeździć na nartach. Cóż, kiedy brakuje spokoju.

Góry powitały mnie piękną jesienną pogodą. Wyprawa nie była daleka. Idąc, trafiłam na wielką polanę. Przystanęłam i ujrzałam przed sobą las stojących w słońcu pięknych, ogromnych po przekwitnięciu ostów. Ich jasny słoneczny kolor wprost zachwycał. Pęk takich ostów zabrałam ze sobą i do dziś ozdobią one moje mieszkanie. Mimo upływu czasu dalej zaskakują swoim pięknem i niezwykłym kolorem.

Ten kraj to niezwykle miejsce z jeszcze jednego powodu. Nie tylko dlatego, że tu wśród ciągnących się wód Eufratu i Tygrysu leżały i leżą jedne z najżyźniejszych ziem, Mezopotamia, a na ich brzegach powstawały w starożytności wielkie cywilizacje. Otóż, miały się tu rozpocząć nasze ludzkie dzieje. Kierując się biegiem wód obu rzek na południe, dążymy do miejsca, gdzie według legend i zapisów w księgach miał znajdować się mityczny raj. Ogromnie ciekawiło mnie, by zobaczyć to miejsce, Al-Kurnę. Właśnie tu znajdujemy ogrodzony teren i tablicę z napisem w języku arabskim i angielskim: The holy Adam tree on this holy spot

where the Tigris meet the Euphrates. This holy tree of our father Adam grew symbolising the Garden of Eden on earth Abraham prayed hers two thousand years B.C. (czyli „To święte drzewo Adama znajduje się w świętym miejscu, gdzie Tygrys spotyka się z Eufratem. To święte drzewo naszego ojca Adama wzrastało, by być symbolem rajskiego ogrodu, w którym Abraham modlił się dwa tysiące lat przed naszą erą”). Nad tablicą wisi gablota, w której leży pień uschniętego drzewa. Ma ono symbolizować drzewo poznania dobra i zła. Jednak biblijny wymiar tego miejsca trudno dziś sobie wyobrazić, bo wokół stoją liczne zabudowania, dominuje współczesność. Tu też spotykają się i łączą wody Eufratu i Tygrysu, a potem płyną razem, tworząc rozlewisko Szatt al-Arab i wpadają do Zatoki Perskiej. Pozostaje patrzeć na nie i podziwiać, jak te wspaniałe, szerokie rzeki, wijąc się, biegną do ujścia w zatoce.

W niedalekiej odległości od rozlewiska spotkać można żyjących tu „Arabów błotnych” mieszkających na rozległych terenach wodnych, na których budują swoje domy. Wydobywają z dna rozlewisk błotną ziemię, na której stawiają wiklinowe domy w formie szałasów. Wokół w błocie żyją też tutejsze stada bydła, które od czasu do czasu wychodzą na placiki przed domami. Mieszkańcy poruszają się łódkami. Rozlewiska dzieli wielki wał z ziemi, można po nim nawet jeździć samochodem.

Znów w niedalekiej odległości przy drodze biegnącej od Zatoki Arabskiej w kierunku Nasiriji i Diwaniji można obejrzeć zabytek, świadectwo kultury ludów sumeryjskich na tych ziemiach. Jest to ziggurat w Ur (Uhr)<sup>8</sup>. Jednak w czasie, gdy tam byłam, turyści mieli wstęp wzbroniony. W okresie wojny poruszanie się zawsze jest utrudnione. Jadąc samochodem z Basry<sup>9</sup>, można było po drodze przeczytać informację, że trasa ta prowadzi do Ur, ale w niedalekiej odległości stoi żołnierz i zabrania wjazdu. Jest przedpołudnie, a słońce piecze niemiłosiernie. Na termometrze około 50 stopni Celsjusza. Wokół żywej duszy. Zaparkowałam samochód i wolnym krokiem podeszłam do żołnierza. Proszę, by mi pozwolił na dziesięć minut podejść bliżej, mówię, że jestem z Polski. Żołnierz rozejrzał się wokoło i pokazał mi ręką, że mam 5 minut. Biegnę pod wielki, wznoszący się samotnie wśród pustkowiec wysoki ziggurat. Gdy dotykam ręką budowli, przy której tak wiele się działo, ogarnia mnie niesamowite uczucie. Z historii wiemy przecież, że najprawdopodobniej jest to miejsce, z którego biblijny Adam wyprowadził swój lud, aby dojść z nim na ziemię Kaananu. Wtedy jednak wszystko wyglądało tu zupełnie inaczej niż dziś. Pisemne przekazy głoszą, że wody zatoki dochodziły niemal do świątyni. Rękoma przesuwam po ceglach zigguratu, które liczą parę tysięcy lat, i spoglądam w górę, by zatrzymać ten obraz na zawsze. Niestety, nie mogę zrobić zdjęcia, bo żołnierz prosił, bym nie brała ze sobą aparatu.

Wyjątkowych miejsc do zwiedzania jest tu wiele, ale wszędzie spotykamy

ruiny. Nikt tych zabytków nie oszczędzał: po pałacu w Ktezyfonie – pozostał jedynie wielki łuk świadczący o umiejętnościach budowniczych. Los nie oszczędził także warowni Al-Uchajdir, pobudowanej w VIII w., leżącej kilkadziesiąt kilometrów od Bagdadu. Wśród ruin wiele jej fragmentów wala się wokoło. Podniosłam kawałek z pięknej posadzki, z pozostałą jeszcze ornamentyką. Nikt nie zakłóca panującego tu spokoju, nie ma nikogo i nikt też nie pilnuje tego miejsca.

Choć Irak to nie tylko przeszłość, ale i tętniąca życiem współczesność, nie da się tu zapomnieć o czasach, gdy obowiązywały nauki Mahometa. Przypominają o tym liczne meczety, wzrok turystów przyciągają zwłaszcza te z pięknymi złotymi kopułami.

W Karbali pod złotą kopułą spoczywa syn córki Mahometa Al-Husajn, który zginął w walkach po śmierci swego dziadka. W mieście znajduje się też jeden z najpiękniejszych suków (bazarów). Wielkie wrażenie robi miasto An-Nadzaf, w którym można oglądać liczący setki, setki lat wielki cmentarz – najważniejszą nekropolię muzułmanów. Tu pragną być pochowani nie tylko Irakijczycy, ale też muzułmanie z innych krajów. Nawet gdy się spogląda na ten cmentarz ze wzniesienia, widać wprawdzie jego początek, ale nie sposób dostrzec końca, nekropolia ciągnie się bowiem wiele kilometrów w dal. Widok robi wielkie wrażenie, bo wszystkie nagrobki pobudowane w kolorze tutejszej cegły, zlewają się ze sobą w jedną brunatną plamę.

Po takich wypadkach zawsze chętnie wracałam do mojego irackiego domu. Sam camp i stojące na nim domki z zewnątrz robiły wrażenie dość pęsejne, bo wybudowano je w szczerym, pustynnym polu. Żeby nieco odmienić ten widok, wokół swojego domu zasadziłam tamaryszek i sitowie, ale wyglądało to mimo wszystko smętnie. Choć wkładałam w uprawę sporo wysiłku, nic nie chciało tam rosnąć, bo gleba była zasolona. Jednakże po wejściu do domku miałam swój prywatny raj. Drewniane ściany i meble, podłoga wyłożona wykładziną dywanową i chłodzący wewnątrz klimatyzator.

Kłopoty zaczynały się w porze deszczowej, jesienią, bo gliniasta ziemia nie przepuszczała wody. Zdarzyło się raz, że któregoś dnia zaczęło intensywnie padać, ulewa jak na złość nie chciała ustać. Padało bez przerwy w dzień i w noc, woda wokół domków z godziny na godzinę się podnosiła. Zaczęło być groźnie, a byłam przecież w domku całkiem sama. Przy tym żadnej możliwości porozumienia się z sąsiadami. Zaczęłam działać: wyjęłam pościel z łóżka i położyłam na stole. Ku mojemu przerażeniu przez drzwi do środka zaczęła wlewać się woda. Rozrabiałam mąkę z wodą, w takim kleju moczyłam ręczniki i uszczelniałam nimi wszelkie szpary, zwinęłam w rulony wykładzinę z podłogi – po jej zdjęciu okazało się, że na betonie pojawiają się już mokre plamy. Woda sięgała prawie do parapetów okiennych, a na to już nie miałam lekarstwa. Nie było też światła, nie działała lodówka ani klimatyzator. Pomyślałam wtedy, że tak pewnie musiał wyglądać

biblijny potop.

Robiło się poważnie. Co, jeśli dalej będzie padać? Nie miałam możliwości wyjścia ani schronienia się na dachu. Na szczęście, zanim doszło do katastrofy, deszcz w końcu przestał padać.

Po niedługim czasie koledzy pospieszyli z pomocą. A nazajutrz zaświeciło słońce i wszyscy zabrali się do porządkowania. Jak się okazało, jako jedna z nielicznych nie miałam w domu większych zniszczeń – pewnie dzięki temu pomysłowi z mąką, wodą i ręcznikami. Zdałam sobie sprawę z tego, że pod pewnymi względami mieszkanie w mieście byłoby dla mnie bezpieczniejsze. W jakiś czas po tym deszczu, jadąc drogą z Bagdadu w kierunku Nasiriji, ujrzałam pustynne pola zalane wodą sięgającą brzegów drogi asfaltowej. Takiej ulewy podobno dawno tu nie widziano.

Szczęśliwie było lato i wciąż można było korzystać z jego uroków. Gdy tylko miałam wolne, lubiłam wyrwać się z Bagdadu choć na jeden dzień. Nawet na pustynię. Zaskoczyło mnie, jak wiele niespodzianek może kryć to pozorne pustkowie. Wśród pustynnego piasku zobaczyłam pewnego razu wspaniałe, rozłożyste drzewo, całe okryte wspaniałymi kwiatami o złocistej barwie. Z kwiatów sączył się słodki nektar podobny do miodu. Stało tam jedno jedyne i samotne. Nie pamiętam jego nazwy, ale podobno w dawnych czasach było bardzo popularne na tym terenie.

Wiele wytchnienia dawał mi też wypoczynek nad brzegami pięknych jezior i zalewów, których było kilka w okolicach Bagdadu. Najchętniej korzystałam z zaproszenia kolegów z kontraktu Abu Ghraib i organizowanych przez nich wyjazdów nad zalew Tartar, gdzie wielu Polaków, a także Irakijczyków spędzało wolny czas. Rybacy łowili ryby, a podpływając do brzegu, wyrzucali je na brzeg. Ciekawostką, z którą spotkałam się w Bagdadzie, było na przykład to, jak w położonych nad brzegami Tygrysu restauracjach przyrządzano ryby: rozkrawano je przez grzbiet i od tej strony oczyszczano, a następnie półkami układano wokół rozżarzonego ogniska i tak pieczono. Gorące i pięknie udekorowane warzywami kładziono na półmiskach. Jadano je w ten sposób w restauracjach, ale można też było zamówić taki przysmak do domu.

W Bagdadzie zadziwiały mnie liczne kościoły chrześcijańskie – różnych odłamów tej religii pokazujące, jak wielkie były podziały znaczące tysiącletnią tradycję chrześcijaństwa. Kościółki małe i większe świątynie – katolickie, armeńskie ortodoksyjne, chaldejskie katolickie, protestanckie (także Adwentystów Dnia Siódmego), syryjskie ortodoksyjne i syryjskie katolickie – znajdują się przede wszystkim w centrum miasta. Ale wszędzie wokół piętrzą się głównie piękne meczety, w tym te najważniejsze ze złotymi kopułami lub z kopułami pokrytymi piękną seledynowozieloną ceramiką. Szkoda, że wejście do meczetów jest nam chrześcijanom zabronione. Chociaż – będąc w Damaszku w Syrii mogłam nie tylko

podziwiać przepiękny meczet Umajjadów, ale i z imamem tego meczetu w odpowiednim ubraniu go zwiedzać. Znajduje się tu grobowiec Jana Chrzciciela, przy którym stale się modlą mieszkańcy Damaszku. Ja także, dotykając grobowca, uklęknęłam i pomodliłam się. Wszędzie panuje cisza, skupienie i pamięć o historii tego miejsca.

W Bagdadzie tamtych czasów rzucały się w oczy również współczesne budowle. Nowoczesne hotele, budynki rządowe, Muzeum Bagdadzkie, budynek z panoramą bitwy pod Kadisiją, w której przedstawiono zwycięstwo wojsk arabskich nad perskimi w 638 roku, czy budynek uniwersytetu. Zachwycają też place z pięknymi pomnikami: Szeherezady, Ali Baby i czterdziestu rozbójników, pomnik Wolności. Najpiękniejszy z nich to pomnik zwany „Pękniętym Sercem Matki” w błękitnej ceramice o kształcie przepołowionego jaja. Wewnątrz, w jego środku stale palił się ogień, dookoła otaczały go wodospady. Pomnik ten miał wyrażać ból matek z powodu utraty synów na toczącej się wojnie z Iranem. Robił na mnie ogromne wrażenie.

Bagdad jest miastem bardzo pięknie położonym. W tamtych czasach tętnił życiem. Nad wijącym się wokół niego Tygrysem wieczorami spotykało się wielu spacerowiczów, a w środku miasta w parkach z fontannami można było wspaniale wypoczywać. Nowoczesne hotele, takie jak Sheraton czy International Hotel, posiadały wspaniałe galerie sztuki, gdzie malarze iraccy wystawiali swoje obrazy, a także wyroby ceramiczne wzorowane na starożytnej sztuce. Wielu artystów wystawiało też swoje obrazy w sklepach na Sadun Street czy Rashid Street. Cieszę się, że za poradą kolegi, pana Rahmana, Irakijczyka, zaraziłam się miłością do tej sztuki i kupiłam sobie na pamiątkę kilka obrazów. Te – jak je dziś nazywam „małe skarby” – są wspomnieniem czasów spędzonych w Iraku i Bagdadzie.

Bagdad mógł się też pochwalić pięknymi parkami, terenami zielonymi, gdzie w licznych kawiarniach i cukierniach piło się wspaniałą kawę, jadło smakowite ciasta i wyborne lody. Szokowała liczba sklepów z biżuterią – nawet wieczorową porą były czynne, jasno oświetlone i pełne klientów. Szkoda tylko, że to wszystko zakłócały odgłosy wojny – tak w samym mieście, jak i na frontach, gdzie toczyły się walki. Od czasu do czasu padały na Bagdad pociski, ale sama wojna toczyła się na terenach przygranicznych z Iranem.

Bliskie zetknięcie z rzeczywistością tej wojny przydarzyło mi się dość nieoczekiwanie, gdy wybierając się na południe do Basry, pojechałam drogą na Al-Amare, bardzo wygodną, dwupasmową. Ku mojemu zaskoczeniu po minięciu miejscowości Al-Kut i przejechaniu kilkunastu kilometrów zostałam zatrzymana przez patrol wojskowy, za którym stały pojazdy wojskowe, ogromne transportery załadowane czołgami, armatami i innymi pojazdami. Byłam przerażona i zaczęłam się tłumaczyć, że nikt mnie nie uprzedził, że jestem Polką i jadę w delegację, na budowę. O dziwo, żołnierz pokazał mi chorągiewką, abym szybko odjechała, i

dodał, że na całym odcinku autostrady nie wolno mi się zatrzymywać. Pędziłam więc jak szalona swoim samochodem, przejeżdżając w ten sposób więcej niż dziesięć kilometrów wśród stojących żołnierzy, wielu z nich machało do mnie przyjaźnie i mnie pozdrowiało. Tak dokonywało się przerzucanie wojsk z jednego frontu na drugi. Zaczynała się nowa ofensywa.

Tragiczny los mieszkańców kraju prawie co dnia przewijał się w opowieściach moich kolegów Irakijczyków, niektórych pełnych bólu po stracie bliskich. O wojnie opowiadały mi również znajome irackie kobiety. Skąd je znałam? Z kolejki. Wracając do domu po pracy, po przejechaniu kanału biegnącego wzdłuż Tygrysu, zwykle zatrzymywałam się przy niedużym placu, gdzie handlowali sklepikarze. Tamtejsze cukiernie pełne są znakomitych ciastek i wybornych lodów. Przy placu znajdowała się mała piekarenka, przed którą o tej porze zawsze kłębił się tłum kobiet. Piekarz lub jego pomocnik prosto z pieca sprzedawali gorące samunki. Było to cienkie mające kształt dłoni pieczywo z ciemnej mąki. Najtańsze, ale kupowane nie tylko przez najbiedniejszych, także i przez tych, którym wiodło się całkiem dobrze. Mnie to pieczywo również bardzo smakowało, taki chlebek rozdzierało się i wkładało do jego wnętrza wędlinę i warzywa – robiąc coś w rodzaju kanapki. Kupowałam zawsze dwie albo trzy sztuki, bo samunki były dobre tylko świeże, czyli w dniu upieczenia. Te kobiety przed piekarnią zaczęły mnie w końcu poznawać i czasem oczekując na samunki, prowadziłyśmy towarzyskie pogawędki. Trochę na migi, trochę po angielsku, a trochę po arabsku, bo zawsze miałam przy sobie mały słowniczek, zresztą cyfry znałam już dobrze i całkiem sporo słów. Kobiety te nieraz proponowały, żebym kupiła coś bez kolejki, ale wołałam trochę z nimi postać i „kolejkowo” porozmawiać. Zawsze, gdy się działo coś na froncie, niejedna miała łzy w oczach.

Jadąc samochodem drogą, często mijałam posuwające się wolno auta (przeważnie były to taksówki) z umieszczonymi na dachu małymi trumienkami żołnierzy, którzy zginęli w walkach na froncie. Wieziono ich do rodziny, aby tam obok swoich pochować. Niestety, tylko nieliczni wracali do bliskich. Zapewne tylko ci wyżsi rangą, bo większość żołnierzy spoczywała w pobliżu pola walk, z dala od swych rodzin. Pobyt w tym kraju, jego wspaniała przyroda, pozostałości po starożytnych miastach-państwach i ich cywilizacjach pozostanie na zawsze w mej pamięci. I tylko szkoda, że ciągle na skutek niepokojów jego mieszkańców dosięga trudny los.

## **Kuwejt**

Będąc w Iraku postanowiłam skorzystać z okazji, by poznać niektóre kraje z nim sąsiadujące. Na południu, u wybrzeży Zatoki Perskiej, Irak graniczy z Kuwejtem, ale granica przebiega też odcinkiem lądowym i tam znajdują się drogi przejazdu do obu krajów.



Kuwejt zrobił na mnie wrażenie państwa-miasta, bo jego nazwa symbolizuje i jedno, i drugie. Choć jest niewielkim krajem, to podzielony jest na kilka okręgów, a każdy stanowi inne skupisko ludności. Jadąc od granicy irackiej przez tereny pustynne, można dostrzec w oddali wieże i urządzenia, wskazujące na miejsca wydobycia ropy naftowej, której zasoby w tym kraju są do dziś znaczne i sytuują Kuwejt wysoko na liście krajów będących jej producentami. Na pustyni w wielu miejscach dostrzec mogłam rozstawione namioty. Jak mi później powiedziano, Kuwejczycy spędzają w nich czas wolny, wracają do tradycji życia na pustyni.

Stolica położona nad zatoką robi duże wrażenie z uwagi na górujące nad nią wieże, pałac panującej dynastii, szerokie ulice, ogromny ruch, ale i liczbę nowoczesnych meczetów. Warto wejść do budynków przy centralnych ulicach, w których wystawy w pasażach przyciągają najmodniejszymi strojami. Ale porównując je z Warszawą tamtych lat myślę, że Moda Polska ubierała nas jednak wspaniale.

Nie ma tu żadnych zabytków. Ale zapewne od lat niezmienny pozostaje w Kuwejcie suk. Gdy tam byłam, kobiety w czarnych tradycyjnych abajach, zachwalały rozłożone na straganach towary. Było dużo stoisk z taną bielizną bawełnianą, džinsami, no i wszelkimi środkami upiększającymi dla pań z chną i basmą, powszechnie tam używanymi środkami do farbowania włosów. Podobnie jak to miało miejsce na suku w Bagdadzie, w oddzielnej części znajdowały się stoiska z mięsem. Na hakach wisiały wielkie tusze wołowe, baranina i jagnięcina. Wszystko w słonecznych promieniach. Powiedziano mi, że mięso, wisząc tak na słońcu, pokrywa się cienką błonką, która chroni je przed zepsuciem. Kupującym kroi się zamówione przez nich kawałki i podaje. Suk oblegany jest od lat nie tylko przez mieszkańców Kuwejtu, którzy robią tu zakupy, lecz również przez pakistańskich robotników. Ja też coś kupiłam: bawełniane piżamy, chnę i basmę. To nowoczesne miasto szczególnie w centrum jest atrakcyjne. Zwłaszcza wieczorem, gdy zapada zmrok. W okresie od lata do jesieni robi się wtedy chłodniej i na ulicę wylewają się rzeki ludzi. Wielki jest także ruch samochodowy. Wszystkie sklepy jarzą się od świateł, a najbardziej te jubilerskie i z elektroniką. Cieszyła się ona zwłaszcza w opisywanych przeze mnie czasach ogromnym powodzeniem. Kupowaliśmy w nich np. modne walkmany. W sklepach jubilerskich złoto było najlepszej próby, zawierało nawet do 100 proc. czystego złota. Do tego Kuwejczyców i turystów przyciągały wystawy z biżuterią bogato zdobioną kamieniami szlachetnymi. Przy ladach o każdej porze dnia kłębili się kupujący. Najwięcej wieczorem – młode i starsze pary. Biżuterię nosi się w Kuwejcie powszechnie.

To właśnie w Kuwejcie, wieczorową porą, spotkałam się po raz pierwszy z tak wielką różnorodnością w ubraniach kobiet arabskich. Jedne nosiły się po

europiejsku, ale wiele było tych, co zachowywały nakazy wynikające z tradycji religijnej. Można więc było przyglądać się wszystkim: od tych, co miały na głowie chusty i owinięte były abajami po takie, u których nie było widać nic z wyjątkiem okolic oczu. Ale ich stroje i tak przyciągały wzrok swoją elegancją, świadcząca o dobrobycie, w którym żyli Kuwejczycy. Wśród panów dominowały białe długie szaty, zwane galabijami, a do tego narzucone na głowy białe chusty z przytrzymującymi je kółkami. Restauracje były pełne gości. Najciekawsza w jakiej byłam, usytuowana była na jednej z wież, wysoko. Siedząc przy stoliku miałam przed sobą panoramę całego miasta i widok na zatokę. Widać było ruch statków i jachtów. Idąc aleją wzdłuż wybrzeża, można było podziwiać zacumowany oryginalny statek, skrywający restaurację z oryginalnym wnętrzem. W środku – tłum gości i trudno o miejsce. Serwowało się w niej wyśmienite krewetki i inne owoce morza, sałaty, jagnięcinę. Alkoholu brak, bo to taki kraj. Ale rozkoszowaliśmy się zimnymi napojami. Butelki z czerwonymi nalepkami coca-coli widać było wszędzie.

W każdej podróży miłym zaskoczeniem jest zwykle spotkanie rodaka. W Kuwejcie odwiedziłam atelier fotograficzne, którego kierownikiem był Polak. Spotkanie było miłe i spotkałam się z gościnnym przyjęciem. Przy okazji w bardzo promocyjnej cenie kupiłam mały aparat, sygnowany nie tylko nazwą japońskiej firmy Canon ale i... nazwiskiem właściciela. Fotografik pokazał nam także swoje prace. Okazało się, że jego pasją jest robienie zdjęć meczetom kuwejckim o różnych porach dnia i nocy. Przede wszystkim o wschodzie słońca i przy jego zachodzie. Planował wystawę w jednej z galerii...

Ale po dwóch dniach zaczęłam już tęsknić za moim domem w... Bagdadzie.

### **Jordania i Libia – ślady rzymskiego panowania**

Krajem, który również zachęcał do odwiedzin, a jednocześnie sąsiadował bezpośrednio z Irakiem była Jordania. Na jej zwiedzanie przeznaczyć warto cały urlop. Latem 1984 roku wraz z rodziną i znajomymi wyruszyliśmy w naszą podróż. Droga prowadziła przez tereny pustynne: zarówno na terenie Iraku jak i Jordanii. W Iraku minęliśmy Al-Rutbah i dalej, jadąc przez pustynię, przekroczyliśmy granicę z Jordanią. I tu ciekawostka: jako Europejczycy byliśmy przyzwyczajeni do starannie grodzonych i pilnowanych granic. Tymczasem teraz nie mogliśmy się zorientować, kiedy wjechaliśmy do drugiego kraju. Granicę znaczył tzw. śpiący policjant, taki, jakich pełno dziś na naszych drogach. Nota bene, jako że nie było przed nim żadnego ostrzeżenia, nasza toyota wyskoczyła w górę z dobre pół metra. Brak strzeżonej granicy nie powinien jednak dziwić. Jechaliśmy w poprzek pustyni czarnej Wadi Rum i była to w promieniu setek kilometrów jedyna droga. Gdzieś w dali można było dostrzec jasne ścieżki, biegnące ku horyzontowi. Temperatura wynosiła 50 st. Celsjusza w cieniu. Dalej mknęliśmy przez pustynię Harrot

wspaniałą, górzystą, wyłożoną asfaltem drogą, zwaną królewską. Przystając na chwilę spoglądaliśmy, jak pięknie wije się wśród pagórków. Mieliśmy przed sobą jeszcze wiele kilometrów do stolicy kraju, Ammanu, gdzie planowaliśmy nocleg...

W świetle zachodzącego słońca wjechaliśmy do miasta i skierowaliśmy się do hotelu. Podjechaliśmy przed biały nieduży budynek, położony na wzgórzu, z dala od centrum. Wokół pamiętam dużo zieleni. Następnego dnia od rana zwiedzaliśmy miasto, którego centrum – jak zawsze w krajach arabskich – było bardzo zatłoczone. Mijaliśmy niskie zabudowania i patrzyliśmy na wiele, jeszcze nie wykończonych domów. Snuliśmy się uliczkami bez specjalnego planu. Patrzyliśmy na widoczną z dala cytadelę, a także ruiny teatru rzymskiego oraz błyszczącą w słońcu kopułę meczetu. Zaglądaliśmy na bazar. Tak jak wszędzie, tak i tu dużo było sklepów jubilerskich. Na wystawach szczególnie rzucały się w oczy pierścionki, brosze, korale. W różnych odcieniach – od blad różowego po intensywnie czerwony. Trudno było oprzeć się pokusie dokonania małego pamiątkowego zakupu.

W Ammanie spędziliśmy tylko jeden dzień. Następnego ruszyliśmy dalej do Dżarasz. W przewodniku czytamy, że miasto zostało zbudowane przez Aleksandra Wielkiego w IV wieku p.n.e. Ale w 64 roku n.e. podbili je Rzymianie i to na okres ich panowania przypada czas jego największego rozkwitu. Omijając współczesne budowle, skierowaliśmy się do majaczących w oddali ruin starożytnego Dżarasz. Powitały nas znakomicie zachowane fragmenty wykopalisk. Chodziliśmy po forum, wśród wysokich otaczających go kolumn. Nasz podziw wzbudziła ulica wyłożona wielkimi kamiennymi płytami, przy której zachowały się kolumny zdobiące zbudowane tu w danych czasach świątynie. Na wysokim wzgórzu ku niebu wznosiły się resztki murów i kolumny świątyni Zeusa. Napotkany mieszkaniec pokazał nam budowle teatrów, a także miejsca pobudowanych tu w późniejszych latach kościołów chrześcijańskich. Dżarasz był dla Cesarstwa Rzymskiego ważnym ośrodkiem, ale jego znaczenie zmarginalizowało się po trzęsieniu ziemi, które nawiedziło miasto w VIII w. n.e. Odkopane, doskonale zachowane zabytki Dżarasz (odkryte m.in. przez polskich archeologów) zrobiły na nas większe wrażenie niż budowle Rzymu.

Ale czekał już na nas kolejny cel – Petra, miasto Nabatejczyków. Zatrzymaliśmy się w hotelu przed miastem, by następnego dnia, jeszcze przed wschodem słońca, wyruszyć na zwiedzanie. Wjazd do Petry przez wykutą w skale wąską szczelinę robi niesamowite wrażenie. Łatwo sobie wyobrazić, dlaczego Petra długo zachowała niepodległość. Miasto było otoczone granią, a dostęp do niego łatwo było zablokować. Pierwsze promienie słońca padały na wyrzeźbioną w skale budowlę. Weszliśmy do pustynnego budynku. Miał to być skarbiec faraona – znany widzom z finałowych scen filmu o Indianie Jonesie. Posuwaliśmy się dalej wśród wysokich skał w głąb miasta. Minęliśmy ruiny teatru, a idąc dalej,

podziwialiśmy wzniesione wyżej fasady pałaców, osadzone w skale grobowce i grotty, które zapewne były siedzibą mieszkańców Petry. Dowiedzieliśmy się, że to miasto miało doskonale funkcjonujący system zasilania w wodę i jej odprowadzania. Na rozległym placu spotkaliśmy strażnika, który zachęcał do przejażdżki dromaderem, spokojnie wylegającym się w pobliżu. Nie lada okazja. Musieliśmy skorzystać. Dromader był jednak niechętny, by wstać. Po pokrzykiwaniach i szturchańcach podniósł się jednak i przejażdżka została zaliczona.

Tak jak wszędzie jednak, i w Petrze, starożytność spotyka się ze współczesnością. Po raz ostatni spojrzeliśmy na miasto wykute w skale, zaliczane zresztą słusznie do siedmiu cudów świata, wychodząc przez wąski przesmyk. Od razu stanęliśmy przed rozłożonymi straganami z przeróżnymi pamiątkami. Miejscowi sprzedawcy zachwalali, że wszystkie są oryginalne i wydobyte z ruin. Wiedzieliśmy, że tak nie jest, ale chcieliśmy coś kupić na pamiątkę pobytu w tym miejscu. Nota bene, odwiedzający dziś Petrę nie mają szans na posmakowanie atmosfery tego miasta z okresu, gdy turystyka nie była tu jeszcze rozwinięta. Wokół wejścia do wąwozu pobudowano dziesiątki hoteli i sklepów z najróżniejszymi towarami...

Następnego dnia ruszyliśmy w stronę Morza Martwego. Zapowiedź bliskości akwenu wskazywał postument z napisem: 300 Mtr Below Sea Level (300 m poniżej poziomu morza). Staliśmy w miejscu najniżej położonym na kuli ziemskiej! Na plaży zauważyliśmy tylko kilkoro miejscowych. Kąpiel w słonych wodach morza była orzeźwiająca. Udowodniła nam też, że nie da się w nich utonąć. Duża zawartość soli powoduje, że ciało jest wypychane mocno ku powierzchni.

Pojechaliśmy dalej, do Madaby. Miasto położone na wzgórzu widać już z daleka. Zatrzymaliśmy się tu, aby zwiedzić pochodzącą z okresu wczesnego chrześcijaństwa prawosławną bazylikę św. Jerzego. Oprowadzał nas po niej miejscowy duchowny, zwracając uwagę na zachowane fragmenty posadzki, z mozaiką przedstawiającą Palestynę i Dolny Egipt. Promienie słońca, padające przez okna bazyliki, oświetlały ją, ujawniając wspaniałą kolorystykę. Wszystko to przypominało o dawno minionych czasach. Ale my mieliśmy przed sobą drogę na bliską zarówno chrześcijanom jak i Żydom górę Nebo. Na górze świątynia, a w niej zachowane oryginalne kolorowe freski, pozostałości ołtarza i miejsce z odciskiem stopy Mojżesza. Tu, na górze Nebo, według Biblii, Mojżesz miał zatrzymać się, by pokazać Izraelitom leżącą u ich stóp Ziemię Obiecaną. Faktycznie, na tle pustyni, dolina Jordanu zachwyca zielenią i urodzajną glebą. Z tego miejsca, w podobne dni da się dojrzeć Jerozolimę.

Ruszyliśmy w końcu do Akaby, aby nad Morzem Czerwonym spędzić kilka dni i wypocząć. To miejscowość typowo wypoczynkowa. Pobudowano tu liczne,

wygodne bungalowy. Zapewne zdarzają się tu okresy, gdy jest tłoczno od turystów. Ale my trafiliśmy tu po sezonie. W pobliżu przebiega granica z Izraelem. Wieczorami spoglądaliśmy na światła Ejlatu, na drugim końcu zatoki. To miasto graniczne w Izraelu. Pamiętam, że niesamowicie kontrastował z dość ciemną Akabą.

Wypoczynek nad Morzem Czerwonym oznaczał spotkanie z wieloma atrakcjami. Poza kąpielami w morzu korzystaliśmy z przejażdżek łodziami ze szklanym dnem. Podziwialiśmy dno morskie, w tym koralowce. Miejscowi chłopcy zachęcali nas do kupna koralowców, których wydobywanie jest oczywiście niedozwolone. Dla nich to sposób na zarobek.

W tym miejscu, idąc plażą, dochodzi się do granicy Jordanii z Arabią Saudyjską. Ale jest tu tylko pas graniczny, bez przejścia. Nie było go zwłaszcza dla nas, przybyszy z bloku wschodniego.

Ślady swego panowania Rzymianie pozostawili też w Libii. Do dziś ruiny Leptis Magna, Sabraty czy Cyrenajki symbolizują piękno tych miast. W Sabracie jedyny napotkany przeze mnie pracownik pokazał mi w muzeum freski i dobrze zachowaną mozaikę, ułożoną na podłodze. Jak w każdym mieście rzymskim, i tu znaleźć można pozostałości po teatrze, ale też ruiny świątyni chrześcijańskich. Pozostał posąg z obciętą głową zdobiący taras. Na zwiedzających spogląda głowa mieszczki, na murze domu mieszkalnego. Drogi prowadzą aż do brzegów morza, gdzie widać pozostałości po zbudowanych tu urządzeniach sanitarnych. Także z położonej na rozległym terenie Leptis Magna pozostały przyzwoicie zachowane ruiny, w tym fragment Łuku Triumfalnego Semptymiusza Sewera, teatru, term Hadriana. Wszystkie te miejsca zdały mi się smutne, opuszczone. Nie było zwiedzających. Chodząc wśród ruin, napotkaliśmy umieszczone na nich napisy: Roman Propylea 2nd cent. AD, a gdzieś dalej: Entrance to Bizantine Baths 4th cent. AD. Ale Libia to też miejsce szczególne, bo to tu, na tej ziemi, w Tobruku, znajduje się cmentarz, na którym pochowani są nasi żołnierze polegli w bitwach drugiej wojny światowej. Był 1 listopada i skorzystałam z okazji, by tam pojechać. Po drodze mijaliśmy farmy rolnicze, pobudowane przez polskie firmy, zielone uprawne pola... Droga przed Tobrukiem to już pustynia. Wreszcie stanęliśmy przed bramą cmentarza, na który składa się las krzyży. Na każdym z nich: imiona i nazwiska naszych rodaków. Tego dnia przyjechało tu akurat dużo Polaków, by zapalić na grobach świece. Pamiętam ten dzień do dziś.

## **Nigeria**

Był rok 1988. Pamiętam lotnisko Schönefeld w Berlinie, skąd samolotem linii Interflug odlatywałam w służbową podróż do Lagos, stolicy Nigerii. Z krajów socjalistycznych, tylko Niemiecka Republika Demokratyczna miała połączenie lotnicze z tym krajem. Na tafla lotniska niewielu było pasażerów. Gdy duży

samolot IŁ62 zabrał nas na swój pokład, dopiero widać było, jak jest nas mało. W trakcie lotu, by skorzystać z toalety, musiałam przejść przez część odgradzoną od reszty kotarą. Leżały tam ułożone i mocno przytwierdzone do podłogi, wielkie skrzynie. Nie wiem do dziś, co zawierały. Przypuszczam, że mogła to być broń, która miała trafić do jednego afrykańskich krajów, w których mieliśmy śródlądowanie. Szczęśliwie dotarliśmy do Lagos. Na lotnisku serdecznie powitali mnie koledzy, którzy wcześniej tu przyjechali. Zostaliśmy zakwaterowani w pomieszczeniach polskiej delegatury handlowej. Nie było luksusów, ale mieliśmy za to dobre zaplecze kuchenne i sprawne klimatyzatory. Upał w strefie podzwrotnikowej jest ogromny. Przed wyjazdem należało także wykonać szereg szczepień przeciw chorobom tropikalnym i – przezornie – zaopatrzyć się w środki dezynfekujące artykuły spożywcze, szczególnie warzywa.

Po rozpakowaniu walizek, ruszyłam w miasto pełne zgiełku. Na ulicach panował niesamowity ruch, pełno było pojazdów. W centrum – nowoczesne ulice, pełne wspaniałych wystaw. Ale wokół nich ulice bez brukowanej nawierzchni; z których unosił się kurz. Jednak miasto robiło wielkie wrażenie.

Praca przez kolejne dni uniemożliwiła mi zwiedzanie. Cały pobyt w Nigerii był zresztą dość uciążliwy, bo były to czasy, gdy kraj ten miał ogromne kłopoty z zaopatrzeniem w energię elektryczną. Były noce, gdy po wyłączeniu dostaw prądu, przestawały działać klimatyzatory i w pokoju robił się upał nie do wytrzymania. Wyjście na dwór nie przynosiło ulgi. Nagrzane, wilgotne od Oceanu Atlantyckiego powietrze sprawiało, iż czuło się jak w łaźni parowej. Po takich nocach zmęczenie dawało o sobie znać ze zdwojoną siłą.

Wspomnienia z pobytu w Nigerii to głównie wspomnienia wolnych niedziel. W pierwszą z nich zajrzałam do pobliskiego kościoła katolickiego. Był wypełniony po brzegi. Nabożeństwo prowadził misjonarz z Europy, a wokół niego stali miejscowi księża. W pierwszych ławkach dostrzegłam przepięknie ubranych mieszkańców Lagos. Kobiety w udrapowanych sukniach z grubej koronki, a obok nich mężczyźni w szatach z takiego samego materiału. Mężczyźni zresztą ubrani w wąskie spodnie i coś jakby tuniki. Wszędzie dominowała biała koronka, ale można też było ujrzeć pary, które miały na sobie szaty w innych kolorach. Stroje kobiet uzupełniały fantazyjne, olbrzymie kapelusze, dobrane świetnie do reszty. Obserwując dalsze ławki dało się zauważyć, że również dla mniej zasobnych Nigeryjek i Nigeryjczyków strój wyjściowy ma znaczenie. Wiele kobiet przyszło do kościoła taszcząc na plecach, w chuście, małe dzieci. Siadając w ławce, umiejętnie zsuwały chusty na bok, by dzieci mogły usiąść. Cały kościół uczestniczył w komunii. Ludzie stali do niej w długim szeregu przed ołtarzem.

Przekonałam się też, jak różnorodna jest społeczność Nigerii. Jedni piękni, bardzo wysocy, inni niżsi, krępi, lepiej zbudowani. Kobiety o gładkiej cerze i starannie dobranych fryzurach zachwycały swoją urodą. Włosy, zaplecione w

liczne warkoczyki i w różny sposób upięte na głowie, robiły wrażenie.

Niedziela oznaczała także obowiązkową kąpiel słoneczną na plaży, ciągnącej się wzdłuż Zatoki Gwinejskiej. Na całej jej długości pobudowano z patyków zadaszenia, a pod nimi ustawiono leżaki. Wszystko do wynajęcia. Słońce było niesamowicie mocne. Zbyt mocne, by leżeć plackiem. A wody Zatoki Gwinejskiej – bardzo niebezpieczne. Siła fal przelewających się u brzegów jest ponoć tak ogromna, że może porwać niedoświadczonego pływaka. Tak mogło się stać z jedną moją koleżanką – dosłownie cudem wyszła z opresji. Plaża to oczywiście także miejsce handlu. Patrzyłam, jak przechodzą nią dziesiątki sprzedawców, chwalebnych swe towary. Można było kupić u nich szafę, stół i inne meble, do tego najróżniejsze stroje (męskie i damskie) oraz wyroby pamiątkarskie: główki kobiece i męskie, rzeźbione w drzewie hebanowym, a także trzymane w ukryciu figurki z kości słoniowej. Każdy handlarz zatrzymywał się na chwilę. Wśród nich liczną grupę stanowiły Nigeryjki, oferujące warzywa i owoce. Nosiły je na ogromnych talerzach ustawionych na głowach. Podchodząc do klienta, klękały i delikatnie opuszczały talerz na ziemię – tak, by jednak towar jej nie dotknął. Na talerzu świeżutkie pomidory, ogórki, marchew, cebula, sałata, a nawet główki kapusty. No i przeróżne owoce. Oczywiście, robimy zakupy.

Przed zakupem pamiątek znajomi przestrzegali mnie, mówiąc, iż nie są one wcale hebanowe i że bezpieczniej kupować je w sklepach na mieście.

Polecałyśmy także w głąb Nigerii, w rejon Plateau. Mały samolot z niewielką liczbą pasażerów wylądował w Jos. Znajdowały się tu zakłady, w których pracowali nasi rodacy. Zostałyśmy ulokowane, ku naszemu zadowoleniu, w domu kierownika naszego kontraktu. Zdziwił nas obowiązek spania w łóżku pod muślinową moskitierą – nie było tego w Lagos. W tym rejonie natomiast ukąszenie komarów grozi malarią i do zachorowań dochodzi bardzo często. Pierwszą noc w takim łóżku będę pamiętać do końca życia.

Pracy miałyśmy nawał, a do tego pracowałyśmy na zdwojonych obrotach, bo czekała na nas nie lada gratka. W ramach przypadających tu dni wolnych, zaproponowano nam 2-, 3-dniowy wyjazd do jednego z największych rezerwatów dzikich zwierząt, znajdującego się w sąsiednim rejonie Bauchi. Wyjechałyśmy wczesnym świtem, bo musiałyśmy pokonać 300, a może i więcej kilometrów. Droga asfaltowa; trasa – niezmiernie urozmaicona i interesująca. Mijałyśmy miasteczka i wsie. Wiele z nich zaniedbanych. Wszędzie jednak widać było ruch. Kobiety i mężczyźni mieli różne karnacje. Zależało to od tego, z jakiego pochodzą ludu. A plemion są w Nigerii setki. Przejeżdżałyśmy wzdłuż ciągnących się kilometrami lasów. Na drodze pełno było innych samochodów, motocykli, rowerów, a nawet pieszych Nigeryjczyków. Po dłuższym czasie krajobraz zaczął się zmieniać. Lasy stawały się coraz rzadsze i przechodziły w sawannę. Wreszcie z asfaltowej szosy skręciłyśmy w prawo, w utwardzoną drogę, która biegła już prosto

do rezerwatu Yankari.

Poprosiliśmy o zatrzymanie samochodu. Weszliśmy do jednej z zagród wiejskich, osłoniętej wysokimi matami z łądyg uprawianego tu sorga lub kukurydzy. Pozdrowiliśmy gospodarzy i za ich zgodą weszliśmy do środka. Na podwórku zgromadziła się cała rodzina. Wszyscy siedzieli na ziemi: dorośli i dzieci. Podwórze sprawiało wrażenie, jakby było po żniwach; wokół stały powiązane snopki łądyg z zebranego zboża. Było bardzo czysto. Obserwując gospodarstwo, zdałam sobie sprawę, w jak trudnych warunkach żyją i pracują na roli Nigeryjczycy. Jak skromne są ich chaty i ubrania. Jednocześnie jednak zawsze się uśmiechają. Wręczyliśmy im drobne upominki, a dzieciom słodczyce, i ruszyliśmy dalej.

Droga była ciekawa nie tylko z uwagi na otaczającą ją roślinność. Wzrok przyciągały także wyrastające co kilkadziesiąt metrów kopce. Były w kolorze rdzawobrązowym. Do dziś nie wiem, czy były zbudowane przez mrówki czy termyty. Były różnej wysokości: od niewielkich po takie, sięgające nawet 3 m wysokości! Przy jednym nich zrobiłam sobie zdjęcie.

Tuż przed wieczorem dojechaliśmy w końcu do parku. W hotelu Awaiah znajdowała się restauracja, w której jadałyśmy posiłki. Nocowałyśmy natomiast w małym domku, jednym z wielu porzrzucanych po rozległym terenie. Domki były w kształcie koła. A ich dachy pokryte były słomą. Ich wnętrza urządzone dość efektownie. W jednej trzeciej przedzielone zostały ścianą, za którą znajdowała się część sanitarna. W części mieszkalnej do dyspozycji było łóżce, stolik, krzesła, lustro i miejsce na ubranie. Ciekawe, ale nad łóżkiem nie było zawieszonych moskitier, bowiem było sucho. Rano, po otwarciu okna, na parapecie momentalnie pojawiały się małpy, które wyciągały pyszczki, by dać im coś dobrego do jedzenia. Wszędzie jest ich tam pełno. Są nieodłącznymi towarzyszkami spacerów po tym terenie.

Zaraz po śniadaniu ruszyliśmy oglądać przyrodę. Razem z kilkunastoma innymi turystami, głównie Anglikami, usadzono nas w specjalnym odkrytym samochodzie. Wjechaliśmy do rezerwatu. Najwięcej było tu słoni, które całymi stadami przechadzały się w niedalekiej odległości od naszego auta. Całe ich rodziny – duże i małe. W czasie przejażdżki minęliśmy ze trzy stada. Na rozległej łące pasły się antylopy. Daleko, pod drzewami, widać było wylegujące się zwierzęta. Ale nawet przez lornetkę nie udało się nikomu ich rozpoznać. W cieniu liści, na drzewach, skrywały się małpy.

Objechaliśmy rezerwat wyznaczonymi drogami i po kilku godzinach wróciliśmy do hotelu. Potem mogliśmy jeszcze skorzystać z innej atrakcji – z kąpieli w gorącej, bo 31-stopniowej, rzece Wikki. Pływanie w tych czystych wodach, a później wylegiwanie się na brzegu, było wspaniałym doświadczeniem.

Po powrocie do Lagos, w sklepie pamiątkarskim kupiłam sobie statuetkę z



hebanu, małą główkę kobiecą z kości słoniowej (wiem, że ryzykowałam, przewożąc ją do Polski), i makatkę, przedstawiającą dwie Nigeryjki przy mieleniu ziarna. Ten zakup to pamiątka ze spotkania z Nigeryjczykami z sawanny. Na koniec pobytu spotkałam się jeszcze z zespołem naszego Przedstawicielstwa Handlowego, co upamiętnione zostało na wspólnym zdjęciu.

\* \* \*

Podróże w tych latach były nie tylko poznawaniem świata, ale także pozwoliły na przyjaźnie z wieloma osobami. Doświadczyłam tego wszędzie. To był świat spokoju, nawet jeśli w wielu miejscach na ziemi toczyły się w tamtym czasie wojny – jak w Iraku. Dla mnie każda z tych podróży była przeżyciem niepodobnym zupełnie do współczesnej, rozpędzonej masowej turystyki, nie dającej szans na wplecenie siebie w miejsca, do których się trafiło. Na ich poczucie – a nie tylko zobaczenie. Ja taką szansę od życia dostałam.

1 Starożytne miasto położone w Mezopotamii na brzegu jednego z odgałęzień Eufratu. Jego ruiny znajdują się dziś około 90 km od stolicy Iraku, Bagdadu.

2 Północna brama starożytnego Babilonu wzniesiona za panowania Nabuchodonozora II, który panował w tym mieście w okresie 605–562 p.n.e. Poświęcona Isztar – w mitologii starożytnej Mezopotamii bogini wojny i miłości. Prawdziwa brama Isztar znajduje się obecnie w Muzeum Pergamońskim w Berlinie. Została odkryta przez ekipę niemieckich archeologów pod koniec XIX w., przewieziono ją wtedy do Berlina, gdzie została zrekonstruowana.

3 Niesławny prezydent Iraku Saddam Husajn miał zamiar odbudować to starożytne państwo-

-miasto. Prace rozpoczęto w 1985 roku, a na ceglach podobno znajdowały się napisy „Wybudowane przez Saddama Husajna, syna Nabuchodonozora, aby okryć chwałą Irak”. Plany te pokrzyżowała II wojna w Zatoce Perskiej zakończona obaleniem dyktatury Husajna.

4 Hatra – starożytne miasto w Mezopotamii zbudowane najprawdopodobniej w III lub II w. p.n.e. Ruiny Hatry zostały w 1985 roku wpisane na listę światowego dziedzictwa kultury UNESCO.

5 Kalhu – starożytne zbudowane w XIII w. p.n.e. miasto w północnej Mezopotamii, jedna ze stolic Asyrii. W ruinach miasta znajduje się obecnie stanowisko archeologiczne Nimrud.

6 Samarra – miasto powstałe na Nizinie Mezopotamskiej nad rzeką Tygrys w VII wieku n.e.

7 Miasto w północnym Iraku, położone nad Tygrysem ok. 350 km na północny zachód od Bagdadu.

8 Starożytne miasto w południowej Mezopotamii, w XXI w. p.n.e. stolica imperium III dynastii z Ur.

9 Basra – po Bagdadzie drugie co do wielkości miasto w Iraku. Położone na południu kraju nad rzeką Szatt al-Arab.



Drużba, lata 70. Z rury tryska gorąca woda

źródłana



Ulice Algieru. Rok 1979

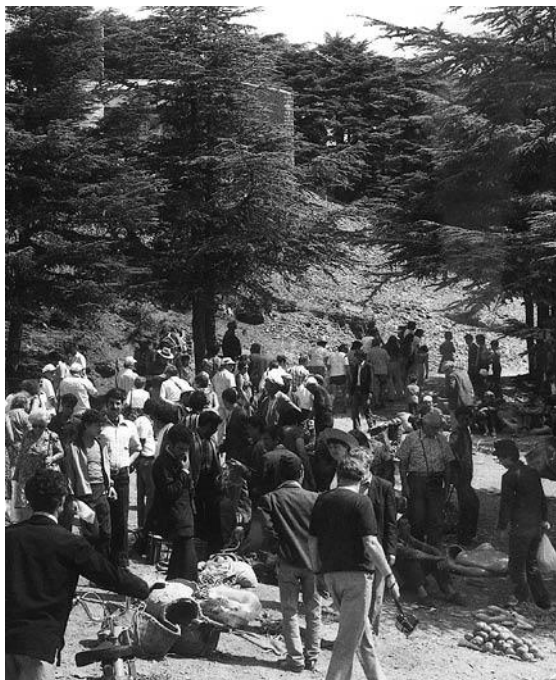


Tipasa

Starożytna



Bu Sa'ada. Piękny wąwóz za moimi plecami...



Targ w górach Kabylii



domku mieszkałam w Iraku. Widok ze środka

W takim



Domek

Stolbudu na campie „100 inżynierów”, 1984 rok



Stoję pod Bramą Isztar. To reprodukcja.

Oryginał jest w muzeum w Berlinie



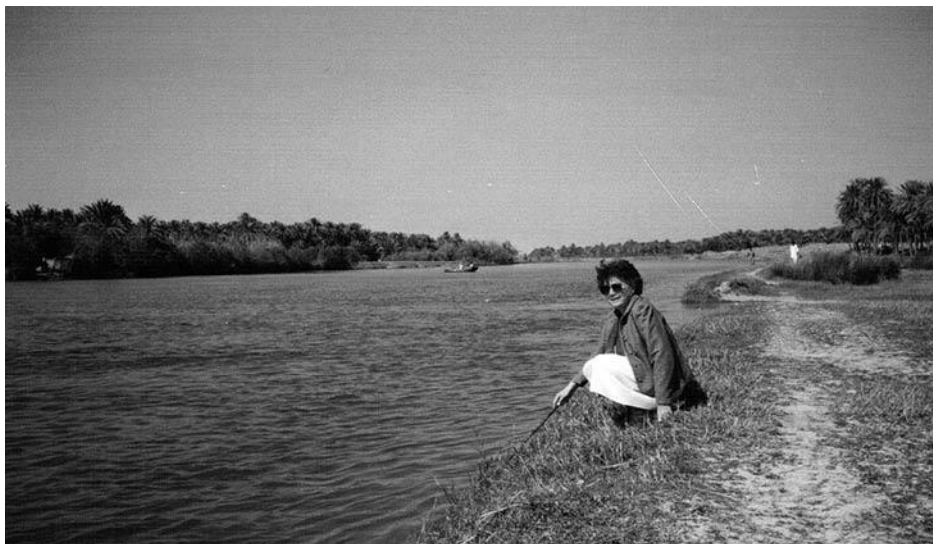
Pozostałości drogi procesyjnej 1984. Fragment od Bramy Isztar

Babilon.



Babilon, sierpień 1984

Irak,



Babilon, nad  
wodami Eufratu. W tym miejscu przypomniała mi się wróżba

Babilon, nad



Widok na  
stosowany w danych czasach system nawadniający nad brzegami Eufratu

Widok na



Mieszkanka Samarry wychodząca z meczetu



wód Eufratu i Tygrysu w basen wód Szatt al-Arab

Połączenie





Symboliczny napis u połączonych wód w Ogrodzie

Eden



Łuk pałacu w Ktezyfonie z czasów królów

sasanidzkich



wydzielających sok o smaku miodu

Ocalałe na pustyni drzewo o kwiatach



kierunku Łuku Damasceńskiego

Damaszek, 1981 rok. Ulica prowadząca w



Bagdad,  
1985 rok. Jeden z najpiękniejszych pomników miasta - „Pęknięte serce matki”.  
Lśni wspaniale niebieską ceramiką przypominając sztukę starożytnej Mezopotamii



Miasto  
rzymskie Dżarasz (Jerash), Jordania. Widok na świątynię Zeusa



Dżarasz. Tak wygląda starożytna uliczka



Petra w Jordanii. Ten zapierający dech w piersiach  
przesmyk wiedzie do miasta wykutego w skale



Skarbiec w Petrze

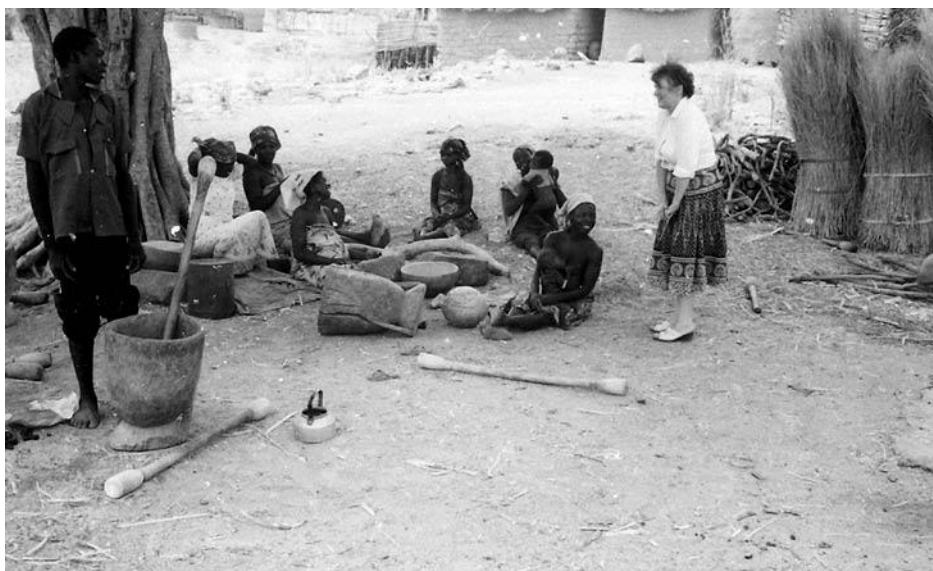


gorącej plaży w Lagos

Handel na



Nigeria, 1988 rok. W drodze do Yankari napotykamy kopce po mrówkach lub termitach



Mieszkańcy

tej wiejskiej zagrody powitali nas na siedząco



W drodze do

rezerwatu Yankari stoję przed zagrodą wiejską



W rezerwacie Yankari spacerowiczom

towarzyszą małpy



Z tego samochodu, bez dachu, podziwialiśmy rezerwat Yankari



Lagos.

Spotkanie z pracownikami w naszym przedstawicielstwie handlowym

## **Posłowie: Dlaczego tak?**

Dzieciństwo szybko się kończy, najpierw jest zabawa, a potem szkoła, i tak dni, jeden po drugim, mijają w okamgnieniu.

Moje dzieciństwo i czas młodości dawno przeminęły, podobnie jak okres intensywnej pracy zawodowej i zajęć związanych z prowadzeniem domu. Ani się obejrzałam, gdy przyszedł czas, który miałam mieć (i mam) tylko dla siebie. Niepostrzeżenie zrobiło się wokół mnie pusto. Zaczęłam się zastanawiać nad tym, co dalej. Uświadomiłam sobie, że coraz częściej zaczynam myśleć o przeszłości. O okresie dzieciństwa i dorastania, przypadającym na tak trudne czasy. Wiele wspomnień przepadło, bo wygasło już źródło wiedzy o tym, jak żyli moi Dziadkowie, a nawet częściowo, jakie było życie moich Rodziców. Chwilami życie piętrzyło przed nami takie trudności i było tak nieprzewidywalne, że o kronikarstwie wydarzeń ani myślałam. Wydawało mi się, że wszyscy wokół mnie będą żyć wiecznie, że zawsze będziemy razem. Tymczasem to ułuda. Nigdy tak nie jest.

Szczęściem pozostało w mej pamięci wiele wciąż żywych wspomnień. Wielka w tym zasługa mojej kochanej Mamy, która mi o tym wszystkim opowiadała. Choć i Tata od czasu do czasu dorzucał w pogawędce przy stole różne niesamowite opowieści: krótkie epizody z życia jego rodziny, zwłaszcza zaś historie dotyczące jego ojca, a mojego Dziadka – Antoniego. Co ciekawe, dziś pozostały już tylko te wspomnienia w mojej głowie, bo zawierucha wojenna zniszczyła fotografie sprzed 1945 roku. Nie mogę więc nawet nikomu pokazać, jak wyglądali moi Rodzice w młodości i potem w życiu dojrzałym.

Kiedy więc wreszcie zaczęłam mieć dużo czasu, postanowiłam, że wypełnię go opisywaniem moich dziecięcych lat i młodości, opowiem o tym, jacy byli moi Dziadkowie i Rodzice, w jakim kręgu społecznym żyli, jak wyglądał ich świat i co przekazywali następnym pokoleniom. Niełatwe to zadanie, gdyż świat moich Rodziców, a tym bardziej świat, w którym żyli moi Dziadkowie, dla młodych ludzi, takich jak mój syn, może być trudny do wyobrażenia. Jak dziś o tym opowiedzieć? Jak przekazać to, co wydaje się niemożliwe do przekazania? Mam nadzieję, że choć trochę mi się udało.

Warszawa, 25 grudnia 2013 r.



## **Podziękowania Autorki**

Wydanie w formie książkowej moich wspomnień było możliwe dzięki zaangażowaniu wielu osób. Dziękuję im wszystkim.

Szczególne podziękowania kieruję do Pani Martynty Bundy, która przez cały okres mojej pracy była blisko mnie i podtrzymywała mnie na duchu. Dodawała otuchy i zachęcała do pisania, dając wskazówki i radę.

Za pracę przy opracowywaniu książki, za pasję i wielkie zaangażowanie dziękuję Pani Katarzynie Kozłowskiej.

Słowa wielkiego uznania mam dla mego Syna – Igora. Za to, że podjął inicjatywę wydania moich wspomnień w formie książkowej i cały czas nad tym czuwał.

